Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 1 zł – 12 stron | Warszawa, 3 sierpnia 1952 r. | Nr 31 (123) Rok III

Technika i człowiek

Widziałem kiedyś w fabryce dwie obrabiarki. Stały obok siebie szare, olbrzymie. Umieszczone w nich wały stalowe obracały się srebrząc miejscami, których dotykał nóż. Fioletowe strużyny opadały z cichym chrzęstem na posadzkę. Obok stał człowiek i paląc spokojnie papierosa obserwował pracę maszyn. Zbliżyłem się.

— Ta z lewej strony — zagraniczna, ta — polska. Niedawno dostaliśmy ją i zmontowali. Dziecko nie obrabiarka.

W głosie człowieka brzmiała czułość. Długo kręcił głową z uznaniem i na koniec dorzucił:

— A temu, który ją wymyślił, dałbym złoty krzyż...

Rokrocznie w dniu Święta Niepodległości czytamy uchwałę Prezydium Rządu w sprawie nagród państwowych w dziedzinie nauki, postępu technicznego, literatury i sztuki. Rokrocznie na szpaltach pism ukazują się długie listy najwybitniejszych naukowców, ludzi techniki, inżynierów, techników i robotników, obok zasłużonych twórców literatury i sztuki.

Ostatnia lista nagrodzonych zawiera nazwiska budowniczych fabryk, twórców i konstruktorów nowych maszyn, nowych urządzeń, projektodawców nowych metod produkcji we wszystkich dziedzinach przemysłu. W hutnictwie, węglu, energetyce, przemyśle chemicznym, lekkim, leśno - rolniczym, w budownictwie, w transporcie. Zresztą nie podział na branże techniczne jest najistotniejszy — najważniejsza — jest tu rewolucyjna treść klasowa.

„...Już teraz wyłamują się ludzie wykształceni, którzy przechodzą na stronę ludu, na stronę mas pracujących, pomagają łamać opór sług kapitału. A talentów organizacyjnych wśród chłopstwa i klasy robotniczej jest wiele i talenty te zaledwie zaczynają dochodzić do samowiedzy, zaczynają się budzić, zdążać ku żywej, twórczej, wielkiej pracy, brać się samodzielnie do budowy społeczeństwa socjalistycznego. ...Robotnicy nie zapomną ani na chwilę, że potrzebna im jest potęga wiedzy. Niezwykły zapał, który robotnicy przejawiają w kształceniu się, przejawiają właśnie teraz, świadczy o tym, że w tej sprawie proletariat nie błądzi i zbłądzić nie może" — pisał Lenin.

W Polsce Ludowej obserwujemy ten sam proces co w Związku Radzieckim po Rewolucji. Nowe talenty — talenty z ludu — to jest charakterystyczne dla tegorocznej listy nagród technicznych. Jest ona poza tym dowodem świetnych owoców pracy kolektywnej, wspólnej, twórczej pracy naukowców z robotnikami — jest dowodem troski o największy skarb w Polsce — człowieka.

Bo człowiek buduje nowe miasta i nowe wsie, stawia nowe zakłady przemysłowe, uruchamia nowoczesne maszyny i stosuje nieznane dotąd metody produkcji.

W pracowniach naukowych, w laboratoriach, przy stołach kreślarskich i przy warsztatach stoją nowi twórcy: szeregi ich powiększają się i będą nieustannie powiększać. Wynalazczość tłumiona przez „wolną" konkurencję kapitalistyczną — w warunkach socjalizmu staje się podstawą rozwoju unarodowionego przemysłu. Racjonalizatorstwo robotnicze, nie do pomyślenia w warunkach pracy opartej na wyzysku — w warunkach socjalistycznych jest jednym z przejawów władzy ludu — każdy wie, że pracuje dla siebie.

Rozwój wynalazczości, racjonalizatorstwa, talentów wśród adeptów nauk technicznych gwarantuje przecież Konstytucja, gwarantują Jej proste słowa:

Polska Rzeczpospolita Ludowa szczególną opieką otacza inteligencję twórczą — pracowników nauki, oświaty, literatury i sztuki oraz pionierów postępu technicznego, społecznego, kulturalnego.

Władysław Żesławski.

JULIA HARTWIG

KIELECKIE OD STRONY PIŃCZOWA

Poniedziałek 7 lipca, Kielce. Dziś zakończyła się konferencja w sprawie badań nad sztuką polską epoki odrodzenia. Historycy sztuki twierdzą, że jest to jedna z najbardziej udanych, jakie odbyły się w ostatnich latach. Komunikaty były krótkie i rzeczowe, wytyczono linię dalszych badań, wytypowano najważniejsze zagadnienia. Zaplanowano kilka monumentalnych publikacji ilustrowanych zdjęciami, takich jak: Polska Rzeźba Nagrobkowa, Kamienica Mieszczańska, Architektura. Wydawnictwa te przyczynią się do rozszerzenia wiedzy o polskim renesansie.

Objazd zabytków zapowiada się niezwykle ciekawie. Dotrzemy do wsi i miasteczek leżących na uboczu od linii komunikacyjnych, gdzie niejednokrotnie dostać się można jedynie rowerem lub pieszo. Ci, co tu już byli kiedyś z ekspedycją inwentaryzacyjną, robią zagadkowe miny: obiecują sobie wiele po zachwytach niewtajemniczonych. Komitet organizacyjny zaprosił bowiem „na wabia" grupę malarzy i architektów, trochę laików i urzędników. Z tyłu ciągnie kronika filmowa. Rasowi historycy sztuki klną z cicha, że im ta karawana przyboczna będzie opóźniać marszrutę, ale kierownictwo milczy jak zaklęte; wygląda na to, że specjalnie powybierano na ten wyjazd po jednej parce z różnych gatunków artystycznego zwierzostanu, jak do Arki Noego, żeby się to potem po zapomnianym kieleckiem w błogosławiony sposób rozmnożyło: architekci do odbudowy i czerpania wzorów rodzimych przy nowym budownictwie, malarze na plener, a urzędnicy — no, i ci muszą być wszędzie, może po to, by życie nie wydało się tu zbyt egzotyczne.



„...ktoś... wyniósł na światło słoneczne małe putto i fotografuje je leżąc na brzuchu w trawie...."

Malarze przyjechali wieczornym pociągiem. Gotowaliśmy się właśnie do wyjścia z jedynej kieleckiej kawiarni „Oaza", w której ponoć jadał ciastka sam Stefan Żeromski. Lustra, a jakże!, pluszowe kanapki, żelazne stoliki i miejscowa inteligencja (panowie w muszkach), wszystko jak należy. Gotujemy się więc do wyjścia, już zaspane kelnerki układają krzesła w piramidy, aż tu nagle — nie byliśmy uprzedzeni o ich przyjeździe — przesuwa się jak zjawa przez boczną salę grupa warszawskiej „malarii": wszelki duch! jak w okolicach Foksal wieczorem w Warszawie. Ci przynajmniej systematycznie rozpoczęli zwiedzanie zabytków.

Wtorek, 8 lipca.

Jest siódma rano. Wycieczkowicze z paczkami suchego prowiantu na cały dzień, trochę zaspani, ale ruchliwi, okupują grupami autokary. Dostaję się między grupę warszawską i poznańską i ląduję u boku kustoszki muzeum kieleckiego. Okoliczność ta okaże się błogosławiona w podróży: jest to nie tylko świetna towarzyszka drogi, świadoma spraw ziemi kieleckiej, ale i podróżniczka zaopatrzona w przeróżne napoje herbaciane (upał piekielny!) oraz znakomite bułki nadziewane czarnymi jagodami, specjalność Kielc, a szczególnie Chęcin (robotnicy z Chęcin pracujący w Kielcach dostają na własne żądanie „swoje", chęcińskie pieczywo do posiłków).

Odjazd. W drodze przez miasto mijamy kolegiatę, za której murami pochowany jest Bartosz Głowacki, i renesansowy pałac biskupi, w którym odbywała się nasza konferencja; potem gimnazjum, gdzie uczyli się Prus i Dygasiński, i cienisty park, po którym spacerowali niegdyś Tatiana i Rozłucki.

Teraz kierunek Pińczów. Uciekamy od Gór Świętokrzyskich i malowniczych wzniesień, zapuszczamy się w okolicę równinną, sfalowaną jedynie od zbóż i ciemnych lasów. Z prawej zostają ruiny chęcińskiego zamku majaczące w dali, na tle upalnego już od rana nieba, z lewej Chałupki, wieś garncarzy, słynną z przepięknych polew, ale nie odosobnioną w kieleckiem, gdzie naliczyłoby się dziesiątek co najmniej takich wsi jak Rendocin, Szczekociny, czy Wierzbnik; każda z nich tworzy własne formy, z innej buduje gliny, szarej, żółtej, brązowej, polewa swoje garnki, lub wypala na matowo, karbuje lekko, lub ozdabia lekkim, malarskim ornamentem. Warto by do takich Chałupek zrobić zupełnie osobną wyprawę, co ciekawsze zobaczyć i opisać.

Teraz migają nam rzędy chat i kościół w Kijach, gdzie urzędował ksiądz Siarkowski, przyjaciel Kolberga, zasłużony dla utrzymania folkloru kieleckiego. Krąży opowieść, że nie chciał on spowiadać chłopów okolicznych, jak tylko w siermięgach i sukmanach, a kobiety w zapaskach. Miał więc ktoś sprytny otworzyć w pobliżu kościoła rodzaj wypożyczalni garderoby, w której nieświadomi tej księżowskiej fantazji petenci przebierali się do obrządku.

Droga, którą jedziemy, staje się coraz dziksza, podskakujemy na zakrętach z wielkim trzaskiem, wśród gęstych tumanów wapiennego pyłu. Pył ten będzie nam towarzyszył we wszystkich niemal wyprawach, tak samo charakterystyczny dla kieleckiego jak kryte szarym gontem domki i rozległy, szeroki krajobraz. Wkrótce jeden z autokarów, zmęczony zmaganiem się ze złośliwościami pińczowskiej drogi, staje. Radzi nieradzi wysiadamy, by ostatnie trzy kilometry przebyć pieszo. Zresztą niewielki ten trud został opłacony z nawiązką. Teraz dopiero czuje się poż[illegible] zapachy zbóż, dostałych już i gotowych na zżęcie.

Rozstawieni przed granicami Pińczowa informatorzy z innych wozów kierują nas nie wprost, ku centrum, ale na lewo, w zboża. Mamy zajść miasto z boku, a raczej z góry, od strony samotnej, położonej na wzgórzu kaplicy. Zaskoczyć je niespodzianie nie od tej strony, gdzie oczekuje nas, uszykowane jak do fotografii, z rozwieszonymi transparentami „Witamy Zjazd Historyków Sztuki", ale tam, gdzie jeszcze nie zastygło w uszykowanej pozie, ale leniwie wygrzewa się w słońcu z codziennym wyrazem twarzy.

Jak pamiętam dotąd ten Pińczów, ujrzany ze wzgórza, niespodziany i urzekający!

Rozciąga się przed nami bezkresna zielona równina, po której zawrotnymi, wymyślnymi pierścionkami wije się, krygując jak prowincjonalna elegantka, niebieska Nida — aż podpływa pod miasto i tu, spoważniała, otacza je wysuniętym łagodnie ramieniem brzegu. Miasto tuż pod wzgórzem leży bezładnie jak zabawki wysypane z wozu na rozjeżdżonej drodze. Domy jednakowej barwy, płowo-szare, z tutejszego kamienia budowane, kryte blachą, lub rudawą dachówką. Wszystko ustawione na szeroko wydeptanej, równie płowej ziemi. Może ta właśnie jednolitość kolorytu, jaką daje budulec, tak potęguje wrażenie pińczowskiej panoramy. A może chwila, w której ją oglądaliśmy, chwila południowego skwaru, kiedy słońce pada z najwyższego punktu, cień ucieka pod przedmioty i ten pińczowski wyschły szkielet murów i budowli praży się w upale, otoczony chłodną, ale niedostępną zielenią łąk.

Kiedy zeszliśmy na dół, okazało się, że jest dzień targowy. Dziesiątki wozów pod murem dawnego klasztoru Paulinów, konie głośno chrupią owies, miasteczko, które w zwykły dzień musi być ciche i ospałe, wre życiem. Trudno o lepszą oprawę do zwiedzania szacownych zabytków Pińczowa, jak te rzędy fur i furmanek i setki przybyszów z okolic, ubranych bardziej tradycyjnie niż w pozostałych częściach środkowej Polski. Kobiety niosą z targu białe maselnice pachnące świeżym drzewem, odsłaniają przywiezione ze sobą kosze czereśni, jaj, kurcząt. Gdzieniegdzie pod wozem widać śpiących ludzi zmożonych spiekotą.

Oglądamy klasztor pauliński z początku XV wieku, przypominający zzewnątrz świeckie budowle, przysadzisty nieco, a tak w ziemię zapadły, że do wejścia trzeba z ulicy w dół zbiegać. Korytarze wewnątrz chłodne i mroczne, ale nie najlepiej wykorzystane; prowadzi się tu bowiem skup warzyw, żółcą się pęki marchwi, wysoko ułożone i zielenią na kamiennej posadzce twarde głowy kapusty. Wirydarzyk zarośnięty chwastem pod okna. Tylko zegar słoneczny, ku zdumieniu kogoś ze zwiedzających, nieodmiennie działa, wskazując godzinę zgodną z jakąś nowoczesną Omegą.

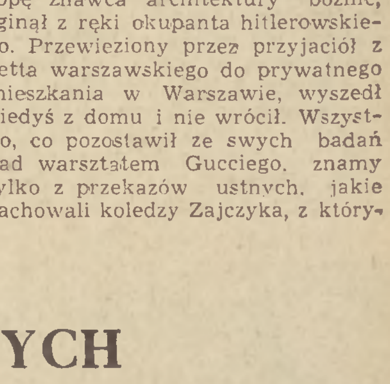
Tuż za rynkiem, w drugiej części Pińczowa, zwanej niegdyś Mirowem, którą założył za murami dawnego miasteczka Zygmunt Myszkowski, wielce zasłużony dla jego rozbudowy i upiększenia, mieści się kościół Reformatów, wzniesiony na początku XVII wieku, okaz szczególnie interesujący dla badaczy renesansu polskiego.

Trzeba bowiem wiedzieć — a sprawa ta od niedawna zaledwie znana jest nawet specjalistom — że Pińczów był na przełomie 16 i 17 wieku znacznym ośrodkiem architektonicznym, gdzie założył swój warsztat jeden z najwybitniejszych artystów pracujących w owym okresie w Polsce, nadworny architekt i rzeźbiarz Stefana Batorego, Włoch Santi Gucci. Włoch ten spolszczył się szybko, podobnie jak wielu cudzoziemców w tym czasie, zasmakowały mu królewskie względy, wyczuł pomyślną koniunkturę na sztukę wśród ambitnej, rywalizującej z władcą magnaterii, fantastycznie bogatej nawet na tle powszechnej na przełomie 16 i 17 wieku pomyślności gospodarczej szlachty. Zasmakowała mu również swoboda twórcza w tym kraju, który do niedawna uważany w Europie za barbarzyński, dochrapał się wreszcie w epoce renesansu należnego uznania, wyłamał sobie drzwi na świat i zapragnął, by te drzwi były równie ozdobne jak u sąsiadów

Santi Gucci działał początkowo w Krakowie: zbudował zamek w Łobzowie i Baranowie koło Sandomierza, a swemu dobroczyńcy, królowi, który, zatrudniając go, oszczędził mu—być może—smutnego losu średniej klasy architekta we włoskiej ojczyźnie, a zapewnił długowieczność imienia w Polsce — wybudował kształtny nagrobek w Katedrze Wawelskiej.

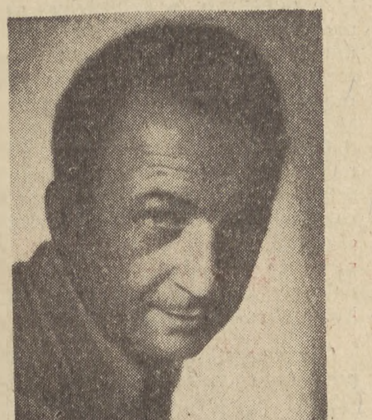
Do Pińczowa sprowadza go Myszkowski. Gucci urządza wielki warsztat, w którym zatrudnia kamieniarzy niemieckich i polskich i obsługuje swymi nagrobkami, pomnikami i dekoracjami kamiennymi okoliczną klientelę świecką i duchowną, najprawdopodobniej — jak wskazują na to zabytki — nie robiąc różnicy między budowlami różnych kultów, ariańskich, katolickich i żydowskich. Niektórzy przypuszczają, że znakomity architekt, a równocześnie zaradny Włoch, nie ograniczył się do wykonywania zamówień — lecz był również przedsiębiorcą budowlanym, ze wszystkimi płynącymi stąd korzyściami. W każdym razie warsztat pińczowski zakrojony był na wielką skalę, jeśli wystrój całej kaplicy poszedł stąd Wisłą do Włocławka.

Wypłacił się jednak Santi Gucci hojnie za gościnność: został jednym z wybitnych twórców polskiego renesansu, wyróżniającego się swoistymi cechami spośród innych typów ówczesnego budownictwa w Europie. W kształceniu tego stylu korzystał ze zdobyczy późno renesansowej rzeźby włoskiej, które łączył z cechami stylu niderlandzkiego. Typowe jest dla polskiego renesansu bogactwo dekoracji, jej malowniczość i fantastyka oraz wielka swoboda, występująca często przeciw przyjętym prawidłom. Zakres czasowy polskiego renesansu określa się na ostatnie dwa dziesiątki lat szesnastego stulecia i początek wieku siedemnastego do wojen szwedzkich. W tym samym okresie obserwujemy początki kosmopolitycznej architektury barokowej, którą na wielką skalę wprowadzają jezuici. W starciu z barokiem kształtuje się odrębność polskiego budownictwa, którego ośrodki warsztatowe rozrzucone są po całym kraju, idąc szerokim pasem od Rusi, przez Zamość — stanowiący piękny i rzadki przykład miasta zaplanowanego i jednolitego artystycznie, przykład dorównujący niejednemu z miast włoskich — przez Lublin i środkową Polskę ku Wielkopolsce. Warsztatów takich jak pińczowski musiało być w Polsce więcej, ale odkrycie go było doniosłą zdobyczą naukową i wyjaśniło pochodzenie wielu zabytków sztuki z tej epoki. Dziś, gdy w pełni ocenić możemy wartość tego odkrycia, nie ma już tego, komu je zawdzięczamy: Szymon Zajczyk, młody, utalentowany i niezwykle sumienny badacz sztuki, sławny na całą Europę znawca architektury bóżnic, zginął z ręki okupanta hitlerowskiego. Przewieziony przez przyjaciół z getta warszawskiego do prywatnego mieszkania w Warszawie, wyszedł kiedyś z domu i nie wrócił. Wszystko, co pozostawił ze swych badań nad warsztatem Gucciego, znamy tylko z przekazów ustnych, jakie zachowali koledzy Zajczyka, z który-

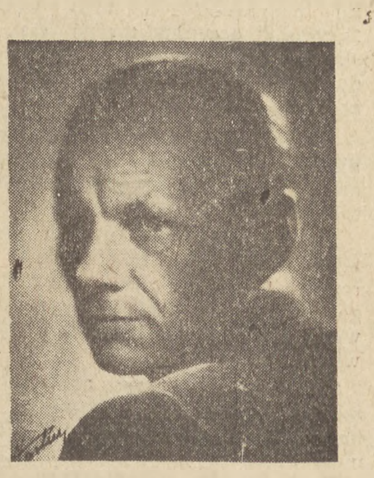


Sancygniów — brama z XVI w.

LAUREACI PAŃSTWOWYCH NAGRÓD ARTYSTYCZNYCH



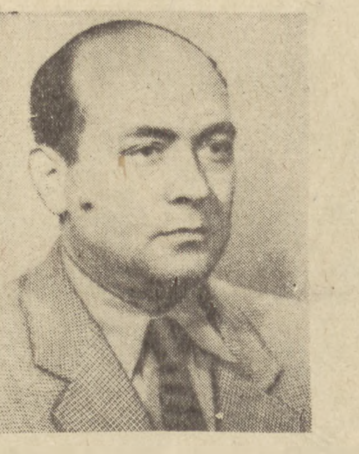
Stanisław Jankowski



Jan Knothe



Józef Sigalin



Zygmunt Stępiński

Realizatorzy i projektanci MDM — Nagroda zespołowa I stopnia w dziale architektury.

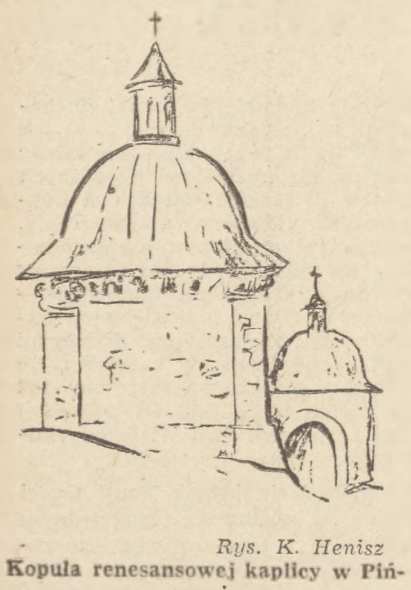


Bohdan Pniewski
Nagroda I stopnia w dziale architektury

mi dzielił się swymi pomysłami i odkryciami.

Z okresu warsztatu Gucciego pochodzi również pińczowska synagoga, jeden z najpiękniejszych zabytków tego miasta, surowa budowla o grubych murach, umocnionych na rogach ciężkimi, lecz kształtnymi przyporami; wewnątrz mroczny przedsionek z malowidłami o wyszukanym, biało-szaro-brązowym kolorycie, gdzie wypatrzeć można misternie ułożone motywy gołębia, bociana, wazonów z kwiatami. W sali zebrań z wysoko umieszczonymi oknami — błękitny strop ze złotą polichromią. Proporcje tej sali są zachwycające: stosunek kwadratu podłogi do wysokości ścian i okien, ilość światła, jakie przez nie wpada. Ściany zresztą i polichromia sczerniałe od ognia, posadzka wygląda jak klepisko, po którym stopy zwiedzających rozwłóczają pasma słomy.

Nie ma już nikogo w Pińczowie, kto by się w tej bóżnicy mógł mo-



Rys. K. Henisz

Kopuła renesansowej kaplicy w Pińczowie

dlić. Nie ma ani wierzących, ani niewierzących Żydów. Przeszła tędy straszna hitlerowska horda, przetrzebiła całą ludność miasteczka, porujnowała domy, obróciła w niwecz całą gospodarkę miejską.

Takie zjawisko spotykamy w kieleckiem na każdym kroku. Miałoby się ochotę zapytać: z czego żyją te miasteczka z pięknymi, ale nie dającymi się spieniężyć budowlami, które wzniosła tu magnacka fantazja?

Żyją jakoś, może jeszcze marnie, prawda, trochę z ziemi, trochę z drobnego przemysłu, ale jeśli nie otwarły się jeszcze dla nich bramy Sezamu na miejscu, to przecież nowo odbudowany i nowo powstający przemysł kielecki na gwałt woła o robotników. W samym pińczowskim powstaje fabryka chemiczna, rośnie ośrodek Skarżysko — Starachowice — Ostrowiec, w piętnastu miejscowościach kieleckiego buduje się zakłady przemysłowe. A co równie ważne: powstaje nowa linia kolejowa, która leniwe życie tego miasteczka przeorze do głębi, odświeży, wydobędzie je z tumanów wapiennego pyłu pińczowskich dróg.

Kto będzie w Pińczowie, nie powinien stamtąd odjeżdżać przed zobaczeniem tak zwanej ariańskiej drukarni, czy domku ariańskiego. Przegapiwszy moment, kiedy zwiedzali go wszyscy gromadnie, popędziłam tam co tchu, zanim jeszcze autokary dały sygnał do odjazdu. Mały parterowy domek z nieregularnie rozstawionymi oknami i ostro ściętym z jednej strony dachem. Zbudowany z kamienia układanego jak wielkie cegły, ale na przemian większe i mniejsze, a każdy z bloków kamienia ma żłobioną obwódkę wzdłuż konturu (nazywa się to fachowo: boniowanie), co daje piękny i prosty efekt ornamentacyjny. Dach na tym wysoki, a nisko spadający nad okna, z okapem, bardzo polski. Wewnątrz przedsionek, dwie izby w amfiladzie, przy drugiej izba kuchenna. Pod oknami, w grubym murze cieniste ławy kamienne. Wszystko razem ni to domek mieszczański, ni to dworek — jest w nim jakaś godność, powaga i ład. Czy była tu naprawdę drukarnia ariańska, nie wiadomo. W każdym razie budynek związany jest tradycją z Braćmi Polskimi, podobnie jak Pińczów cały, drugi po Rakowie największy ośrodek Arian. Tu Mikołaj Oleśnicki założył ariańską szkołę, przepędził Paulinów, klasztor oddał współwyznawcom, sprowadził uczonych przybyszy. Tu odbył się pierwszy ariański synod, tu najznakomitszy bodaj umysł wśród Polskich Braci, Łaski, składał wraz z Trzycieskim „Ateny Polskie", własne hymny i psalmy. Niedługi zresztą i smutny, podobnie jak w całej Polsce, był ich żywot, jeden bowiem z Myszkowskich, który tę majętność pińczowską nabył, Paulinów wrócił, wygnał z kolei Arian.

Szofer trąbi jak oszalały. Dźwięk, jaki wydobywa z klaksonu, nie podobny jest do żadnego ze słyszanych dotąd, coś pośredniego między zduszonym gwizdem syreny okrętowej i trąbą wzywającą na sąd ostateczny. Pędzimy co sił w nogach. Pińczów godzien jest kilkutygodniowego postoju, ale nie teraz, kiedy czeka nas jeszcze zbór ariański i kościół w Sancygniowie, zamek w Książy Wielkiej, gdzie umarł Santi Gucci i chęcińskie ruiny. Wsiadamy jako ostatni z maruderów. Historycy sztuki, którzy pomstowali na opieszałość niefachowej karawany, triumfują. Ale i my nie dajemy za wygraną. — No i co, no i co? — wypytujemy malarzy. — Noooooo — odpowiadają.

To dobry znak. Może przeniosą się tu następnego lata na plener z tradycyjnego Kazimierza nad Wisłą.

9 lipca, Kielce, wczesne rano.

Wczoraj po wyjeździe z Pińczowa ruszyliśmy po obiektach w takim tempie, że niesposób było dokładniej notować. Dali nam łupnia historycy ze swoją gorliwością w zwiedzaniu i zmysłem kolekcjonerskim. Niejeden zapamiętały wycieczkowicz może tyle nowego przez cały rok nie zobaczył, co my wczoraj przez jeden dzień. Na domiar kierownictwo objazdu zmieniło nieco plan, tak, że zamek chęciński obejrzeliśmy tylko w postaci romantycznej, z dołu, na tle zachodu słońca: trzy brunatne, ponure wieżyce i osiedle położone nie jak u nas zwykle, na zboczu góry, *ale na stoku*, jak włoskie miasteczka. W zamian za Chęciny podarowano nam Bejsce i zamiana była zdaje się dobra: jednak Chęciny leżą na turystycznym szlaku i łatwiej do nich dobrnąć w pojedynkę. A Bejsce mają kaplicę zdumiewającą: to Alhambra! — wołał ktoś z historyków sztuki. I naprawdę: przedziwna koronkowa bramka kamienna prowadząca do kaplicy, pełna gwiazd i kwiatów, tak, że powietrza w niej tyle co kamienia. Nagrobek Firlejów z piaskowca, alabastru i marmuru, pochodzący najpewniej z pińczowskiego warsztatu. Na nagrobku oboje Firlejowie klęczą nabożnie, on trochę jakby karykaturalny, brzuch mu zwisa nad pasem szlacheckim, a co się dzieje wokół tych postaci! Jakieś fantastyczne smoki, obok amorki z marmuru, na dole herb cały w liściach i piórach, wszystko kapie od dekoracji. Naprzeciw ołtarzyk jak klejnot precyzyjny, ale już barokowy, z suchą ornamentyką, bogaty, ale bez tej fantazji swobodnej, upozowane, miniaturowe teatrum. Ile tu do oglądania: figurki biskupów, anioły duże i małe, jedne niosą wieńce, drugie nie, ubrane i rozebrane, jakieś kolumienki, a materiał znów kunsztowny, marmury i alabastry.

I prawdziwie wzruszający nagrobek przy ołtarzu — małej Firlejówny, skromny i wielkiej szlachetności. Wyobraża młodą dziewczynę w wianku na głowie z wdzięcznie ułożonymi fałdami sukni. Leży lekko wsparta na łokciu, oczy ma zamknięte jak lunatyczka, w dłoni kwiat. Zdaje się, jeszcze chwila, a wstanie i pójdzie...

„Nie do takiej łożnice, moja dziewko droga, miała cię mać uboga doprowadzić"...

Ktoś powiedział półgłosem, zachwycony: Toż to cały Kochanowski.

W Sancygniowie oglądaliśmy zbór ariański, którego zarząd resztówki używa jako śpichrza. I naprawdę wygląda ten budynek trochę jak śpichrz, trochę jak bastion, tylko z boku niespodziewanie portalik ozdobny z obfitym festonem kamiennych owoców. Wchodzi się do wnętrza po stromych schodkach. Początkowo nie widać nic w mroku po oślepiającym blasku południa. Pachnie zsypane na kupki ziarno, potykam się o wielką, gospodarską wagę. Oswoiwszy się nieco z ciemnością widzę beczkowe sklepienie schodzące nisko ku kamiennej posadzce.

Na pałacyk wszyscy wydziwiali, nikt go nie poszedł oglądać. Grupy ruszyły do kościoła, naprawdę pięknego, gotyckiego, z połowy piętnastego wieku. Leży nad rozległym, malowniczym stawem, w którym chlapią się wiejscy chłopcy, i ma na zewnątrz piękną, ludową stację z drzewa. Do pałacyku jednak wstąpiłam. Nieciekawy, bo nieciekawy ale i zniszczony w środku bez pamięci. Próbuję po kolei otworzyć kilka par drzwi: zamknięte. Jedne się uchylają. Widać w pierwszej salce kobietę gotującą coś na kominie, przez drzwi drugiej małe krzesełka: dziedziniec. Przedszkolanka oprowadza mnie po ogrodzie, sadzie i czworakach. Byli fornale dostali tu z nadziału po dwa, trzy hektary z dawnego majątku. Grupa mężczyzn z Sancygniowa pracuje w Nowej Hucie, wyjeżdżają samochodami ciężarowymi w poniedziałki, w soboty wracają do rodzin. Pracują tak już od dwu lat, jest to nowy typ „podróżującego" robotnika. Przywiązali się do tamtej pracy, ale żal im świeżo otrzymanej ziemi, która kiedyś była pańska, a teraz jest ich. Przyjeżdżają doglądać, jak gospodarują na niej kobiety. Kto wie, czy nawyk nowej pracy nie porwie ich tak, że rzucą wreszcie Sancygniów, by razem z rodzinami powiększyć liczbę stałych mieszkańców Nowej Huty.

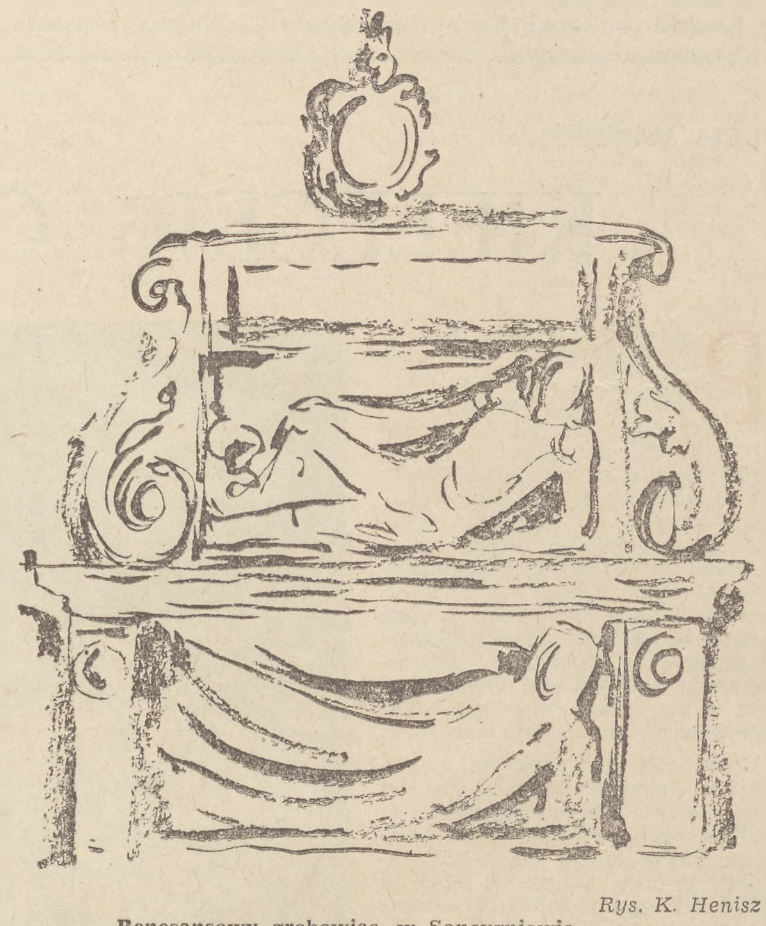
Notatki z Książy Wielkiej trzeba odłożyć na kiedy indziej. Późno już, dobiega siódma, za chwilę wyjeżdżamy do Rytwian.

. . . .

Autokary zatrzymują się na krańcu wioski. Reszta drogi prowadzi już przez las. Kontemplacyjny zakon Kamedułów zaszył się tu niegdyś głęboko, z dala od ludzkich oczu. Idziemy lasem — trzeszczą pod nogami gałązki i tu, gdzie zieloność nagrzewa się od słońca, nalatują na nas smugami zmieszane wonie ziół i kory — to znów przenosimy się na drogę, na której znany nam już pył wapienny podnosi się niegorzej niż wśród pól.

Po dwudziestu minutach marszu ukazuje się nagle na polanie czy dawnym karczowisku biała oaza architektury, do której prowadzi amfilada równie białych kamiennych bram. Mur, który dawniej otaczał klasztorne osiedle, został już tylko we fragmentach, nie ma małych pustelniczych domków, które przytykały niegdyś do kościoła. Ale całość w tym kształcie jest świetnie utrzymana i gdybyśmy nie znali planów poprzedniej budowli, zdawałoby się, że niczego tu nie brakuje. Do wewnętrznej bramy przylegają zabudowania gospodarskie, gdzie mieszka teraz gajowy. Takie stare zabudowania użytkowe budzą we mnie zawsze jakąś żywą, ludzką ciekawość, która zabarwia zwiedzanie przyległych, znaczniejszych dostojności architektonicznych jakimś swojskim tonem.

Kościół w Rytwianach, choć piękny od zewnątrz, najciekawszy jest dla swej dekoracji malarskiej. Obie boczne nawy zostały odcięte i przekształcone na kaplice, których ściany szczelnie pokryły suche tempery i obrazy olejne. Ten, kto zajmował się ozdobieniem wnętrza, musiał być rozmiłowany w malarstwie; pełno go we wszystkich czterech kaplicach. Tu wielki obraz Chrystusa-ogrodnika w słomkowym kapeluszu, na ścianie, pod sklepieniem, przedziwny portret kobiecy, ciemny i demoniczny jak starożytna Medea, malarstwo w medalionach ściennych, malarstwo na sufitach i nad stallami za ołtarzem, gdzie widnieje barwny plan starych zabudowań i obrazy patronów samotniczego życia pustelników: jakieś kuszenia pośród kolorowych ptaków i zwierząt, ponure grobowce z czaszkami, gdzie w świetle aureoli odczytuje stare foliały łagodny starzec z brodą, jakieś diable harce, wszystko, co przekazały potomnym ludowe, pełne fantazji legendy.



Rys. K. Henisz

Renesansowy grobowiec w Sancygniowie

Archiwa bielańskiego klasztoru kamedułów pod Krakowem wskazywałyby na to, że przeważną część tych malowideł w Rytwianach sam, lub z pomocą uczniów, stworzył przeor Venanteda Subiaco, który przybył tu około 1630 roku z Florencji. Ale historycy sztuki, specjaliści od malarstwa, spierają się o jednolitość wykonania, pokazują sobie szczegóły, zwracają uwagę na różnice technik, stopnia doskonałości i wpływów. Lepiej laikowi uciekać od tych warsztatowych sporów, nim się jakoś zdania wyklarują w ogniu dyskusji, inaczej nie tylko gotów nabawić się zamętu w głowie, ale i nieufności do hipotez, dotyczących autorstwa dzieł sztuki.

W Rytwianach brzęczy jak w ulu. Badacze rozbiegli się, rozsnuli, rozpełzli niemal po wszystkich zakamarkach budynku: widać ich na galeryjce prowadzącej na chór, ktoś opukuje stalle, ktoś jeszcze rozpytuje gorączkowo o stare ornaty, temat swej bieżącej pracy naukowej, ktoś jeszcze inny wyniósł na światło słoneczne małe putto i fotografuje je, leżąc na brzuchu w trawie. Obok szaleje kronika filmowa.

Jest bardzo upalnie. Wymykam się na krótką chwilę odpoczynku poza bramy, na skraj lasu. Ale już słyszę za sobą wesoły gwar malarskiej grupy. Karawana outsiderów znów spotyka się na wagarach. Ale ci mają zawsze usprawiedliwienie: szukają pejzażu. — Co za piękny zawód! Ktoś wzdycha.

Za pół godziny ruszamy do Staszowa.

Julia Hartwig



Dawna drukarnia ariańska w Pińczowie.

DOBROSŁAW KOBIELSKI

ARTYKUŁ DYSKUSYJNY

Kilka uwag o architekturze Warszawy

Zagadnienie plastycznego wyrazu Warszawy, jako powstającego miasta socjalistycznego — jest przedmiotem wielu narad czołowych architektów i urbanistów polskich.

Szereg organizowanych przez SARP i biura projektowe pokazów było sprawdzianem dojrzewania nowej myśli architektonicznej, przezwyciężającej kosmopolityczne tendencje przejawiające się w tej dziedzinie twórczości w pierwszych latach po wyzwoleniu naszego kraju.

Każdego niemal dnia oczom przechodniów ulic warszawskich ukazują się elewacje nowych domów.

Wiele ulic stołecznych jest już całkowicie odbudowanych, wiele w najbliższym już czasie wyzbędzie się ponurych śladów wojny.

Architekci bogatsi w doświadczenia, których dostarczają im tworzone przez nich, realizowane w szybkim tempie projekty, dyskutują, omawiają braki i zalety swej pracy. Mało jednak wpływają na ich twórczość fakty, które sprawiły, że w opinii szerokich rzesz społeczeństwa budynek otrzymał jakieś miano kwalifikujące go jako tzw. dzieło „udane" lub „nieudane". Organizowane spotkania projektantów i wykonawców z użytkownikami osiedli mieszkaniowych nie przyniosły żadnych zmian na odcinku wprowadzenia do pracy projektanta uwag odbiorców o jego twórczości. Siłą rzeczy dyskusja, jaka wywiązała się w czasie tych spotkań, schodziła na tory zagadnień utylitarnych, które zresztą w większości wypadków były subiektywnym poglądem jednostek „dotkniętych" jakimś niedomaganiem urządzeń wewnątrz lokalu. Architekci w swej pracy zostali nadal bez tak silnego oręża, jakim jest krytyka mas.

Sztuka teatralna czy film mają swoją recenzję. Krytyk dzieli się swymi uwagami o pracy literata. Jedynie architektura nie znajduje zorganizowanego i zdrowego głosu krytyki.

A przecież właśnie architektura ma szczególnie szerokie społeczne zadania.

„Architekt społeczeństwa budującego socjalizm jest nie tylko inżynierem gmachów i ulic, lecz inżynierem dusz ludzkich. Ma on możność oddziaływania na masy ludzkie wszędzie i zawsze — jego zadania w tym względzie są więc szersze niż literata czy muzyka. Musi on w swych dziełach, w kształtach bryłowych, w rytmach otworów, podziałów, w dynamice form, w plastyce płaszczyzn wyrazić idee współczesności — nie „idee" piękna konstrukcji czy wyrafinowanej elegancji form, lecz społeczne idee, w imię których żyją i pracują masy ludzkie: ideę siły i trwałości państwa ludowego, jego demokratyzmu i humanizmu, idee prawdziwej wolności i wszechstronnych możliwości rozwoju, które daje ono człowiekowi" (Nowe Drogi — 1949 — Nr 3 (15) E. Goldzamt „O realizm socjalistyczny w architekturze"),

Brak szerokiej krytyki tworzonej architektury nie tylko że jest poważnym utrudnieniem w pracy architektów, ale utrudnia społeczeństwu zrozumienie wartości wychowawczych architektury, która jako jedna z najpowszechniejszych dziedzin sztuk plastycznych wyrabia poczucie estetyki wpływając na nastrój i usposobienie jej „użytkowników".

Przy szybkim tempie rozwoju Warszawy sprawa oceny pracy architekta nabiera tym większego znaczenia, że niedostrzeżenie obcych wpływów ideologicznych czy też błędów projektowych powoduje wielokrotne ich popełnienie w szeregu wznoszonych budynków.

Fakt ten jeszcze bardziej potwierdza tezę, że nie można przechodzić do porządku dziennego nad zjawiskiem nadawania przez społeczeństwo wielu budynkom określeń nieraz bardzo złośliwych. Świadczy to zresztą o reagowaniu i wrażliwości przechodniów ulic stołecznych na architekturę, a więc podkreśla znaczenie jej roli jako czynnika wychowawczego.

Są przyczyny, które sprawiają, że dom został „przyjęty" lub „nieprzyjęty" przez społeczeństwo.

Architekci walczą z balastem wielu lat panowania formacji kapitalistycznej, która wywierała decydujący wpływ na ich twórczość; dążą do wprowadzenia metody realizmu socjalistycznego do nowej architektury polskiej. Oczywiście etap rozwojowy, na jakim znajdujemy się, nie może dać jeszcze doskonałego nowego stylu, ale lata jego rozwoju muszą znaleźć swój odpowiednik w rozwoju i postępie dokonywającym się przy poszukiwaniu plastycznego, artystycznego wyrazu epoki.

Kto więc ma spełniać rolę ogniwa, które połączy wysiłki projektanta z uwagami społeczeństwa na temat jego pracy? Wydaje się, że jest to właśnie rola „krytyka" twórczości architektonicznej, którego zadaniem będzie przekazywanie twórcy uwag mas o jego pracy, masom zaś uwag i spostrzeżeń na temat trudności, jakie napotyka projektant przy tworzeniu nowej, ludowej architektury. Za pośrednictwem tego właśnie „krytyka" powinna toczyć się dyskusja, która wpłynie na pewno dodatnio na kształtowanie się myśli architektonicznej.

Jakiego rodzaju zastrzeżenia i wątpliwości w stosunku do twórczości architektonicznej są najczęściej spotykane?

Zagadnienie powiązania w architekturze socjalistycznej treści z narodową formą nie znajduje należytego omówienia, które wyjaśniłoby wiele błędnych na ten temat wypowiedzi.

Socjalistyczna treść architektury została przez masy zrozumiana, bo bezpośrednio odpowiada jej dążeniom. Jednakże drugi postulat — narodowa forma architektury, jest trudny do zrozumienia. Spotyka się często pytanie: „W czym się wyraża narodowa forma w architekturze wielkich bloków biurowych czy mieszkalnych, które wydają się być tak podobne do siebie?"

Zyskują one najczęściej opinię, że dom, względnie ich zespół nie pasuje do otoczenia, mimo że właściwie na uzasadnienie tego nie ma przytoczonych argumentów, które by wyraźnie usprawiedliwiały tę opinię.

Nieliczne próby szerszego omówienia tego postulatu realizmu socjalistycznego nie wywołały większej dyskusji, która do reszty sprecyzowałaby pewne teoretyczne pojęcia.

Nie ma również wypowiedzi, zwłaszcza ze strony fachowców, jaki postęp w dziedzinie pracy architekta stanowi jego ostatni projekt w stosunku do poprzednich. Nikt nie wskazuje na drogę, jaką przebył projektant zmierzający do opanowania metody realizmu socjalistycznego w architekturze.

Jest to nowe pole do działania krytyka. Nie ma również wyjaśnień czy tłumaczeń, które pozwoliłyby na zrozumienie obserwatorowi nowej architektury, elementów, jakimi operuje architekt chcąc stworzyć dzieło plastyczne, które będzie przemawiać do odbiorcy.

Można by się szerzej zastanowić nad tym zagadnieniem biorąc za przykład zespół domów o jakimś wyrazie architektonicznym, które ograniczają ulicę jako fragment organizmu miasta. Tak jak pokój stanowi pewne określone wnętrze lokalu zamieszkiwanego przez rodzinę, która przeznacza go dla tych lub innych celów, tak i ulica jest pewnym wnętrzem przeznaczonym dla tych czy innych celów szerokiej grupy społecznej.

Stosując pewną analogię można twierdzić, że ulica jako wnętrze powinna mieć swoje „wejście" i „wyjście", tak jak ma je wnętrze mieszkalne. Czym w zespole ulicy ma być „wejście" lub „wyjście"? Oczywiście nie może być mowy o jakimś zwężeniu czy innym rozwiązaniu, które przekreślałoby przydatność komunikacyjną ciągu ulicznego. Elementem otwierającym czy zamykającym ulicę powinno być nagromadzenie fragmentów architektonicznych, które w tych punktach zwiększyłyby monumentalność zabudowy, bądź też stanowiły zamknięcie perspektywiczne zespołu. Prowadząc dalej porównanie można twierdzić, że wnętrze ulicy zgodnie z jej przeznaczeniem, podobnie jak i wnętrze pokoju, powinno mieć odpowiednie opracowanie ścian, a więc dostosowany do charakteru ulicy detal jako fragment elewacji, opracowany gabaryt, wreszcie, że powinien być odpowiednio dobrany materiał licujący budynki, który określi ich fakturę.

Czy wszystkie ulice Warszawy odpowiadają warunkom tego rozumowania? Ma swoje zamknięcie i otwarcie odcinek Marszałkowskiej od ul. Wilczej do pl. Unii Lubelskiej. Wyraźnie pokazują nam to zaakcentowane ryzality bloków MDM, które zamykają Marszałkowską od strony południowej. Zamknięcie to podkreśla w perspektywie sylweta kościoła Zbawiciela.

Ma swoje zamknięcie i otwarcie fragment zabytkowego ciągu, jakim jest Krakowskie Przedmieście, ma wiele innych ulic, ale są i takie, które pozbawione są fragmentów o czytelnym wyrazie architektury. Są ulice a nawet ich zespoły monotonne i przygnębiające.

Powszechnie przyjęło się określenie, że Muranów nie pasuje ze swą architekturą do zespołów architektonicznych, z którymi sąsiaduje, względnie z którymi będzie sąsiadował zgodnie z opracowanymi już projektami. Wnętrze tego osiedla jest niezgodne z przeznaczeniem. Przechodnia czy mieszkańca dziwi szereg elementów, którymi operuje projektant. Podkreśla to nieudany na tym osiedlu eksperyment z prefabrykatami, które przecież gdzie indziej dają architekturze pożądany wyraz.

Są wreszcie domy, które robią wrażenie sztucznie wtłoczonych w charakterystyczną zabudowę ulicy. Jako przykłady mogą służyć: narożnik ul. Rutkowskiego i Nowego Światu oraz narożnik ul. Królewskiej i Krakowskiego Przedmieścia.

Wszystkie te niezrozumiałe przykłady są niewiadomą, której zwłaszcza architekci nie usiłują wyjaśnić, mimo że przecież na pewno docierają do nich opinie społeczeństwa.

Wydaje się, że projektanci powinni wypowiedzieć się na poruszony temat i że powinni znaleźć się ludzie, którzy spełnialiby trudną rolę krytyka twórczości architektonicznej.

„Strona estetyczna budowli jest jednym z elementów nadbudowy ideologicznej.

Poprzez ciągłą ewolucję form odzwierciedlają się w architekturze stosunki wytwórcze, a wraz z nimi formacje społeczne i ich kierujące idee.

Równocześnie stosując odpowiednie formy, barwy i proporcje, architektura kształtuje ludzką wrażliwość estetyczną, tworząc w ten sposób podbudowę emocjonalną dla ideologii społecznej.

Rola ta wówczas może być spełniona, gdy architektura przemawiać będzie językiem powszechnie zrozumiałym, a więc językiem wywodzącym się ze źródeł tradycji rodzimej, a nie językiem kosmopolitycznego esperanta. Architektura musi nie tylko liczyć się z warunkami przyrodzonymi kraju, ale także z nawykami i upodobaniami jego ludności, wyrażającymi się w rozwoju historycznym sztuki ludowej i narodowej".*)

Wymiana myśli na poruszone tematy przyczyni się na pewno do spotęgowania roli architektury jako sztuki plastycznej.

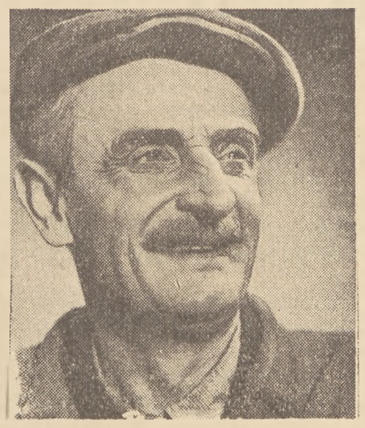
Dobrosław Kobielski

*) Z referatu E. Olszewskiego i S. Tworkowskiego, wygłoszonego na Zjeździe Inżynierów i Techników Budownictwa w Gdańsku.

LAUREACI PAŃSTWOWYCH NAGRÓD ARTYSTYCZNYCH



Jan Rybkowski
Nagroda II stopnia za reżyserię filmu „Pierwsze dni".



Jan Ciecierski
Nagroda II stopnia za rolę Plewy w filmie „Pierwsze dni".



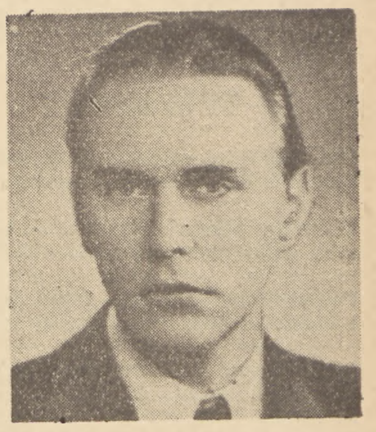
Karol Siciński
Nagroda II stopnia w dziale architektury (za odbudowę i twórczą rekonstrukcję Kazimierza n/Wisłą).



Jan Marcin Szancer
Nagroda II stopnia za ilustracje książkowe.



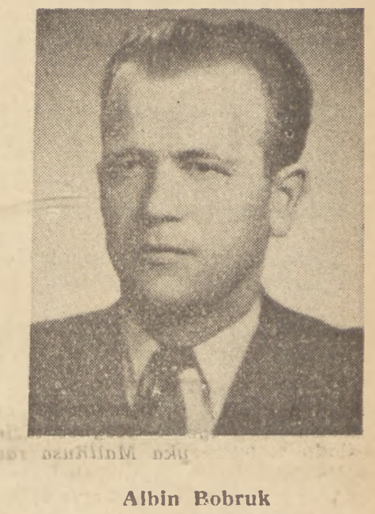
Karol Ferster („Charlie")
Nagr. III stopnia za aktualne karykatury polityczne.



Wojciech Fangor
Nagr. III stopnia za obrazy „Matka Koreanka" i „Lenin w Poroninie".



Kazimierz Koźniewski
Nagr. III stopnia za powieść „Piątka z ulicy Barskiej".



Albin Bobruk
Nagr. III stopnia za książkę „Matka i syn".

KRZYSZTOF GRUSZCZYŃSKI

DWA OPOWIADANIA

POLEGŁY ŻOŁNIERZ I WIELKA BUDOWA

Bohdanowi Czeszko

I

Człowiek, z którego ust posłyszałem tę opowieść, urodził się na dnie morza. Tam też upłynęło jego dzieciństwo. Zdarzenie przez niego odmalowane nie było mi obce, znałem je z prasy i radia. Ale wiadomo, że czas, noszący znamię wielkości, bogaty jest w legendy, te zaś, jakkolwiek obeznały się z drukiem i falami elektromagnetycznymi, lubią zarazem chadzać starymi drogami, z ust do ust. W kraju, gdzie każda wieść powszechna staje się najbardziej prywatną nowiną dla milionów obywateli, ludzie gawędzą o zaślubinach rzek sposobem równie intymnym jak o zaślubinach krewnych czy sąsiadów. Nic więc dziwnego, że w rozprzestrzenianiu legend komunizmu, owych baśni z życia samego wziętych, wicher stepowy współzawodniczy z potężnymi rozgłośniami, świergot ptaków z lotną piosenką, przygodna rozmowa z reportażem w gazecie.

Człowieka, którego kolebką było morskie dno, spotkałem w Rostowie nad Donem, w dniu, kiedy pierwsze statki z Moskwy zawinęły do tamtejszego portu. Nie miał pięknej, natchnionej twarzy ani porywającego spojrzenia entuzjasty, ale od tego, co mówił, dostawało się wypieków.

— Zdawało mi się — opowiadał — że przyszedłem na świat w kozackim chutorze, pośród stepowych traw i wysychających latem strumieni. Ale z mapy wynika, że urodziłem się pod wodą. Dawniej nie wiedziałeś, gdzie stanie twój grób, teraz nie masz pewności, gdzie stała twoja kołyska.

Uśmiechnął się, oczy mu rozbłysły. To nic, że nie przyjechał s t a m t ą d. Masy spienionej wody, która zapełniła basen cymlański, obdarowały i tego człowieka kroplą poezji. Wołgo-Don odświeżył, przystroił w nowe barwy jego biografię.

— Ot i niespodzianka — rzekł. — A przecież to dopiero początek....

Człowiek ów opowiedział mi po swojemu historię, którą przytaczam.

II

Drugi już raz w ostatnim dziesięcioleciu rodzice żołnierza opuszczali rodzinną wieś.

Gdy odchodzili po raz pierwszy, dzień był pochmurny, ale to nie w powietrzu się chmurzyło, barometry wskazywały trwałą pogodę. Chmurzyła się ziemia. Po stepie wałęsały się gorzkie dymy, rozwłócząc woń prochu i spalenizny. Było lato 1942, świat dowiedział się wówczas o istnieniu stacji Cymlanskaja: powtarzała się w komunikatach Sowinformbiura jako teren szczególnie zaciętych walk.

Rodzice żołnierza, pochłonięci zabezpieczeniem kołchozowego dobytku, w ostatniej dopiero chwili pomyśleli o własnym wyjeździe. Stary wziął samowar, stara węzełek z bielizną, chatę zamknęli na klucz. Kierowca pomógł im się wdrapać na zatłoczoną ciężarówkę, podano im z góry ręce, chociaż, na dobrą sprawę, miejsca już na platformie nie było. Ruszyli nie od razu, w chłodnicy „Zisa" gotowała się woda. Horyzont dudnił, niesamowicie blade rakiety rozpryskiwały się na przyćmionym brudnymi oparami niebie. W ogródkach chutoru artylerzyści wyprzęgali przeciwpancerne działka. Gdy motor zapalił, przez pole ryżej, przywiędłej od upału sudanki pełzły już ku wiosce nieprzyjacielskie czołgi.

— Prędzej, prędzej — krzyczeli na kierowcę artylerzyści, którzy zostawali na śmierć. Uspokoili się dopiero, kiedy ciężarówka odjechała, kolebiąc się na wyboistej, polnej drodze.

Przez tuman kurzu, kłębiącego się śladem maszyny, rodzice żołnierza patrzyli na ojczystą wieś. Płonęła. Nad pochodniami chałup tliło się niezdrowym blaskiem zaczerwienione od dymu słońce.

— Mamo, a spytałaś sierżanta, kiedy wrócimy — odezwało się czyjeś dziecko.

Staruszkowie drgnęli. Sierżant, dowódca baterii, był to ich syn.

— — — — — — —

Ciało jego odnaleźli w odtajałym popiele chutoru, wiosną, po stalingradzkim zwycięstwie. Nie dali syna na cmentarz. Pochowali go w ogrodzie obok nowej chaty, pod kędzierzawą śliwą o pobielanym, niskim pniu. Jesienią nad grobem kłoniły się gałęzie, obładowane jędrnym, omszałym, ciężkim owocem. Latem ogniste kwiaty okrywały mogiłę. Całą czułość dla syna przenieśli staruszkowie na grządkę ziemi, pod którą leżał, pielęgnowali ją jak kiedyś, w przeszłości, niemowlę. Pocieszali się, że poległy jest przy nich, że uczestniczy jakoś w ich życiu, ciepłymi zwłaszcza miesiącami, kiedy kopczyk nad trumną zieleni się i zakwita.

I oto nadszedł dzień, w którym znowu trzeba było opuścić wieś, tym razem na zawsze. Stacja Cymlanskaja wróciła na pierwsze stronice gazet. W chutorze pojawili się inżynierowie w skórzanych wiatrówkach, robili pomiary. I znowu, jak w czterdziestym drugim, ładowano się na ciężarówki. Miejscowość miała się osunąć na dno morza, zalśnić na mapach Europy szafirową plamą.

Przed chatę rodziców żołnierza zajechał tego dnia zielony gazik. Starzy podreptali przed furtkę witać gościa, był nim sekretarz rejonowego komitetu partii.

— No jak, zbieramy się?—spytał.

— Zbieramy się pomaleńku — odpowiedział ojciec żołnierza.

Sekretarz rajkomu, szpakowaty mężczyzna w szarej kurtce, ostrożnie stąpał po ścieżce. Chodził na protezach, obie stopy zostawił w Stalingradzie.

— Żal odjeżdżać? — zagadnął.

— Żal — odparł staruszek.

Usiedli na ławce, pod słonecznikami.

— Wpadłem do was ot w jakiej sprawie — zaczął sekretarz. — Przewieziemy waszego syna na nowe miejsce.

Staruszka chlipnęła, staruszek kilkakrotnie przełknął ślinę.

— Dzięki, towarzyszu sekretarzu, za troskę — odezwał się wreszcie. — Ale myśmy się naradzili... Naradziliśmy się... I niech on tu zostaje...

— Chcecie, żeby został?

— Tak — staruszek szybko odwrócił głowę.

— — — — — — —

Co wpłynęło na decyzję rodziców? Może świadomość, że gdyby żył ich syn, pozostałby tutaj, wśród budowniczych cymlańskiego rezerwuaru. Może chęć ofiarowania tego, co najbliższe sercu, pięknej przyszłości ojczystego kraju. Może przeświadczenie, że człowiek, który na tej ziemi poległ i sam się stał jej cząstką, zasługuje, aby dzielić jej bajeczne przemiany. A może wszystko razem...

Minął rok, drugi... Kroczące koparki, zastępujące pracę tysięcy ludzi, nie zdruzgotały trumny żołnierza. Opuszczano ją coraz niżej, aż spoczęła na dnie basenu. Przybyli wówczas marynarze, przytwierdzili do grobu długą linkę, na jej końcu zaś umocowali podłużny pływak, na którym wypisane było imię i nazwisko, data urodzin i data śmierci poległego.

A kiedy pierwszy sztorm zwichrzył powierzchnię nowego morza, pływający nagrobek kołysał się na falach. Dzisiaj statki pięciu mórz spotykają go na swym kursie. Małą, czerwoną boję, przypominającą, że pod wysokim słupem wody pochowany jest człowiek.

Można z niej odczytać jego imię. Można także odczytać wielkość czasu, w którym wielkie budowy dają wielki majestat tak na pozór nieznacznemu wydarzeniu jak śmierć prostego żołnierza.

JUBILEUSZ APOŁONA ARCHIPYCZA

Uroczystości ku czci Apołona Archipycza Bieługi przypadły na połowę czerwca, a więc na ów błogosławiony, trwożny czas, gdy spłowiała od żaru słonecznego pszenica kubańska omdlewa i skłania się pod ciężarem dojrzałych kłosów. Pora jest patetyczna, stanice pławią się we wzruszeniu: ciesząc oczy urodzajem, zamierają z lęku czy pszenica ustoi. Co prawda suchowieje nie hulają już, jak dawniej, po stepie, gorący podmuch więźnie w akacjowym gąszczu leśnych pasów ochronnych, ale niebo na Północnym Kaukazie bywa zdradliwe. Ani się spojrzysz, jak znojny, tchnący wieczną pogodą, wyblakły lazur zaprószy się chmurami i krótka, gwałtowna ulewa przejdzie po łanach niczym tabun dzikich koni.

W połowie czerwca pszenica zasłania świat. Potonęły w niej kurze miasteczka i pasieki, zagubiły się wysiane drobną muszlą ścieżki. Zanurzysz się, zapadniesz i ty jak w toń. W połowie czerwca pszenica zasłania świat, ale uroczystości ku czci Apołona Archipycza Bieługi odbyły się mimo wszystko.

Rozpoczęły się późnym wieczorem, bo dzień był roboczy. Duży, czerwonawy księżyc stał już nad stanicą, kiedy „Pobieda" przewodniczącego kołchozu zajechała przed klub i pięciu wnuków Apołona Archipycza podskoczyło do drzwiczek maszyny. Ustawiona przed gankiem orkiestra zagrała tusz. Orkiestra składała się z ludzi młodych a romantycznych, którzy w powszednie noce włóczyli się po sadach z bajanami i jedynie od święta zamieniali liryczną harmonię na grzmiący puzon czy róg. Otóż orkiestra zagrała tusz, po czym Apołon Archipycz w towarzystwie przewodniczącego i rodziny wkroczył do klubu.

Obie elektrownie kołchozowe pracowały w owej chwili na pełnych obrotach i biały pałacyk bił światłami w zaróżowioną księżycem noc. Może od tego blasku, a może z innej zgoła przyczyny, Apołon Archipycz Bieługa, usadowiwszy się na scenie, za prezydialnym stołem, jął mrugać powiekami tak gęsto, że przewodniczący kołchozu zląkł się, czy staruszkowi nie zbiera się na sen. Zanim więc na sali, nabitej po brzegi kołchoźnikami, przebrzmiały powitalne brawa, przeprowadził szeptem a błyskawicznie naradę z pozostałymi członkami prezydium, do którego obok Apołona Archipycza wchodzili: najmłodszy wnuk tegoż, przodujący kombajner Nikita Iwanowicz Bieługa, sekretarz miejscowej organizacji partyjnej, oraz brygadier wyróżniającej się brygady polowej Nina Filipowna Bieługa, onegoż Apołona Archipycza najstarsza prawnuczka. Wniosków jednakże żadnych nie podjęto, a ponieważ owacja miała się ku końcowi, przewodniczący kołchozu, kawaler dwu orderów „Sławy", pyzaty i wesoły Kudriawcew powstał z miejsca, postanowiwszy w duchu, że — jakkolwiek rzecz to niełatwa — zaplanowane na pół godziny przemówienie ściśnie do minut pięciu.

— Towarzysze — zaczął, oparłszy się łokciami o pulpit mównicy — towarzysze, zebraliśmy się dzisiaj, aby uczcić dobrym słowem naszego Apołona Archipycza...

Tu przerwał, bo zaskrzypiały wszystkie krzesła. Tłum podniósł się, załopotały znowu oklaski, orkiestra raz jeszcze zagrała tusz. Żyrandol zakołysał się i przygasł na chwilę, poruszyły się podobne do łap wielkiego pająka wstęgi kolorowej bibuły czepiające się plafonu, a z jedliny, ciężkimi festonami oplatającej ramę sceniczną, posypały się zielone igły.

Kudriawcew ukradkiem spojrzał na Apołona Archipycza. Starzec miał oczy przymknięte. Głowa jego, osadzona na cienkiej, wysuszonej szyi, nakryta kolistą jak u mnichów grzywką rzadkich, siwych włosów, dygotała lekko, ręce nieruchomo spoczywały na czerwonym suknie, okrywającym stół. Przewodniczący stanowczym gestem uciszył wrzawę i nie czekając aż zebrani usadzą się z powrotem w skrzypiących, składanych fotelach, podjął przerwaną rzecz.

— Nasz Apołon Archipycz Bieługa ukończył dzisiaj chlubnie lat dziewięćdziesiąt pięć — huknął wśród pisku i trzeszczenia krzeseł. Cisnęło mu się już na usta sakramentalne „urra", ale że wywołałoby to nową, długotrwałą owację, więc zaniechał.

— Imię Apołona Archipycza — ciągnął — związane jest najściślej z naszym kołchozem. Kiedy zaczęła się kolektywizacja, Apołon Archipycz... No, trzeba powiedzieć, że trochę przeszkadzał... Przeszkadzał trochę — powtórzył Kudriawcew, uśmiechając się. — Stary był, nie rozumiał...

Głośny, dobry śmiech rozległ się po sali. Kapelmistrz już dawał znak i niechybnie tusz zabrzmiałby po raz trzeci tego wieczora, gdyby Kudriawcew o ułamek sekundy nie ubiegł dyrygenta.

— Minęły lata, towarzysze — mówił przewodniczący — i kto ratował kołchozowy dobytek przed faszystowskim najazdem, kto, pomimo podeszłego wieku, przemaszerował setki kilometrów, uganiając w góry kołchozowe bydło? Onże, Apołon Archipycz Bieługa...

Tu zamierzał Kudriawcew zwrócić się wprost do jubilata, ale rzuciwszy nań wzrokiem, stracił rezon zupełnie. Staruszek nie tylko miał opuszczone powieki, ale z jego nozdrzy dobywał się poza tym cieniutki świst, dziwnie przypominający chrapanie. Pobrużdżona, ciemna, jak gdyby z bejcowanego drzewa wyciosana twarz Apołona Archipycza naznaczona była spokojem głębokiego snu i jedynie wargi, okolone słabowitym, pożółkłym od tytoniu zarostem, lekko, leciutko drżały.

— Towarzysze, w zarządzie kołchozu dyskutowana była sprawa uczczenia dziewięćdziesiątych piątych urodzin Apołona Archipycza — kończył pośpiesznie przewodniczący — i oto, co zarząd proponuje... Zbliżamy się do komunizmu, towarzysze... Jedziesz brzegiem Wołgi czy Donu, rozglądasz się, widać już komunizm gołym okiem... Ale Apołon Archipycz staruszek, nie wiadomo, czy dożyje komunistycznego społeczeństwa... Dlatego też zarząd proponuje, aby mu jeszcze za życia urządzić komunizm. Niech sobie towarzysz Bieługa najstarszy bierze, na rachunek kołchozu, z naszego sklepu spółdzielczego według potrzeb... Taka jest propozycja zarządu, zebranie niechaj rozważy i zatwierdzi...

Zagrzmiały brawa, orkiestra wsparła ogólny aplauz tuszem o wiele bardziej rzęsistym niż oba poprzednie. Wróciwszy do stołu prezydialnego, Kudriawcew zerknął z bliska na Apołona Archipycza i przekonał się, że stary nie śpi. W zagłębieniach pod jego oczami zbierała się rosa. Grube łzy ciekły spod przymkniętych powiek, toczyły się wszystkimi zmarszczkami i ze zwilgniałej, rzadkiej bródki kapały na klapę surduta, na której połyskiwał malutkim słońcem złocisty medal „Za zwycięstwo".

Apołon Archipycz otworzył naraz oczy, podniósł się i ruszył powoli ku trybunie, wysoki, ale przygarbiony wiekiem, całym niemal w i e k i e m. Na sali zrobiło się cicho jak makiem posiał i w ciszy tej ozwał się nagle zachrypnięty, wzruszony głos staruszka:

— Za co, kochani? Za co tyle zaszczytu?... Długom żył, cała moja zasługa... Ot, synkowie moi, pięciu było, dwaj za władzę rad oddali życie, tych wspominajcie... Trzech się ostało, socjalizm budowali na wsi i w mieście, są tutaj...

Bieługa najstarszy wyciągnął rękę ku pierwszemu rzędowi krzeseł, gdzie na honorowych miejscach siedzieli jego trzej synowie: po bokach Iwan i Archip Apołonowicze, obaj sześćdziesięciopięcioletni, siwiuteńcy, szanowani powszechnie kołchoźnicy, w środku zaś pięćdziesięcioletni Aleksy Apołonowicz, generał major Armii Radzieckiej.

— Albo wnuczkowie moi — mówił dalej Apołon Archipycz. — Samych mężczyzn było jedenastu, czterech poległo w Ojczyźnianą Wojnę, wieczna im sława i pamięć. Siedmiu dla komunizmu się trudzi, wysokie szkoły pokończyli. Prawnuków też przybywa — z dumą powiedział Apołon Archipycz i zamilkł na chwilę dla złapania oddechu, bo już głos mu odmawiał posłuszeństwa.

— A ja co?... Kiedy byłem młody, świat był stary, kiedy świat odmłodniał, ja się zestarzałem... Ot i całe moje dzieje... Świat się starzeje jak wino, ku lepszemu... Żeby i człowiek tak samo...

Tu Apołonowi Archipyczowi zabulgotało coś w gardle, a policzki znowu zaszkliły się rosą.

— W sprawie zaś uchwały zarządu — podjął rwącym się głosem — towarzysze kochani, a czy mnie zbywa na czym?... Sami powiedzcie, czy mi na czym zbywa?... Chyba, że już koniecznie trzeba przyjąć, że odmawiać się nie godzi, no to przyznajcie... — Apołon Archipycz zawahał się na moment. — Przyznajcie pięćdziesiąt gramów wódki dziennie.

Gdyby nagle w pełni gorącego kubańskiego lata zerwała się śnieżna zamieć, nie uczyniłoby to na zebranych większego wrażenia niż oświadczenie Apołona Archipycza. Cała sala zamarła w osłupieniu, prezydium znieruchomiało. Lecz zanim ludzie przyszli do siebie, Apołon Archipycz tak uzasadnił swą prośbę:

— Moje wnuki, ci jak wejdą w komunizm inne będą mieli potrzeby... A prawnuki... Te dopiero... Więc ja za ich zdrowie, za pomyślność... I za ten młody świat, kiedy mnie już nie będzie...

Prośbę Apołona Archipycza Bieługi walne zebranie kołchozu zatwierdziło.

Krzysztof Gruszczyński

WITOLD WIRPSZA

TABLICA W PĘZINIE

I

Była marcowa czerwona noc,
Czerwona w broni grzechocie.
Majątek junkierski płonął jak snop;
Kompania leżała w błocie.

W kompanii radzieckich żołnierzy dwóch
Pogwarkę wiodło półgłosem.
Pierwszy z nich rzekł: pamiętasz, druh,
Jak pięknie jest u nas na wiosnę?

J k pachnie ziemia! Żelazny wół —
„Staliniec" — terkocze przed siewem.
Tę wiosnę w sercach przez świata pół
Z miłością niesiemy i gniewem.

Majątek junkierski płonął jak snop.
Odezwał się żołnierz drugi:
Pomyśl, że my w tę czerwoną noc
Niesiemy wiosnę dla drugich.

Błoto, w którym leżymy, jest
Wolną już dzisiaj ziemią.
Własny będą spożywać chleb
Ci, co w nią ziarno posieją.

I piękne będą swobodne ich dni,
Gdy pracą je zmierzą jak miarą.
Młodość mieć będą wielką i
Spokojną będą mieć starość.

Cień porucznika skoczył przed rów.
Kompania w natarcie poszła.
Pociski przebiły przyjaciół dwóch
I w sercach pękła im wiosna.

II

Minęło już równo siedem lat.
Na pegerowskim podwórzu
Stoi mogiła. Czerwony płot
Splątał się z pnącą różą.

Obok tablica. Twarzy sześć
Z tablicy na grób się patrzy.
Ludzką radością oddaje cześć
Żołnierzom przodownik pracy.

O parę kroków postawił ul
Staruszek, pszczelarz-amator:
Gdzie niegdyś powietrze przecinał świst kul,
Pszczoły brzęczą co lato.

A gdy na ziemię kładzie się noc
I wiatr znad Odry chłód niesie,
Łopoce w powietrzu okrzyk „wpierod" —
Tych, co tu wiosnę przynieśli.

JAN BARANOWICZ

SPÓŁDZIELNIA NAD JEZIOREM

I. TESTAMENT

Trzy dni leżał na pościeli. Na szlubanku[1]).
Chusta brodę przewiązała pstrą falbanką.

Martwym oczom ciążył czujnie nikiel biały,
żeby więcej gospodarki nie widziały.

Przychodzili, odchodzili różańcowi.
Skwierczał żółty kij gromnicy wedle głowy.

Melli pacierz w żarnach zębów. W porzekadła[2])
wieczność, życie, grzech, zasługę — mądrość kładła.

Dwaj synowie z prostych desek trumnę zbili.
Córki splotły wieniec z martwych róż i lilij.

Za ćwierć żyta wlókł noc całą dziad lamenta.
Odprowadził za jałówkę ksiądz na cmentarz.

Mieszały się szlochy z grudą. Śnieg ze łzami.
Znikł na zawsze Jakób Drzazga. W wodzie kamień.

Sprzęgła Siwka z Gniadą Wręgi smutna wdowa,
Pojechali do rejenta do Radłowa.

Rejent utkwił w skrytce kasy oczy lisie.
— Cóż, siadajcie! Przeczytamy, co w zapisie.

Dygotali z niepokoju. Papier chrzęścił.
Rejent czytał: — „Wszystko pole w równe części:“

Jan — „przydole“. Małgorzata — „łęg“ i „piaski“.
Stefa — „strugę“. Hanka — „ugór“. Stach — „pod laskiem“.

— A ogród i zastodole? — „Po wymowie
w dożywotnie obrobienie przyjdą wdowie“.

Westchnął Wręga: — Trudno dzielić tłum tylorgi.
Sykła Hanka: — Łatwiej dzieci mieć niż morgi.

Orzekł rejent, zapis kładąc w dokumenta:
— Chcecie? — gniećcie się na kupie jak kocięta.

Moja rada — grunt starszemu zdać, niech orze.
I na zachód. Czeka Wrocław, Gdańsk, Pomorze...

II. DROGA

Niełatwa rzecz rzucić, rozstać się niełatwa.
Błądzi wśród zagonów myśl jak kuropatwa.

Nieodzowne sercu jak plecom koszula
sople pod okapem, pszczoły w prostych ulach.

Chwieją się wspominki — w polu ździebła żytnie.
Oczom nachmurzonym jabłoń w sadzie kwitnie.

Dłużą się szyny. Stukoce pociąg.
Kwadranse biegną i dniem, i nocą.

Kraków nad Wisłą. Śląsk w mgieł nawisach.
Gliwice, Koźle, Głogówek, Nysa.

Wreszcie Otmuchów. Blaski w jeziorze.
Wagon na bocznym zastyga torze.

Wyszedł Jasiek. Świt oznajmiał przyjście rana.
Wziął w garść ziemi: — Patrzcie, pszenno-buraczana!

Będzie ziarna, gdy się kosa przedrze polem.
jeno cudzo i do tamtych serce boli.

— Przyzwyczaisz się. Zapomnisz przy robocie.
Dziś obczyzna. Jutro swoje — rzekł Nowocień.

Już z wagonu sprzęt wybierał. Chciał być gotów,
nim noc chluśnie, z przeprowadzką do Wykrotów.

Poszedł Drzazga śladem wujka Nowocienia.
Siostry za nim. Nie czas było na zmartwienia.

Ledwo słońce nad wykrockie weszło śliwy,
wóz się toczył po asfalcie. Ciągnął Siwy.

Można było załadować po czub drabin.
Droga jak ten stół. Gdzie do niej tamtej z Grabin!

Tam jak lunął deszcz, to z próżnym koń się męczył.
Kroczył żywo Jasiek Drzazga przy obręczy.

Obok siostry z krową. Z tyłu wozów dziesięć.
Klich, Nowocień, Kania. Z nimi polska jesień.

Niedaleko od jeziora — widać okiem —
wieś jak stado kur przycupła nad potokiem.

Domki równe, przysadziste, w bieli tynków.
Sad przy sadzie. Skraw podwórca przy budynku.

Rżały konie, czując bliskich stajen nawóz.
Oglądały się Łaciate w bok, za trawą.

Tykotały serca jak te świerszcze w zbożu:
Wieś urodna. Jak się doby w niej ułożą?

III. NA NÓWYM

Wyszły pługi w pole wrześniem.
Nie za późno, nie za wcześnie.

Czesał broną pól zagony
dzień w dzień Siwek niestrudzony.

— Krzątaniny, urób ręce!
— Nie dziwota — pola więcej!

—Dałbym i dwom polom radę,
żeby tak ze cztery gniade.

I parobcy. I wasążek.[3])
U biczyska bukiet wstążek.

—Stoi siewnik w cieniu liści.
Rdza go zjada bez korzyści;

siałby za trzech, ulżył krzynkę.
by parą, nie w pojedynkę.

Legli w rowie, obok szosy.
Dymią mgliście papierosy.

Liczy Drzazga. Klnie Nowocień.
Słońce pola topi w złocie.

Sołtys Koza, zdun z Myszkowa,
uśmiech w słomie wąsów chowa.

Słucha pilnie, chwieje głową,
z rzadka krępe rzuci słowo:

— Skrzypią dźwigi w odbudowie.
Nie ten sam się s'.je człowiek.

IV. WYTAPIACZ KOPEĆ

Dawno się nie widzieli. Ze dwadzieścia lat.
Kopeć robił na Śląsku. Wytapiał w „Cynkowej“.
Na piechty poszedł z Grabin. Teraz inny świat
przyniósł do wsi w pogodzie siwiejącej głowy.

Przyjechał nad jezioro przypadkiem, na wczasy.
Posłyszał, że Nowocień, że Kania, że Klich...
Spotkali się przy piwie i krążku kiełbasy.
Przyszli drudzy. Syn Drzazgi również był wśród nich.

Wspominali. Gwarzyli. Od łąk Nysy Kłodzkiej
wiatr wonie sianokosów nawiewał do płuc.
Nie chciało się do łóżka, choć gacek północkiem
w wysoki dzwon na wieży zaczynał się tłuc.

— Chłopu — powiedział Murek — rewolucja po co?
Więcej marchwi czy owsa nie wyrwie spod skib.
— Juścić! — przytaknął Kania. Kopeć walił z mocą
głosem, co już za dziecka na wiatrach mu schrypł.

— Pamiętacie Grabiny? Co zagon, dwa — miedze.
Polne kęsy. Uwrocia. Pies w poprzek nie zmieścił
ogona, jeśli usiadł, tak wąsko. Dziad biedzie
się zalecał. Przednówek gnatami szeleścił.

Policzcie: Miedza — łokieć. Droga — krok sążnisty.
Skrawki, gdzie jak rok długi ni popaść, ni siec.
Kilometrami pola wlokły się jak glisty.
Dwieście było gospodarstw. Dwieście na nich miedz.

W Wykrotach nie inaczej. Niby — pola więcej.
I żyzność. I z fabryki ta czy owa z maszyn.
Lecz ludzie w pracy luzem. Wzór biorą z zajęcy,
każdy sobie. I traktor po nocach ich straszy...

Wytapiacz urwał nagle, wąs zamaczał w piwie.
Potem wskazał na pola węzłem śniadej pięści;
Siła sosny — tkwi w lesie, człeka — w kolektywie:
w robotniczych i chłopskich rękach — świata szczęście.

V. PRZED OŚRODKIEM

Przed ośrodkiem złote lipy. Nad ośrodkiem księżyc.
Już nie może dłużej Rajski boczyć się, mitrężyć.

Dwieście jutrzyn do obróbki, to nie kromka z masłem
Chłopskie ręce nieochotne, milej im na własnym.

Rąbnął czapką o podłogę. Huk drzwi zachwiał domem.
Biegł pod lipy. — Trudno, trzeba pogodzić się z SOM-em.

Zawierała wieś umowy ospała, niespora.
Dużo za dnia miał łazęgi brygadzista Goraj.

Teraz siedział z listą w ręce. Sołtys z nim w pogwarce.
— Nie wesoło. Chciałem ćwiercią. Cóż? — trza będzie garncem

— Poprzerzuca się maszyny, gdy tu w ludziach narów.
— Spróbujemy znowu jutro. Pewnie dojdzie paru.

Rajski słuchał. — Po robocie? — uśmiech zmieszał z drwiną.
— Dość jak na dziś. — Jeśli wola, zapraszam na wino.

— Obejdzie się! — gniew zapalił oczy brygadziście —
Wasza sprawka, że — jak dotąd — dziesięciu na liście!

— Wpiszcie! Będę jedenastym... Goraj spojrzał koso.
Świecił miesiąc. Wiatr niósł do wsi zapach sianokosów.

VI. NA POLNEJ DRODZE

Wracali wózkiem z Nysy. Drzazga z Nowocieniem.
Droga biegła jak tęcza przez spółdzielcze zboże.
Piętrzyły się ozime zielonym grzebieniem.
Słonko płynęło po nich jak łódź po jeziorze.

Trudno było oderwać oczy od urody.
Już czerwiec kłosom kwietne przypinał kolczyki.
Łany szły pod horyzont jak ruchome schody.
Dosychały na ostwiach[4]) świeżo zżęte wyki.

Inkarnatka[5]) płomieniem malowała pole
wzrostu prawie do psa. Cknila do żniwiarki.
Rzepak rozwijał strąki jak rogi bawole.
Pasły się holenderki pod stróżą krowiarki.

Drzaga szarpnął za lejce. Stanął wasąg lekki.
Zazdrościli, choć myśli każdy skryć się starał.
— Zbiorą, gdy przyjdą żniwa! Nie zmieszczą sąsieki!
— Pewnie, jak w zeszłym roku, trzydzieści z hektara.

Konarami czerwieni zachód w niebo wrastał.
Na otmuchowskiej wodzie obłok siadał mgielny.
Biegły konie asfaltem. Bat powietrze chlastał.
Lgnęły do rzęs jak gwiazdy latarnie spółdzielni.

VII. DOŻYNKI

Kapela grała. Klarnet. Skrzypce.
I pomrukiwał niedźwiedź-bas.
Pół wsi się zeszło. — W ciast posypce
płonęło wino. Skrzył się wczas.

Gorąco było na estradzie.
Wirował taniec. Przyśpiew kwitł.
Pachniały jabłka w źrałym sadzie.
W kępach rezedy wschodził świt.

Rajski od stołu szedł do stołu.
Sknerstwo na noc tę cisnął w kąt.
Reprezentował rację dworu
w urodzie dożynkowych świąt.

— Ty się w tłum nie pchaj! — rzekł do Murka,
u kamizeli łańcuch mnąc. —
Masz syna. U mnie rośnie córka.
Związżemy morgi. Ręce ksiądz.

Z Drzazgą się trącił: — Urodzajem
spółdzielnia mami? Płaci Skarb!
Skąpo ci pola? Puszczę w najem.
Na swoim człek jak w wodzie karp.

Spółdzielcy-goście się zwierzali:
(Młocka od wczoraj u nich szła)
— Rzepak? — dwadzieścia sześć kwintali.
Pszenica? — tak, trzydzieści dwa.

VIII. WSPÓLNOTA

Szczerzą zęby. Wiadomo: nowe ich gniewa.
Urodzaj? — dla ich spichrzy. Dla naszych? — plewa.

Niech się ziemia nawozi, zboże zieleni!
Po horyzont, co roku złociej i pszenniej.

Elektryczność dla wszystkich, praca dla wszystkich.
Pokój w izbach bielonych, hortensji listki.

Żyć w dawniejszym? — to w biedzie szorstkie dni wikłać.
Uczy Partia i książka. Zjednywa przykład...

Sekretarz z ogniem mówił. Słuchali długo.
Słowa orały serca jak pługi ugór.

Namarszczył się Nowocień. Głową chwiał Kania.
Rajski zdania od siebie jak gzy odganiał.

Drzazga rzekł: — Chociaż młodziak, sporom już przebył.
Widzę — bielsze niż nasze spółdzielcze chleby.

W stajni od koni ciżba. W oborach ciasno.
Lampy nawet w północek izbom nie gasną.

Koza pierwszy nad stołem schylił się nisko.
Po nim Drzazga na papier rzucił nazwisko.

Stefa z Gosią za bratem. Bez ociągania.
— Czworo! — do Nowocienia wyszeptał Kania.

Stał u drzwi, jeszcze liczył, z sobą się wadził.
Nowocień go za ramię wziął, podprowadził.

Giza podpisał z synem. Murek wciąż nie śmiał.
Rajski wybiegł z hałasem. Klich się roześmiał.

Za oknami deszcz padał. Dzwoniły rynny.
Ktoś kręcił gałką radia, fajkę tlił inny.

Ktoś komuś ściskał rękę. Potem chór śpiewał.
Szarówka w noc zgęstniała. Cichła ulewa.

IX. PRZY ROBOCIE

Trójskibowiec za ciągnikiem. Trzy skiby — trzy rzeki
płyną równo, niegwałtownie w nieboskłon daleki.

Drzazga patrzy, czy się chowa obornik pod warstwą.
Więcej chwali traktorzystkę niźli gospodarstwo.

Brną lemiesze w ściern turkuciem. Bronom nie mniej pilno.
Wrony włóczą się gawiedzią gęstą i przymilną.

Przy siewniku Koza z Kwietniem. Leci ziarno w rowki.
Rozgadały się kobiety: — Zakochany. Kto w kim?

Drzazga w śniadej traktorzystce? Traktorzystka w Jaśku?
Schyl'.ją się nad bruzdami. Tłumią gwar zapaską.

Białe wory na trawniku. Pszenica się żółci.
Nad głowami obłok - jastrząb stroi czoło w półcień.

Nikt nie został w izbie luzem. Nawet Murek, chociaż
wciąż odfruwał ze spółdzielni jak na wyraj bocian.

Pierwszy wspólny siew urzekał? Kusił maszyn warkot?
Pogodziło mądre pole swary z gospodarką.

Ranną mżawką legł na łące potraw[6]). Klich go posiekł.
Teraz Giza roztrząsaczem rozbijał pokosy.

Jadąc, myślał: — Rękom praca, jak oczom cień powiek.
Prawda. Lecz tu koń równiejsze boki ma i człowiek.

X. DNI I DNIÓWKI

Wypogadza się i znowu chmury. W zbożu zaś powietrze
to się wznosi, to opada jak wskazówka w barometrze.

Płoną w izbie świetlicowej lampy. Żart się swata z troską.
Jakoś szybciej się przeciera czas zadymek i przymrozków.

Śpiewa kuźnia melodyjnie. Skrzypią wozy na podwórzu.
Odszedł Franek Makowiczka od Rajskiego z żoną Różą.

Bogacz szedł aż do spółdzielni. Rudą głową trząsł jak wiechciem.
Groził sądem... Nic nie wskórał. Nie zniewolisz, jak kto nie chce.

— Niechby szedł z nim — mruknął Murek. — Po co pcha się? Wkładu nie ma.
Koza spojrzał: — Rąk ma dwoje. Więcej dla nas to niż ziemia.

Statut każe. — Pół — urodzaj. Ludziom nie pomogą gwiazdy.
Tyle dni się ciżbi w roku. Tyle krzątaniny w każdym.

Drzazga myśli słał ku matce. W palcach trzymał list jak szczęście.
Biegł czas. Rosły dniówki w książce. Coraz szczodrzej, coraz gęściej.

XI. PIOSENKA O KSIĘGOWYM

Nad czym się schyla księgowy
od rana do później nocy?
Nie je. Nie dośpi. W podkowy
zmęczenie skuło mu oczy.

Na polu nie ma roboty.
Młocarni pas się rozluźnił.
Jedynie tłuką się młoty,
siewniki łatając w kuźni.

Zadymka prowadzi kulig,
ławice śniegowe spiętrza.
Styczeń się w kożuch otulił,
dzwonkami u sań rozbrzęczał.

Księgowy spółdzielni „Postęp“,
Franciszku Balawendrze!
Wychudłe plecy rozprostuj,
ugrzęzłeś w księgach jak mędrzec!

Jak pień — nieczuły na wszystko —
mruczysz, dodajesz bez przerwy.
A przecież — wiem — z traktorzystką
rad w tańcu śmiałeś się pierwej.

Przystają ludzie co chwila
i przytakują, i przeczą —
pojmują, nad czym się schyla
księgowy rano i wieczór.

Siew złocił się. Ozimina
w zielony poemat rosła.
Wiatr świerszczem na źdźbła się wspinał,
radość przez staje go niosła.

Snopowiązałkom jak pszczołom
dzień skrzydła w krzątaniu wichrzył.
Woził korowód wesoły
plony do stodół i spichrzy.

Nie skradnie czasu i złodziej,
gdy zapał sprzyja trudowi;
w chleb pszenny trzydziestu rodzin
sumuje cyfry księgowy.

XII. ROZMOWA Z KRASIWRONKĄ

Dwie jarzębiny. Na jarzębinach
korale i słońce.
Siedzi Drzażdżyna, warkocze spina.
Dziwi się krasiwronce.

A krasiwronka — polska papuga,
wylęgła gdzieś w sośninie —
jagody dziobie, oczami mruga
i dziwno ci jej i nie.

Wyniósł ze strychu podziedzicowskie
krzesło syneczek mamie.
Frędzle, floresy, haft w złote głoski,
sprężyny i aksamit.

Fotel się buja. Drżą ręce obie.
Łzą szklą się siwe oczy.
— Zawiścisz możnym, że im, nie tobie,
słoneczny krąg się toczył?

— Oj nie zawiszczę. Wspominki w młodość
Ślę, w izbę z mroczną sionką.
Nie nasmakował się z miski godów
w niej człowiek, krasiwronko.

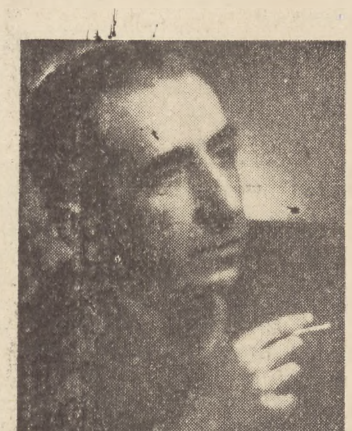
Perz z kalenicy bociany brały.
Czas plecy siekł szarugą.
Nocką nie spałam a wychowałam
synaczka, pleć pleciugo.

Dzieli młocarnia ziarno od plewy.
Wysoka będzie dniówka.
Wezbrał urodzaj ponad spodziewy.
Nie straszny cień przednówka.

Praca dniom młodym. Krzesło starości.
Spółdzielni — dobre słowa.
Jakżeż ci sercem oddzwonić prościej
szeroka i Ludowa?

Dwie jarzębiny. Na jarzębinach
korale i słonko.
— Nie dobę wagon wiózł mnie do syna,
życie szłam, krasiwronko!

1) szlubanek — ława służąca do spania
2) porzekadło — przysłowie.
3) wasąg — lekki wózek wiejski.
4) ostwie — gałęziste żerdzie do suszenia siana.
5) inkarnatka — gatunek koniczyny.
6) potraw — otawa, drugi pokos siana.



Zbigniew Drzewiecki
nagroda I stopnia w dziale muzyki



Witold Lutosławski
nagroda II stopnia w dziale muzyki



Grażyna Bacewiczówna
nagroda II stopnia w dziale muzyki



Andrzej Panufnik
nagroda II stopnia w dziale muzyki



Alfred Gradstein
nagroda III stopnia w dziale muzyki

KAZIMIERZ WEJCHERT

PRZEMILCZANA SZTUKA

Pisząc o książce Brandysa „Początek opowieści" Grzegorz Lasota charakteryzuje ją jako szczególny, ciekawy typ reportażu, dającego niemal dokumentarny obraz budowy pierwszego miasta socjalistycznego, Nowej Huty.

Innym interesującym z punktu widzenia urbanisty zbiorem reportaży jest książka Pawła Jasienicy pt. „Wisła pożegna zaścianek", powstała z objazdu ziem położonych w trójkącie Wisły i Nidy — książka mówiąca o przeszłości tego kraju, o jego stanie dzisiejszym i nadchodzących przemianach w postaci wielkich inwestycji, które rozpoczną nową epokę tej ziemi.

W pierwszym zbiorze bohaterem jest człowiek budujący i jednocześnie sam stanowiący wspaniałe tworzywo.

W drugim — kraina najbardziej może w Polsce zaniedbana, posiadająca właśnie w tym stanie zaniedbania wyraźne oblicze. Mówiąc o obliczu tego niezwykłego bohatera autor sięga do historii, odkrywając szereg jasnych, a nawet świetnych momentów w jego przeszłości.

W obu książkach akcja reportaży rozgrywa się na tle określonego układu przestrzennego.

Ciekawe jest jednak, że owa przestrzeń nie została narysowana przez autorów w sposób mocny i wyrazisty. Została jak gdyby przemilczana. Przemilczana została sztuka kształtowania przestrzeni. W ujęciu Jasienicy — jej tradycje. W ujęciu Brandysa — jej dzisiejsze osiągnięcia, jej potężny rozmach twórczy.

Podobny zarzut można postawić wielu reportażom, książkom i codziennym artykułom.

A kiedyż będziemy mówili o kształtowaniu przestrzeni jak nie w epoce budowy socjalizmu, gdy powstają nowe miasta, nowe osiedla, nowe drogi, kiedy odradzają się stare piękne dzielnice, nikną zeszpecenia i naleciałości okresu gospodarki kapitalistycznej!

Kiedyż napiszemy o wpływach właściwie ukształtowanej przestrzeni na rozwój społeczeństwa, na powstawanie poglądów, na tworzenie się upodobań, na rozwój kultury życia codziennego? Przecież rozplanowanie nowego osiedla mieszkalnego, lub nowej dzielnicy miasta, forma budynków, kształt przestrzeni, będzie wywierała swój codzienny niedostrzegalny wpływ na setki ludzi tu mieszkających.

Wpływ dzieła przestrzennego w epoce budowy socjalizmu rozpoczyna się z chwilą decyzji o jego wykonaniu — trwa już w czasie budowy, tworząc atmosferę entuzjazmu społeczeństwa, powodując to, że dzieło skończone staje się własnością społeczną, wspólnym osiągnięciem ludzi pracy.

Trwałość wpływu ukształtowania przestrzeni jest bezwzględnie większa niż trwałość szeregu dzieł literackich czy też sztuk scenicznych, gdyż rozciąga się na wiele pokoleń, ulegając jedynie nieznacznym przeobrażeniom, podczas gdy mniej wybitne dzieła literackie są szybko zapominane. Weźmy za przykład stary Kraków z Wawelem lub starą Warszawę z Krakowskim Przedmieściem: wpływ formy przestrzennej i znaczenie ich rozwija się w warunkach Polski Ludowej wielokrotnie mocniej niż dawniej. Pomimo tego wielkiego i bezspornego znaczenia sztuka kształtowania przestrzeni lub też ograniczając — sztuka kształtowania przestrzeni miejskiej, urbanistyka, jest jednak ciągle sztuką przemilczaną i zbyt mało dostrzeganą.

*

Powracam do „Początku opowieści".

Poza drobnym fragmentem dyskusji na temat ukształtowania wejścia do Kombinatu Przemysłowego i osi miejskiej prowadzącej do tego wejścia — temat planu miasta czy też zasad kompozycji krajobrazu miejskiego, nigdzie poza tym nie jest w książce poruszany. A przecież Nowa Huta jest dziełem urbanistycznym, które może być podobnie do wszystkich dzieł sztuki rozpatrywane krytycznie, poprzez krytykę i właściwą ocenę zajmując należne miejsce pomiędzy innymi dziełami urbanistycznymi. Rzecz prosta, że autor nie stawiał sobie zadania fachowej, krytycznej oceny założeń plastycznych nowego miasta, jednakże pominięcie sprawy powstawania koncepcji miasta, jako dzieła sztuki, zjawiska specyficznego dla okresu budowy socjalizmu, stanowi zubożenie tematu utworu.

Proces tworzenia się dzieła urbanistycznego, wielki proces myślenia, przeżywania samej kompozycji miasta, dojrzewania zasad układu przestrzennego, a wreszcie cały olbrzymi trud kolektywu pracowni urbanistycznej i wszystkich pracowni mówiąc fachowo „sprzężonych": jak działu dróg czy instalacji, powinien był się stać jedną z najważniejszych akcji książki lub przynajmniej jednym jej rozdziałem.

A i ludzie — twórcy planu — otrzymali podrzędne, bezbarwne role, Twórcy planu nie posiadają pełnych barw, jakimi zaznaczył autor postacie murarza Malagi czy junaka Tyrackiego.

Przemilczenie urbanistyki stwarza to, że pozostanie ona przez czytającego niezauważona — potraktowana jako zagadnienie zupełnie podrzędne. Że zagadnienie urbanistyczne może być problemem literackim — widzieliśmy w znanej sztuce Sofronowa „W pewnym mieście", gdzie poprzez interesujące ujęcie literackie plan mógł być przedstawiony w sposób dostępny szerokim rzeszom widzów. Wzbogaciłoby to tło opowieści stwarzając obok bohaterów ludzkich, nowego bohatera — dzieło twórcze, które żyje i rośnie. Tak jest w „Daleko od Moskwy" Ażajewa lub w „Tunelu" Kellermanna, gdzie rurociąg naftowy i tunel podmorski urastają do roli gigantycznych bohaterów.

Oto kilka określeń krajobrazu miejskiego: *„Rozpoczęty mur wyrastał w piętrowy budynek"* (str. 146).

„Po lewej stronie drogi w regularnych czworobokach stanęły nowe domy" (str. 128).

„Z morza pszenicy jak koralowe rafy wyłoniły się niskie kanciaste mury pierwszej budowy" (str. 330).

„Domy tej kolonii, którą widzicie, ustawione są w schody dlatego, żeby wszystkie mogły korzystać z równomiernego nasłonecznienia" (str. 119).

Pierwsze trzy zacytowane zdania niczego nie wyjaśniają, budują obraz cząstkowy, wymagający komentarza. *„Piętrowy budynek, niskie mury"*... — podsuwają bowiem myśli o niewielkich domach — *„regularne czworoboki domów"* — każą sądzić, że ustawieniem domów rządzą wyłącznie sztywne zasady geometryczne dające w efekcie regularność, którą nauczyliśmy się zwać koszarową i o której wiemy, że pozbawiona jest najczęściej piękna. Jedynie ostatnie z cytowanych zdań daje czytelnikowi indywidualny fragment krajobrazu miejskiego, aczkolwiek nie bardzo zrozumiały przestrzennie, gdyż schody nasuwają obraz pochyłej, ukośnej płaszczyzny, dzielonej drobnymi ząbkami stopni.

Oto jak widzi miasto Nową Hutę Jasienica: *„Ogromne osiedle zaplanowane i wykonane od jednego zamachu pod sznurek. Takie, w którym teatry, stadiony, rury centralnego ogrzewania i Opera ten sam mają wiek, ten sam rodowód. I ten sam brak tradycji kulturalnej stanowiącej nie tylko o atmosferze miasta, lecz również o ciągłości historii narodu"* (str. 202).

Żeby zrozumieć to zadanie należy cofnąć się do poprzednio sformułowanej przez autora myśli: *„Rozpoczyna się na świecie nowa epoka dziejów, kształtowana między innymi przez konieczności wynikłe ze stanu współczesnej techniki. Niedobrze, jeśliby nasz naród miał w tę epokę wkroczyć zachowując swoją dotychczasową archaiczną strukturę zawodową oraz dziwaczną mentalność inteligencji, dla której kultura oznacza tylko to, co Francuzi nazywają b e a u x a r t s, wszystko zaś co dotyczy wszelkiej techniki, to są rzeczy „materialne", zatem godne lekceważenia".*

„Ogromne osiedle zaplanowane i wykonane od jednego zamachu pod sznurek"... Czy takie jest naprawdę założenie Nowej Huty?

Nie — znowu sąd powierzchowny utożsamiający nowe budownictwo, nową urbanistykę z nudnym przegeometryzowanym „mechanicznym" układem. Osiedle wykonane pod sznurek, to znowu zbytnie uproszczenie lub przemilczenie sztuki kształtowania przestrzeni, to spaczenie obrazu miasta socjalistycznego. Praca twórcza urbanisty nie wygląda tak prosto: nie posługuje się on jedynie sznurkiem, ale stawia sobie wyższe cele niż tylko zaspokojenie potrzeb mieszkaniowych, pracą swą prowadząc walkę o treść społeczną urbanistyki i architektury — o realistyczną formę miasta, o narodową formę ukształtowania przestrzeni. A tego pociągnięciem miasta pod sznurek od jednego zamachu nie osiągniemy!

Ponieważ całe cytowane zdanie mówi o budowie miasta, stwierdzenie, że *„brak tradycji kulturalnych ma cechować atmosferę nowego miasta"* — rozszerza się jak gdyby na pojęcie tradycji kulturalnych w planie miasta, w samej jego budowie. A przecież tradycje budowy miast polskich wykazują wiele myśli postępowych, wiele cech realistycznych tkwiących w różnych epokach naszej urbanistyki.

Siły realizmu tkwią w formie dośrodkowego układu najstarszych polskich osiedli targowych, zwłaszcza owalnicowych, występują w rozplanowaniach naszych miast średniowiecznych o harmonijnych rozmieszczeniach akcentów architektonicznych na istniejące plany bez ich niszczenia—jak np. barokowe osie Warszawy, koncentrujące nowe formy plastyczne.

Realizm wyraża się również w przebudowach miast w okresie Królestwa Kongresowego, w nowych założeniach urbanistycznych związanych z uprzemysłowieniem kraju. *„O osiągnięciach tych powinniśmy pamiętać dzisiaj, gdy tworzymy nowe miasta socjalistyczne, które powinny być harmonijną kompozycją przestrzenną, zaspokajającą zarazem potrzeby społeczno - gospodarcze".*

Przemilczenie sztuki kształtowania przestrzeni przewija się przez cały cykl reportaży Jasienicy, jak też uderza również w załączonych zdjęciach.

W podróżach swoich autorzy (autor reportaży i autor zdjęć) zwiedzili a raczej odwiedzili szereg miasteczek, a między innymi Koprzywnice, Stopnicę, Nowy Korczyn, Szydłów, Staszów, Klimontów, Sandomierz, Łagów, Wiślicę i inne. Odwiedziny te autor ujął w reportażach przede wszystkim „okiem historyka" gromadząc uwagi o starych budowlach, losach wojennych kraju, o obyczajach miejscowych, notując zarazem wszystkie przejawy nowego życia, stawiającego w tym zapadłym kącie kraju swe pierwsze trudne kroki.

Wszystkie niemal miasta stają przed oczyma czytelnika jako zbiorowisko zniszczonych podobnych do siebie domków. — *„Cóż bowiem da się powiedzieć o Nowym Korczynie?"* — pyta autor.—*„Mamże opisywać nędzne chałupki opasujące wieńcem rynek, czy też może przypomnieć, że w miejscowym kościele franciszkanów znajduje się najstarsze w Polsce sklepienie gotyckie?"* (str. 95).

Autor stawia i drugie pytanie: *„Czemu każde osiedle, które zostało miastem w stuleciu XIV, czy może jeszcze wcześniej, musi koniecznie zachować tę samą rangę w wieku XX? Szlaki handlowe od dawien dawna zarosły trawą, znikła więc sama racja istnienia w danym punkcie osiedla, będącego naprawdę miastem* (str 105).

Spomiędzy wszystkich miasteczek Szydłów został potraktowany nieco szerzej, pozostałe zaś — pozostają nieokreślone, są przemilczane jako indywidualne w kształcie układy przestrzenne. A przecież każde z tych zniszczonych osiedli posiada swoje odrębności przestrzenne dziś wprawdzie słabo poparte zniszczonym trzecim wymiarem wysokości budynków, ale zarysowane wyraźnie w planie miasta i utrwalone w krajobrazie, w topografii terenu, związane z dolinami wodnymi, a także podkreślone zachowanymi budynkami kościołów, klasztorów czy bram miejskich.

Pomimo zniszczeń każde z tych osiedli mówi o tradycjach myśli urbanistycznej.

Lukę w treści reportaży mogły zastąpić tu zdjęcia ujmujące panoramicznie lub też bardziej ogólnie całe miasteczka, a nie tylko niewielkie ich fragmenty lub nawet części poszczególnych budynków. Zdjęcia z wieży kościelnej lub sylweta miasta w krajobrazie mówiłyby o wiele więcej.

Spojrzenie na stare plany miasteczek Szydłowa, Kunowa, Nowego Korczyna lub elewacje domów i zdjęcia Łagowa pozwoliłyby osądzić czytelnikowi, że plan urbanistyczny każdego z nich jest odmienny, a w stosunku do niewielkiej skali miasta bardzo bogaty i kryjący w sobie zarazem olbrzymie możliwości przebudowy czy raczej odbudowy przestrzennej, nie przekreślającej zachowanych wartości planu zgodnie z tradycjami historycznych założeń polskich.

Możliwości odbudowy przestrzennej należy wyraźnie podkreślić. Nie można sobie bowiem wyobrazić odbudowy warunków bezproduktywnego bytowania małomiasteczkowego w tych samych, dawnych ramach przestrzennych. Jednakże racja istnienia miast we wszystkich tych punktach o których mowa, nie zanikła: wpływa na to nie tylko przebieg dawnych dróg handlowych, ale układ ogólnej sieci dróg — sieci osadniczej, wreszcie konieczność wprzęgnięcia często bezczynnych jeszcze „rąk roboczych" mieszkańców tych miasteczek do pracy twórczej w ramach kolejnych planów gospodarczych. Jeśli te drzemiące jeszcze lub już budzące się z martwoty miasteczka otrzymają treść produkcyjną — życiodajną siłę przemysłu w oparciu o rozbudowę sieci komunikacji, wówczas nastąpi ich powrót do rzędu miast — „prawdziwych" miast. O wielkim znaczeniu miasteczek dla całokształtu życia gospodarczego pisze Minister Przemysłu Drobnego i Rzemiosła Adam Żebrowski w „Gospodarce Planowej"*): *„Do istotnych zadań przemysłu drobnego należy aktywizacja terenów, a przede wszystkim miast i miasteczek zaniedbanych pod względem gospodarczym. Powstanie nowych małych zakładów przemysłu terenowego i spółdzielni pozwoli na pełne wykorzystanie istniejącego potencjału produkcyjnego ludzi i maszyn, ożywi małe miasteczka, osiedla, włączy w ten sposób w nasze budownictwo gospodarcze te rezerwy, których nie może uruchomić i wykorzystać przemysł wielki".*

Przekształcenie miasteczek, o których pisze Jasienica, na twórcze miasta socjalistyczne nastąpi z pewnością w oparciu o uwzględnienie wartości twórczych i postępowych zachowanych w układach przestrzennych, silniejszych od zniszczeń, jakie dotknęły „nędzne chałupki".

*

Uwagi powyższe poruszają jedynie bardzo wąski wycinek obu zbiorów omawianych reportaży, które stawiając sobie, rzecz jasna, inne zadania niż „czystą analizę" planów urbanistycznych nie mogą stanowić książek o budowie miast. Książka Brandysa jest bowiem opowieścią o człowieku, a i z książki Jasienicy poprzez studium historyczne, etnograficzne, socjologiczne i gospodarcze na plan pierwszy wybija się zainteresowanie człowiekiem. Człowiek ten jest jeszcze dość bezradny tkwiąc w więzach kraju „zapomnianego" od dziesiątków lat, ale i on stanie się wkrótce również tworzywem czasów wielkiej przebudowy.

Jak wielką rolę w przebudowie człowieka ma sztuka kształtowania przestrzeni mówi Brandys przez usta naczelnego inżyniera ZOR-u zaraz na wstępie książki: „M i a s t o, k t ó r e m y z a p r o j e k t u j e m y, p r z e z w i e l e d z i e s i ą t k ó w l a t b ę d z i e k s z t a ł t o w a ł o ż y c i e w i e l u t y s i ę c y i s t n i e ń l u d z k i c h".

Dlatego przytoczone wyżej stwierdzenie Brandysa pozwala przypuszczać, że myśl o potężnym działaniu sztuki urbanistyki, sztuki najbardziej społecznej, sztuki najdonioślejszej w okresie budowy szeregu nowych socjalistycznych miast, nurtuje twórców literackich — i że w następnych pracach przestanie ona być sztuką przemilczaną, właśnie dzięki literaturze stając się coraz jaśniej rozumianą i cenioną przez społeczeństwo.

Kazimierz Wejchert

*) Uwagi o planowaniu terenowym w drobnym przemyśle. A. Żebrowski „Gospodarka Planowa" Nr 8/51.

NAZIM HIKMET W WARSZAWIE

Tylko trzy dni trwała wizyta Nazima Hikmeta w Warszawie, 21 lipca przyjechał do nas na zaproszenie Związku Literatów Polskich, a już 25-go rano pożegnaliśmy go na lotnisku. W ciągu tych trzech dni Hikmet uczestniczył w uroczystościach Święta Wyzwolenia, widział radosny pochód Młodych Przodowników Polski, rozmawiał z robotnikami Ursusa, zwiedził Warszawę, był — na swoje specjalne życzenie — w teatrze muzycznym na Pradze, skąd wyszedł oczarowany zespołem i osiągnięciami ubogiego w środki techniczne teatru, spotkał się z pisarzami Warszawy, z Kruczkowskim, Broniewskim, Tuwimem, Iwaszkiewiczem i innymi. Ostatniego dnia, po pożegnalnym przyjęciu w Związku Literatów, Nazim Hikmet rozmawiał z młodymi poetami. „Jacy są wasi mistrzowie poetyccy? — spytał któryś z kolegów. Hikmet uśmiechnął się: „To proste. Jest ich czterech. Marks, Engels, Lenin i Stalin. Nie można pisać wierszy nie znając ich twórczości. Nie można bowiem rozumieć życia, o ile się ich twórczości nie zna". A potem opowiadał, jak powinien powstawać wiersz. „Jak dom — mówił. — Trzeba być inżynierem. Naprzód trzeba wiedzieć, o czym się chce mówić i co chce się powiedzieć. Dam wam przykład. Spotkanie z wami wywarło na mnie wrażenie. Chcę o nim napisać. Czy będę pisał o tym, jak wyglądacie, o konkretnych szczegółach naszej rozmowy? Nie. To może mi tylko pomóc przy opracowywaniu szczegółów poetyckich. Ale patrząc na was przypominam sobie, jak przedwczoraj widziałem młodzież Polski defilującą przed waszym prezydentem. Wy jesteście cząstką tej młodzieży budującej socjalizm. Ale patrząc na was szczęśliwych, sytych, otoczonych opieką państwa — myślę o młodzieży literackiej mego kraju, która przymiera głodem, o najlepszym z młodych poetów tureckich, który podaje palta w szatni teatralnej. Widzę siedzącą wśród was kobietę i myślę o mojej żonie, której nie widziałem od roku, która została w Turcji, o którą się niepokoję. Myślę o Warszawie, o fabryce, w której byłem dzisiaj, widzę szczęśliwe życie Polski i myślę o przyszłości, o tym, jak kiedyś będzie u nas w Turcji".

Rozmowa z Nazimem Hikmetem nie trwała więcej niż godzinę, ale było to przeżycie, którego się nie zapomni. I wszyscy uczestnicy tego spotkania czekają na ponowny, obiecany przyjazd Nazima Hikmeta, na dalsze rozmowy z tym, od którego jako od bojownika i jako od poety można się tak wiele nauczyć.

Σ. F.

NAZIM HIKMET

Człowiek z białym goździkiem

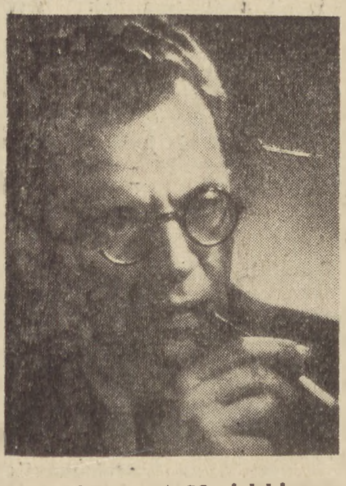
Fotografia człowieka z białym goździkiem,
rozstrzelanego w porannym mroku,
w świetle reflektorów,
stoi na moim stole.

W prawej ręce trzyma on goździk
jak okruch światła
greckiego morza.
Patrzy spod gęstych i czarnych brwi,
odważnymi oczami dziecka
bez przebiegłości patrzy.
Tak jak nie ma przebiegłości w ludowych pieśniach.
Tak jak nie ma w przekleństwach komunistów.

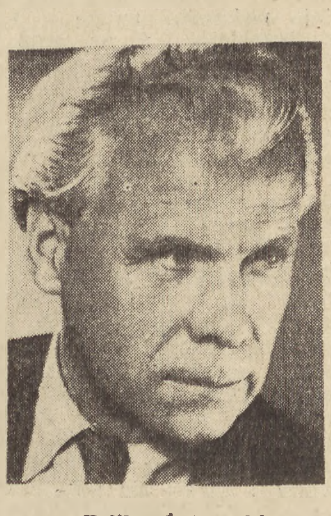
Białe, białe zęby,
To Belojannis się śmieje,
a goździk w jego ręku
jest jak jedno ze słów,
które powiedział ludziom
w dniach podłych i bohaterskich.

Sfotografowano go podczas procesu,
po wydaniu wyroku śmierci.

Przełożyła
Ewa Fiszer



Zygmunt Mycielski
nagroda III stopnia w dziale muzyki



Feliks Żukowski
nagroda II stopnia w dziale teatru



Roman Zawistowski
nagroda III stopnia w dziale teatru



Lidia Zamkow
nagroda III stopnia w dziale teatru



Gustaw Holoubek
nagroda III stopnia w dziale teatru

MAKSYM GORKI

JEMIELJAN PILAJ

No cóż, nic nam już nie pozostało, jak iść na sól! Słona ci ta przeklęta robota, a przecież trzeba się zabrać do niej, bo to, żeby nie wymówić w złą godzinę, z głodu zdechniemy.

Powiedziawszy te słowa towarzysz mój, Jemieljan Pilaj, po raz dziesiąty wydobył z kieszeni kapciuch, by stwierdzić, że jest tak samo pusty, jak pusty był wczoraj; westchnął tedy, splunął, obrócił się na plecy i pogwizdując zaczął się przyglądać niebu bez chmurki, z którego buchał żar. Leżeliśmy głodni na piaszczystej mierzei w odległości trzech wiorst od Odessy, którą opuściliśmy nie znalazłszy tam pracy. Jemieljan wyciągnął się na piasku, głową zwrócony w stronę stepu, nogami do morza; fale liżące z łagodnym szumem brzeg omywały jego gołe i brudne nogi. Marszcząc się od słońca, to przeciągał się jak kot, to zsuwał się niżej ku morzu; wówczas fala oblewała go prawie do ramion. Widać było, że mu to sprawia przyjemność.

Spojrzałem w stronę portu, gdzie wznosił się las masztów otulony kłębami ciężkiego, sinawego dymu; płynął stamtąd łoskot łańcuchów kotwicznych i świst lokomotyw. Nie wypatrzywszy tam nic, co mogłoby ożywić nasze zagasłe nadzieje na zarobek, wstałem i rzekłem do Jemieljana:

— No cóż, idziemy na sól!

— Tak... idź! A dasz radę? — zapytał przeciągle nie patrząc na mnie.

— Zobaczymy.

— Idziemy więc? — nie drgnąwszy nawet, powtórzył Jemieljan.

— Oczywiście!

— Aha! Dobra... pójdziemy! A ta przeklęta Odessa — niech ją wszyscy diabli! — zostanie na swoim miejscu. Portowe miasto! Żebyś się pod ziemię zapadło!

— No już, wstawaj i chodźmy: przekleństwa nie pomogą.

— Dokąd pójdziemy? Na sól? Dobrze. Tylko widzisz, bratku, z tej soli też nic nie będzie, nawet jeśli pójdziemy.

— Przecież sam mówiłeś, że trzeba iść.

— To prawda, że mówiłem. Co mówiłem, to mówiłem, nie będę ja własnych słów cofał. Ale że nic z tego nie będzie, też prawda.

— Dlaczego?

— Dlaczego? Myślisz pewnie, że tam na nas czekają, prosimy, panowie Jemieljanie i Maksymie, bądźcie łaskawi, zginajcie grzbiety za nasze grosze... Nie, tak nie bywa! Ot, jak sprawa wygląda: teraz jesteśmy sobie panami...

— Dobrze już, dobrze! Chodźmy.

— Zaczekaj! Musimy pójść do przedsiębiorcy od tej soli i powiedzieć mu z całym szacunkiem: „Łaskawy panie, czcigodny grabieżco i krwiopijco, przyszliśmy ofiarować pańskiej żarłoczności nasze skóry, czy nie zechciałbyś zedrzeć z nas pasów za sześćdziesiąt kopiejek na dobę!“ Wówczas nastąpi...

— Posłuchaj: wstawaj i chodźmy. Pod wieczór dojdziemy do osiedli rybackich, pomożemy ściągnąć sieci, może dadzą nam kolację.

— Kolację? Słusznie. Oni nas nakarmią, rybacy to dobrzy ludzie. Pójdziemy, pójdziemy... Ale nic z tego i tak nie będzie, braciszku, pecha mamy przez cały tydzień, ot co.

Wstał cały mokry, przeciągnął się, wsunął ręce do kieszeni spodni, które sam uszył z dwóch worków na mąkę, pogrzebał w nich i komicznie obejrzawszy puste dłonie podniósł je do twarzy.

— Nic, a nic!... Czwarty już dzień szukam i wciąż nic — nic! To ci los, przyjacielu!

Ruszyliśmy wybrzeżem, z rzadka wymieniając uwagi. Nogi grzęzły w miękkim piasku pełnym muszli, które melodyjnie szumiały pod łagodnymi uderzeniami napływających fal. Niekiedy widać było wyrzucone na brzeg galaretowate meduzy, rybki, kawałki drzewa dziwacznych kształtów, napęczniałe i czarne... Od morza dął przyjemny, świeży wiaterek, owiewał nas chłodem i leciał w step podnosząc małe tumany piaskowego pyłu.

Zawsze wesoły Jemieljan wyraźnie zmarkotniał; widząc to próbowałem go rozerwać.

— Ano, Jemieljanie, opowiedz coś!

— Opowiedziałbym ci, bracie, ale gęba osłabła, bo kałdun pusty. Brzuch to najważniejsze w człowieku, i choćbyś wśród potworów szukał, rozmaite znajdziesz, ale bez brzucha, ani, ani! Jeśli brzuch spokojny, znaczy się, dusza żyje; wszelkie działanie człowieka z brzucha pochodzi...

Zamilkł na chwilę.

— Ach, bracie, gdyby mi teraz morze wyrzuciło tysiąc rubli — bęc! Zaraz otworzyłbym szynk; ciebie wziąłbym na pomocnika, a pod szynkwasem urządziłbym sobie posłanie i z beczułki wprost do ust przeprowadziłbym rurkę. Ledwie zachce mi się łyknąć ze źródła wesela i radości, natychmiast rzucam ci rozkaz: „Maksymie, otwórz kran!“ — i bul—bul—bul — leje się prosto do gardła. Łykaj, Jemieljanie! Do — obra rzecz, niech mnie zaraza ściśnie! Z chłopa zaś, tego pana na czarnoziemie, pasy bym darł, ho—ho!... zobaczyłby, gdzie raki zimują. Zdarzy się, wzięła go na wódkę ochota: „Jemieljanie Pawłowiczu, daj szkleneczkę na kredyt!“ — „Co?... Jak?... Na kredyt?! Nie dam!“ — „Jemieljanie Pawłowiczu, bądź łaskaw, zlituj się!“ — „A jakże, będę łaskaw: ciągnij tu wóz, dam ci kwartę!“ Ha—ha—ha! Ja bym go, diabelskie nasienie, wykwitował!

— Dlaczego tak okrutnie! Popatrz, przecież chłop głodem przymiera.

— Jak? Głodem przymiera?... A ja nie przymieram głodem? Od dnia mego urodzenia, bracie, głodem przymieram, a czy to tak ma być? Dlaczego chłop głoduje? Nieurodzaj? Najpierw w głowie ma nieurodzaj, a dopiero potem w polu, ot co. Dlaczego w zagranicznych krajach nie ma głodu? Dlatego, że nie po to mają ludzie głowy, żeby się w nie drapać; tam ludzie myślą, ot co! Tam, bracie, deszcz można odłożyć do jutra, jeżeli dziś niepotrzebny, a słońce odsunąć troszeńkę, jeśli jest zbyt gorliwe. A my co? Jakie mamy sposoby? Nijakich, bracie kochany... Nic. Ale to wszystko żarty. A jakby tak naprawdę tysiąc rubli i szynczek, to mi sprawa poważna...

Zamilkł i z przyzwyczajenia sięgnął po kapciuch, wywrócił go na lewą stronę, spojrzał i splunąwszy ze złością cisnął w morze.

Fala pochwyciła brudny woreczek i uniosła go od brzegu, ale przyjrzawszy się podarunkowi z oburzeniem wyrzuciła go z powrotem na brzeg.

— Nie chcesz? A ja ci mówię, że weźmiesz! — Jemieljan porwał mokry woreczek, włożył do niego kamień i z rozmachem cisnął daleko w morze.

Roześmiałem się.

— Czego zęby szczerzysz?... Też mi ludzie! Książki czytają, noszą je nawet ze sobą, a człowieka zrozumieć nie potrafią! Straszydło czterookie!

To ostatnie odnosiło się do mnie; z faktu, że Jemieljan nazwał mnie czterookim straszydłem, mogłem wnosić, iż rozdrażniłem go do ostatnich granic: tylko w chwilach wielkiej złości i nienawiści do całego świata pozwalał sobie drwić z moich okularów; w ogóle zaś owa niezamierzona ozdoba dodawała mi w jego oczach tyle powagi i znaczenia, że w pierwszych dniach naszej znajomości zwracał się do mnie per „pan“, tonem pełnym szacunku, chociaż razem z nim ładowałem węgiel na jakiś rumuński statek i tak samo jak on byłem obdarty, podrapany i czarny jak szatan.

Przeprosiłem go, i żeby go trochę uspokoić, zacząłem opowiadać o obcych krajach, usiłując mu przy tym wykazać, że jego wiadomości o panowaniu nad chmurami i słońcem zaczerpnięte są z dziedziny mitów.

— Patrzcie!... Więc to tak!... No, no... — wtrącał od czasu do czasu; czułem jednak, że dziś jego zainteresowanie dla obcych krajów i ich trybu życia jest niewielkie — Jemieljan prawie mnie nie słuchał, uparcie spoglądając przed siebie.

— Wszystko to prawda — przerwał mi robiąc nieokreślony ruch ręką. — A ja się ciebie zapytam: gdyby się nam teraz nawinął człowiek z pieniędzmi, z wielkimi pieniędzmi — podkreślił zaglądając mi z boku pod okulary — czy ty, chcąc zaspokoić swe brzucho i inne potrzeby cielska, zrobiłbyś z nim porządek, hę?

— Oczywiście, że nie — odparłem. — Nikt nie ma prawa kupować swego szczęścia za cenę życia innego człowieka.

— Ho—ho! Tak, tak... To wszystko łebsko jest w książkach powiedziane, ale tylko po to, żeby sumienie uciszyć. Naprawdę zaś ów pan, co pierwszy takie słowa wymyślił, gdyby go przycisnęło, sam podciąłby komuś gardziołko, żeby własną skórę ratować. Prawa! Masz twoje prawa!

I Jemieljan podsunął mi pod sam nos swój żylasty kułak.

— Każdy człowiek — tylko na różne sposoby — zawsze tym prawem się kieruje. Ładne mi prawa!...

Jemieljan zmarszczył czoło chowając oczy głęboko pod długimi i wyblakłymi brwiami.

Milczałem, wiedząc z doświadczenia, że kiedy jest zły, nie ma się co z nim sprzeczać.

Rzucił w morze kawałek drzewa, który nawinął mu się pod nogi, westchnął i powiedział:

— Dobrze by teraz zapalić...

Spojrzawszy w step, na prawo, ujrzałem dwóch leżących na ziemi pastuchów, którzy patrzyli na nas.

— Dzień dobry, panowie! — zawołał do nich Jemieljan — nie macie czasem tytoniu?

Jeden z pastuchów zwrócił głowę ku drugiemu, wyplunął przeżute źdźbło trawy i powiedział leniwym głosem:

— Michale, o tytoń proszą!

Michał spojrzał w niebo, najwidoczniej pytając je o pozwolenie nawiązania z nami rozmowy i rzekł do nas:



rys. Janina Konarska

— Dzień dobry! Dokąd idziecie?

— Do Oczakowa, na sól.

— Oho!

W milczeniu siedliśmy obok nich na ziemi.

— Nikita, a schowaj no worek, żeby kawki się nie dobrały.

Nikita uśmiechnął się chytrze pod wąsem i schował worek. Jemieljan zazgrzytał zębami.

— Więc chcecie tytoniu?

— Dawnośmy nie palili — powiedziałem.

— Czemuż to? No to palcie.

— Ach ty chochole[1]) przeklęty! Daj, jeśli masz dać, ale nie kpij sobie! Wyrodek! Cóż to, włócząc się po stepie duszę zatraciłeś? Czekaj, dam ci zaraz w łeb, że ani zipniesz! — warknął Jemieljan przewracając białkami oczu.

Obydwaj drgnęli, zerwali się na równe nogi i chwyciwszy swoje długie kije stanęli jeden obok drugiego.

— Więc to tak, braciszkowie, prosicie!... A no cóż, spróbujcie!...

Przeklęte chochoły chcieli chwycić się za łby, to było oczywiste, i Jemieljan, sądząc z jego zaciśniętych pięści i płonących dzikim ogniem oczu, także był gotów do bitki. Nie miałem ochoty brać udziału w batalii, więc spróbowałem pogodzić poważnione strony:

— Stójcie, przyjaciele! Kolega uniósł się nieco, cóż w tym złego! Wy zaś dajcie nam, jeśli łaska, trochę tytoniu, a pójdziemy swoją drogą.

Michał spojrzał na Nikitę, Nikita na Michała i obaj uśmiechnęli się.

— Tak byście od razu mówili!

Po czym Michał sięgnął do kieszeni świtki, wyciągnął stamtąd pękaty kapciuch i podał mi go mówiąc:

— A no, bierz tytoń!

Nikita natomiast wsunął rękę do worka, potem wyciągnął ją do mnie z wielkim bochenkiem chleba i kawałkiem słoniny obficie posolonym. Wziąłem. Michał uśmiechnął się i dosypał mi jeszcze tytoniu. Nikita mruknął:

— Żegnajcie!

Podziękowałem. Jemieljan usiadł i dość głośno zasyczał:

— Świnie przeklęte!

Chłopi ruszyli w głąb stepu ciężkim, kołyszącym się krokiem, co chwila oglądając się za nami. Siedliśmy na ziemi i nie zwracając już na nich uwagi zabraliśmy się do smacznego sitkowego chleba ze słoniną. Jemieljan głośno mlaskał, sapał i jakoś starannie unikał mego wzroku.

Nadciągał wieczór. Daleko na morzu wstawał mrok i płynął ponad wodą zaciągając drobne fale niebieskawą, mętną powłoką. Ponad brzegiem morza rozciągnął się łańcuch liliowo-żółtych obłoków, obramowanych różowym złotem, i zagęszczając jeszcze bardziej mrok, posuwał się w stronę stepu. A w stepie, daleko, na samym skraju, rozwinął się ogromny, purpurowy wachlarz promieni zachodu, miękko i łagodnie barwiąc ziemię i niebo. Fale uderzały o brzeg, morze, miejscami różowawe, gdzie indziej granatowe, było piękne i potężne.

— Teraz zapalimy! Diabli niech wezmą tych chochołów!

Skończywszy z chochołami Jemieljan odetchnął swobodnie.

— Pójdziemy dalej czy zanocujemy tutaj?

Nie chciało mi się iść.

— Zanocujemy! — postanowiłem.

— Niech będzie. — Wyciągnął się na ziemi i spoglądał w niebo.

Jemieljan palił spluwając od czasu do czasu; patrzyłem dokoła rozkoszując się cudownym widokiem wieczoru. Po stepie niósł się dźwięcznie jednostajny plusk fal bijących o brzeg.

— Mów, co chcesz, ale dziabnąć zamożnego człowieka byłoby przyjemnie zwłaszcza, jeśli zrobić to fachowo — rzekł nagle Jemieljan.

— Dosyć już tego gadania — odparłem.

— Gadania?! Jakiego gadania! Możesz mi wierzyć, to się zrobi! Mam czterdzieści siedem lat, a od dwudziestu wciąż o tym myślę. Jakież ja mam życie? Psie życie. Gorzej: ani nory, ani kęsa jedzenia! Czy jestem człowiekiem? Nie, bracie, nie człowiek ze mnie, gorszy jestem od robaka i zwierzęcia! Kto może mnie zrozumieć? Nikt! A jeżeli wiem, że ludzie dobrze żyją, czemuż sam nie mam żyć tak samo? Hę? Niech was zaraza, przeklęci!

Odwrócił się nagle ku mnie i szybko powiedział:

— Wiesz, kiedyś o włos, a byłbym tego... nie udało się. Żeby mnie pokręciło, idiotę; głupi byłem, żal mi się zrobiło. Chcesz, opowiem?

Pośpiesznie wyraziłem zgodę; Jemieljan zapalił i rozpoczął:

— Było to, braciszku, w Połtawie... przed ośmiu laty. Pracowałem wówczas u pewnego kupca, który handlował drzewem. Przez rok żyłem sobie niezle, gładko; potem nagle zacząłem pić i przepiłem sześćdziesiąt rubli gospodarza. Sąd miałem za to, wpakowali do kryminału na trzy miesiące i tak dalej, jak należy. Odsiedziałem wyrok, wyszedłem na wolność — dokądże teraz? W mieście mnie znają; do innego nie mam po co ani w czym iść. Poszedłem wtedy do pewnego znajomka, ciemna figura, miał ci on szynk i zajmował się rozmaitymi złodziejskimi interesami ukrywając różnych zuchów i ich sprawki. Chłop był dobry, zacny nad podziw i z głową. Za książkami przepadał, dużo czytał i miał wielkie zrozumienie życia. Więc ja do niego: „Pomóż, powiadam, Pawle Pietrow!“ — „No, cóż — powiada — da się zrobić! Człowiek człowiekowi, jeśli jednej są maści, pomagać powinien. Żyj sobie, jedz i pij i przyglądaj się“. Mądry chłop był, bracie, ten Paweł Pietrow! Miałem dla niego wielki szacunek, on także bardzo mnie lubił. Niekiedy siedzi w dzień za szynkwasem i czyta książkę o francuskich rozbójnikach — a wszystkie książki miał o rozbójnikach; słuchasz, słuchasz... zadziwiające to były chłopy. Cudów dokazywali, ale zawsze skręcali kark z wielkim hukiem. Zdawało się, wszystko idzie jak po maśle, daj Boże zdrowie! Aż tu nagle przy końcu książki — pod sąd — cap! i basta! — wszystko diabli wzięli.

Siedzę więc sobie u tego Pawła Pietrowa miesiąc, potem drugi, słucham jego czytania i rozmaitych rozmów. Patrzę, ciemne jakieś typki przychodzą, błyszczące przedmiociki przynoszą: zegarki, bransolety i tak dalej, i widzę — nie ma w tym wszystkim sensu za grosz! Ściągnie który co, Paweł Pietrow zapłaci mu połowę ceny — on ci, bracie, płacił uczciwie — i zaraz, hej! Popijawa jak się patrzy, elegancko, z hukiem — i nic nie zostaje. Marny interes, bracie! Jeden idzie pod sąd, drugi za nim...

A dlaczego? Z jakich to ważnych powodów? Podejrzany o kradzież z włamaniem, a skradziono rzeczy na sto rubli! — Sto rubli! Czy życie ludzkie warte jest sto rubli? Durnie!... Mówię więc do Pawła Pietrowa:

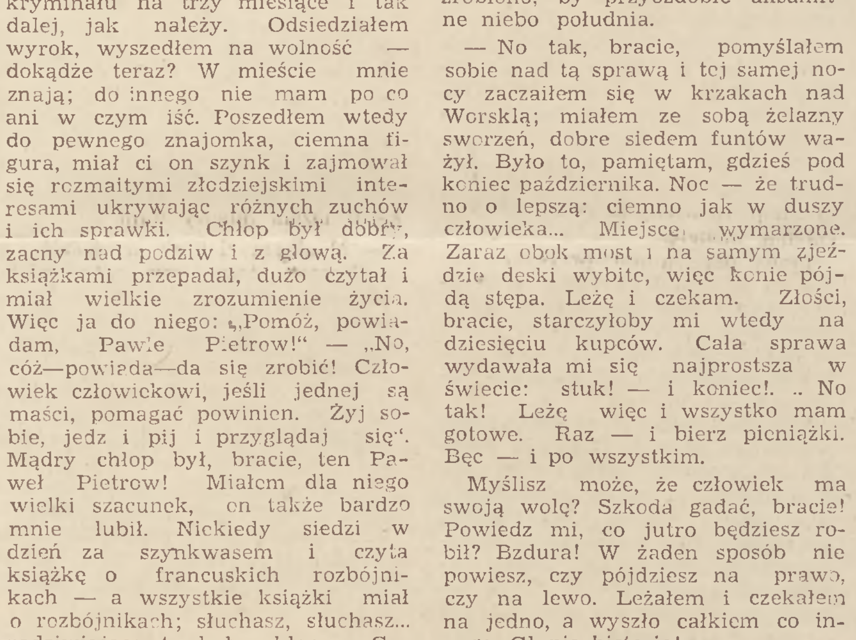
— „Wszystko to, Pawle Pietrow, nie ma sensu i nie opłaca się w tym palców maczać“. — „Hm! Jakby ci tu powiedzieć? — mówi. — Z jednej strony, mówi, ziarnko do ziarnka, a będzie miarka, z drugiej zaś — rzeczywiście ludzie nie mają dla siebie samych szacunku; w tym sęk! Czy człowiek, który wie, co jest wart, będzie sobie ręce brudził kradzieżą z włamaniem, żeby dwadzieścia kopiejek zdobyć? Nigdy! Weź, powiada, na przykład, mnie, który zbliżyłem się umysłem do wykształconej Europy. — ja miałbym się za sto rubli sprzedać?“ I tu zaczyna mi dowodzić na przykładach, jak powinien postępować szanujący się człowiek. Długośmy mówili w taki sposób. Potem powiadam do niego: „Od dawna myślę sobie, Pawle Pietrow, że trzeba spróbować szczęścia, ty jesteś człowiek doświadczony, poradź mi co i jak?“ — „Hm! — powiada — da się zrobić! A gdybyś tak skombinował sobie interesik na własną rękę, bez pomocy? Ot, na przykład... Obajmow, powiada, z poręby wraca przez Worsklę sam końmi; jak ci wiadomo, zawsze ma przy sobie pieniążki, od przedsiębiorcy na porębie dostaje wpływy z całego tygodnia; co dzień targują za trzy setki, a nawet więcej. Co ty na to? „Zastanowiłem się. Obajmow był to kupiec, u którego przedtem pracowałem. Interes podwójnie dobry: zemsta za to, jak ze mną postąpił, i smaczny kąsek. „Trzeba pomyśleć“ — mówię. „I owszem“ — odpowiada Pietrow.

Zamilkł i powoli zaczął skręcać papierosa. Zachód zgasł już prawie, tylko wąziutka, różowa wstążka, z każdą chwilą coraz bardziej blednąc ledwie znaczyła skraj puchowej chmurki, jak gdyby zastygłej w znużeniu na pociemniałym niebie. W stepie było cicho i smutno, łagodny plusk, nieustannie idący od morza, jeszcze bardziej podkreślał swym jednostajnym i miękkim głosem ten smutek i ciszę. Nad morzem jasnym światłem zapalały się kolejno gwiazdy, jakby je wczoraj dopiero zrobiono, by przyozdobić aksamitne niebo południa.

— No tak, bracie, pomyślałem sobie nad tą sprawą i tej samej nocy zaczaiłem się w krzakach nad Worsklą; miałem ze sobą żelazny sworzeń, dobre siedem funtów ważył. Było to, pamiętam, gdzieś pod koniec października. Noc — że trudno o lepszą: ciemno jak w duszy człowieka... Miejsce wymarzone. Zaraz obok most i na samym zjeździe deski wybite, więc konie pójdą stępa. Leżę i czekam. Złości, bracie, starczyłoby mi wtedy na dziesięciu kupców. Cała sprawa wydawała mi się najprostsza w świecie: stuk! — i koniec!. .. No tak! Leżę więc i wszystko mam gotowe. Raz — i bierz pieniążki. Bęc — i po wszystkim.

Myślisz może, że człowiek ma swoją wolę? Szkoda gadać, bracie! Powiedz mi, co jutro będziesz robił? Bzdura! W żaden sposób nie powiesz, czy pójdziesz na prawo, czy na lewo. Leżałem i czekałem na jedno, a wyszło całkiem co innego. Głupia historia!

Patrzę: z miasta ktoś idzie, jakby pijany, chwieje się, w ręku laska.



rys. Janina Konarska

Coś tam bełkocze bezładnie i płacze — pochlipując... Jeszcze bliżej podszedł, patrzę — baba! Tfu, przeklęta! A no, zbliż się, już ja ci pokażę. Ona zaś idzie prosto na most i jak ci nagle nie krzyknie: „Miły mój, za co!“ Ale bracie, krzyknęła! Dreszcz mnie przebiegł. „Co się dzieje?“ — myślę. A ona wali wprost na mnie. Leżę przyciśnięty do ziemi, cały drżę — gdzie się moja złość podziała! Zaraz wlezie na mnie, nastąpi nogą! I nagle jak nie zawyje: „Za co? Za co?!“ i buch na ziemię, jak stała, prawie obok mnie. Zapłakała, bracie, tak, że nie umiem ci nawet powiedzieć, serce pękało. Leżę jednak i ani mru—mru. A ona wciąż płacze. Żal mnie ogarnął. Ucieknę, myślę sobie. Tymczasem księżyc wyszedł zza chmury i zrobiło się tak jasno, że aż strach. Podniosłem się na łokciu i spojrzałem na nią... I wtedy, bracie, wszystko się skończyło, wszystkie moje plany diabli wzięli! Patrzę i serce we mnie jęknęło: dziewczyna, dziecko jeszcze, bielutka, kędziorki na policzkach, oczy ogromne i tak patrzą... ramionka drżą, a z oczu lecą i lecą łzy jak groch, jedna za drugą

Żałość, bracie, całkiem mnie rozebrała. Zaczynam kaszleć: “Kche! kche! kche!“ Wtedy ona w krzyk: „Kto to? Kto tutaj?!“ Przestraszyła się.. Ja więc zaraz tego... wstałem i mówię: „To ja“. — „Kto pan jest?“ — mówi. Oczy zrobiły się jej ogromne i trzęsie się cała jak galareta. „Kto pan jest?“ — powiada.

Roześmiałem się.

„Ja niby? Przede wszystkim nie bój się mnie, panienko, nie zrobię ci nic złego. Jestem sobie człowiek z bosej kompanii“. Tak. Skłamałem jej; nie mogłem przecież powiedziec, chłopie, że zaczaiłem się tu, by zabić kupca! Ona zaś odpowiada: „Wszystko mi jedno, mówi, przyszłam się tutaj utopić“. A tak to powiedziała, że trząsłem się — poważna sprawa, bracie. Co tu robić?

Jemieljan żałośnie rozłożył ręce i patrzył na mnie z szerokim i dobrym uśmiechem.

— Nagle, bracie, zacząłem mówić. Nie wiem o czym, ale tak, że sam się zasłuchałem, najwięcej o tym, że ona jest młoda i taka śliczna. A że była śliczna, to już nie ma co mówić. Hej, bracie! Ale śliczna! Nazywała się Liza. Tak więc mówię do niej, a co — któż tam może wiedzieć — co? Serce mówiło. Tak! A ona nic, tylko patrzy na mnie poważnie i bacznie i nagle jak ci się uśmiechnie... — ryknął Jemieljan na cały step ze łzami w głosie i w oczach, potrząsając w powietrzu zaciśniętymi pięściami.

— Jak się uśmiechnęła, tak całkiem stajałem i bęc przed nią na kolana: „Panienko, powiadam, panienko!“ A ona, bracie, wzięła mnie rękami za głowę, patrzy mi w twarz i uśmiecha się jak na obrazku; porusza wargami, chce coś powiedzieć; potem opanowała się i mówi: „Drogi mój, ty też jesteś nieszczęśliwy, jak i ja! Tak? Powiedz, mój miły!“ Tak, przyjacielu, tak właśnie było. Ale to jeszcze nie wszystko; pocałowała mnie w czoło, bracie! Tak! Słyszysz? Naprawdę! Ach, człowieku! Wiesz, nic lepszego nie spotkało mnie przez czterdzieści siedem lat życia! No? Otóż to! A ja po co tam poszedłem? Ech, życie, życie!...

Zamilkł i oparł głowę na dłoniach. Wstrząśnięty dziwnym opowiadaniem milczałem i patrzyłem na morze podobne do ogromnej piersi ludzkiej, równo i głęboko oddychającej w głębokim śnie.

— Potem wstała i mówi: „Odprowadź mnie do domu“. Poszliśmy. Idę, nogi się pode mną uginają, ona zaś opowiada mi wszystko, jak było. Była ona, rozumiesz, jedyną córką u swoich rodziców, kupców, rozpieszczali ją. Potem przyjechał student, zaczął ją uczyć, zakochali się w sobie. Student wyjechał, ona czekała na niego, aż skończy swoją naukę i przyjedzie na ślub; tak się umówili. Ale nie przyjechał i przysłał list: że niby ty nie jesteś dla mnie para. Dziewczynę, rzecz jasna, serce boli. Więc ona, tego, znaczy... Opowiada mi to wszystko i tak doszliśmy do domu, gdzie mieszkała. „No, powiada, kochaneczku, żegnaj! Jutro, powiada, stąd wyjadę. Może ci potrzeba pieniędzy? Powiedz, nie krępuj się“. — „Nie, mówię, panienko, nie trzeba, nie, dziękuję“. — „Miły mój, mów szczerze, weź!“ — nalega. Byłem obdarty, ale mówię: „Nie trzeba, panienko“. Wiesz, bracie, gdzie mi tam wtedy były w głowie pieniądze. Pożegnaliśmy się. A ona mówi tak serdecznie: „Nigdy cię nie zapomnę; przecież obcy jesteś człowiek, a taki mi...“ Ale diabła tam — urwał Jemieljan, znowu zabierając się do palenia.

— Poszła. Siadłem na ławce przy bramie. Zrobiło mi się smutno. Idzie stróż nocny. „Czego tu sterczysz, powiada, może chcesz co zwędzić?“ Ścisnęły mnie te słowa mocno za serce! W mordę go — rraz! Krzyk, świst... na policję! No cóż, na policję, to na policję, wal ile wlezie — wszystko mi jedno: jak rąbnę go drugi raz! Siadłem na ławce, uciekać nie miałem ochoty. Nocowałem; rano zwolnili mnie. Idę do Pawła Pietrowa. „Gdzieżeś był?“ — pyta z uśmiechem. Spojrzałem na niego — człowiek taki sam jak wczoraj, ale jakbym coś nowego w nim dostrzegł. Opowiedziałem mu oczywiście wszystko, co i jak. Słuchał uważnie, a potem: „Jemieljanie Pawłowiczu, mówi, dureń z ciebie i bałwan; czy nie byłby pan łaskaw pójść stąd precz?“ — No, cóż? Czy nie miał racji? Poszedłem sobie i tyle. — Taka była sprawa, bracie!

Zamilkł, wyciągnął się na ziemi i zarzuciwszy ręce pod głowę, patrzył w niebo — aksamitne i rozgwieżdżone. Wokół panowała cisza. Szum fal uderzających o brzeg, jeszcze bardziej łagodny i cichy, dolatywał do nas jak słabe, senne westchnienie.

Maksym Gorki

przełożyła **Joanna Guze**

[1]) Chochoł — przezwisko nadawane w carskiej Rosji Ukraińcom. Przyp. tłum.

ALBERT MALTZ

NIEDZIELA W DŻUNGLI

Trzynastoletni Charlie trzymał w ręku kulę śnieżną i czekał, aż dyżurny da sygnał do odjazdu. Kiedy autobus ruszył z miejsca, Charlie ukrył się za kupą śniegu. Z odległości około dwudziestu kroków zamierzył się i rzucił kulę. Rozsypała się na dachu autobusu. Chłopiec uśmiechnął się z zadowoleniem, ubijając nowy pocisk śnieżny.

Tego dnia Charlie błąkał się od rana po Hudson Street, nie wiedząc, jak zabić czas.

Na rogu 11-ej ulicy i 7-ej Avenue zatrzymał się przed cukiernią. Szybko przełknął po kolei tort czekoladowy, ciastko z kremem, porcję rolady jabłkowej i dwa kawałki tortu brzoskwiniowego ze śmietaną. Niewiele brakowało, a wyjadłby cały sklep, ale niespodziewanie wyszła ze sklepu sprzedawczyni i powiedziała, żeby się nie opierał o szybę, tylko poszedł swoją drogą.

Charlie nudził się, więc postanowił iść do domu. Po drodze wstąpił do małego sklepiku, w którym często coś kupował. Tęga właścicielka podeszła ociężale do lady.

— Ile kosztuje chleb świętojański? — zapytał Charlie.

— Dwie sztuki za centa.

— A to tutaj?

— Cztery za centa.

— A te cukierki?

— Jeden cent sztuka. Więc czego chcesz?

— Polecę najpierw do domu — zdecydował Charlie. — Po pieniądze. Za osiem minut będę z powrotem.

Szedł powoli marząc, jakby to było pięknie, gdyby mógł sobie kupić świętojańskiego chleba. Kładziesz go na język i ssiesz. Musisz mieć silną wolę, żeby go za jednym razem nie połknąć. Ale za to nie bolą cię przynajmniej zęby, a możesz długo utrzymać smak w ustach. Charlie ściągnął przemoczone rękawice i chuchał w palce. Po co właściwie istnieje niedziela? W tej dzielnicy nowego Jorku w niedzielę jest cicho jak na cmentarzu, bo wszystkie fabryki są zamknięte.

Do przystanku zbliżał się autobus. Charlie spostrzegł sąsiada z mieszkania obok, starszego mężczyznę, przebiegającego z żoną przez ulicę. Chcieli zdążyć jeszcze na autobus. Kiedy dobiegli, sąsiad wyciągnął rękę z kieszeni i wtedy wyleciała mu z niej pięćdziesięciocentówka, potoczyła się po chodniku i wpadła w kratę kanału. Starzec zaklął i wsiadł do autobusu. Ale jeszcze ze schodków zawołał na Charliego, który rzucił się do kraty.

— Jeśli ją znajdziesz, Charlie, dostaniesz dziesięć centów.

— Dobrze — odpowiedział chłopiec.

Autobus ruszył, a Charlie pocwałował do domu. Dla wyciągnięcia monety potrzebny mu był powróz i guma do żucia. Pięćdziesiąt centów! Wyciągał już miedziaki z kanału, raz nawet prawdziwą niklówkę, ale z taką sumą miał do czynienia po raz pierwszy!

Można było przecież po prostu powiedzieć sąsiadowi, że monety nie udało się wyjąć!

W mgnieniu oka chłopak znalazł się przed domem. Z podniecenia zapomniał o ułamanym stopniu na drugim piętrze i nagle uwiązł nogą w szparze. Upadł i potłukł sobie boleśnie goleń. Pozostałe trzy piętra przebył we łzach.

Matka siedziała przy oknie i łatała.

— Mamo, dasz mi trzy centy?—zapytał. Pytanie to brzmiało jak rozkaz. Charlie wiedział, że matka ustępuje tylko przed przemocą.

— Na miłość boską, ciszej — odrzekła. — Ojciec śpi. A dlaczego wchodzisz do pokoju w zabłoconych kaloszach i paćkasz podłogę?

— Ja zaraz idę z powrotem, daj mi tylko te pieniądze, mamo.

— Nie mogę ci dać trzech centów. Dopiero we wtorek dostałeś centa na cukierki.

— Mamo, te pieniądze są mi koniecznie potrzebne! Posłuchaj, pół dolara wpadło do kanału. Jeśli będę miał gumę do żucia, będę mógł je wydostać.

— Ach, więc tak! Chciałeś to przede mną ukryć, co? — Roześmiała się cicho.

— Jednego centa mogę ci dać, ale musisz mi go zwrócić.

— Jeden cent to za mało. Potrzebuję trzy, muszę kupić dużo gumy do żucia.

Matka wyszła do kuchni i po chwili wróciła z portmonetką.

— Mam tylko dwa centy — powiedziała — i pół dolara na wieczorne nabożeństwo.

— No więc, dasz mi te pół dolara — powiedział Charlie zdecydowanym tonem i kichnął. — Rozmienię je, wszystko ci zwrócę, słowo honoru.

— Nie, nie mogę tego ryzykować — rzekła i wręczyła mu dwie monety.

Charlie z gniewnym gestem przyjął pieniądze. Za te dwa centy nie dostanie wystarczającej ilości gumy do żucia. Wiedział jednak, że matka była nieubłagana, gdy chodziło o pieniądze, przeznaczone na kościół.

— Ażebyś nie zapomniał mi ich zwrócić — powtórzyła.

— Dobrze — odkrzyknął, szukając w kuchni sznura.

— Kiedyś — mówiła matka, swym zwykłym, narzekającym tonem — moglibyśmy ci dać, nawet pięć centów.

Charlie znalazł sznur, uciął kawałek i wsunął go szybko do kieszeni.

— Ale teraz ojciec jest niedołęga — ciągnęła matka. — Inni ludzie chodzą porządnie, a on ledwo nogi wlecze. Inni ludzie pracują w dzień, a on pracuje w nocy. No, ale i tak mamy jeszcze szczęście, że ma tę pracę.

— To ja już idę, mamo — powiedział Charlie i nie czekając na odpowiedź, zbiegł ze schodów. Powiedział sobie przy tym raz jeszcze, że wszystkie matki są antypatyczne, a ojcowie — no, o tych to się już nie mówi! Mógłby sobie przecież stary odmówić kiedyś kufla piwa, żeby kupić swemu synowi czekoladę.

Charlie pobiegł do skepu za rogiem. kupił tam dwie małe pastylki gumy do żucia i wsadził całą ich zawartość do ust. Guma do żucia musi być miękka, w przeciwnym razie moneta nie przylepi się do niej. Żuł prawą stroną, po której miał jeszcze zęby. Następnie ruszył biegiem w kierunku przystanku autobusowego — tam położył się na oblodzonej kracie kanału. Dno żelbetonowego kanału pokryte było śniegiem i śmieciami. Gdzieniegdzie znajdowały się małe kałuże. Charlie patrzył uparcie w dół i powoli, centymetr po centymetrze, pełzał po ziemi. Przez dziesięć minut patrzył bez rezultatu. Musiał w końcu przerwać poszukiwania, żeby ogrzać sobie zgrabiałe ręce chuchaniem. Potem znów wrócił do poprzedniej pozycji.

Wreszcie odkrył zgubioną monetę. Leżała na wpół w wodzie. Naprawdę nie będzie łatwo wydostać ją stamtąd. Wyszczerzywszy w napięciu zęby, Charlie zrobił na końcu sznura duży supeł i przylepił doń kawałek gumy do żucia, którą uformował w kształcie wielkiej, płaskiej tarczy. Na drugim końcu powrozu związał pętlicę, po czym nałożył ją na napięstek w obawie, żeby mu się powróz nie wyśliznął z ręki. Jeszcze raz naślinił dokładnie gumę i po chwili spuszczał już powróz z wielką ostrożnością w głąb kanału.

Pochłonięty całkowicie tą czynnością nie zauważył początkowo, że ktoś do niego podchodzi z tyłu. Był to mały, niepozorny człowieczek, w wieku lat około czterdziestu pięciu. Zimny wiatr wypalił czerwone plamy na jego szarej twarzy. Charlie nie widział wprawdzie przybysza, ale wyczuł jego obecność. Nieznajomy dyszał ciężko, jak gdyby niósł na plecach jakiś ciężar. Chłopiec spojrzał na niego przelotnie i dalej robił swoje. W tej chwili wykonywał właśnie najtrudniejszą część swojej roboty. Grudka gumy do żucia nie była na tyle masywna, by uderzyć w monetę z dostateczną siłą. Trzeba będzie celować wiele razy i dopiero wtedy może się uda wyciągnąć monetę.

Przez parę minut przybysz milcząc obserwował Charliego. Potem ukląkł przy nim i zacharczał:

— Pół dolara, co?

Długo przyglądał się sznurowi, kołyszącemu się nad pieniądzem. — No? Nie jest to takie łatwe, co? — zapytał półgębkiem.

Charlie nie odpowiedział.

Nieznajomy obserwował chłopca w dalszym ciągu i nie ruszał się z miejsca.

— Przy takim mrozie guma do żucia szybko krzepnie — powiedział. — Nie wygląda mi na to, chłopcze, żebyś się do tego pieniądza dobrał. Poza tym zaraz będzie ciemno. Musisz mieć do tego porządne przyrządy, inaczej nigdy nie wydostaniesz monety!

Nie podniósłszy oczu, Charlie powiedział głośno::

— Co cię to obchodzi?

Mężczyzna wstał i szybko się rozejrzał. Wokoło nie było żywej duszy. Odszedł kilka kroków i rozpiął płaszcz. Do podszewki miał przymocowane na pasku cienkie drążki. U nasady każdego z nich znajdował się gumowy uchwyt, którym można było je ze sobą połączyć. Przybysz złożył drążki w jedną długą żerdź, zakończoną lepką gumą, i przetknął ją przez kratę.

— Pokażę ci, jak powinien pracować fachowiec — powiedział prawie wesoło, nie patrząc chłopcu w twarz. — To jest metoda numer jeden. Inna metoda polega na nasmarowaniu gumy tłuszczem. W ten sposób można wyłowić i bransoletkę. Ale jeśli chodzi o monetę, należy to robić tak...

— Czego tu szukasz? — zawołał rozjątrzony Charlie. — Czego chcesz?

— Chcę ci pokazać, jak to robi fachowiec.

— Pogap się i idź precz! — krzyknął Charlie i targnął mężczyznę ze złością za kurtkę. — Znikaj.

Nieznajomy wyrwał rękaw i roześmiał się chrapliwie.

— Tobie przecież chyba wszystko jedno. Ty i tak tej monety nie wyciągniesz — orzekł. — Czyż mamy ją tu w końcu zostawić dla kogoś innego?

— Do diabła, ja ci pokażę, czy jej nie wydostanę — zawołał Charlie.— Precz z łapami, ten pieniądz jest mój!

— Dam ci pięć centów — powiedział mężczyzna.

Charlie energicznie wyciągnął swoją linkę i schował ją do kieszeni, potem wstał, podszedł do nieznajomego i dokładnie wymierzonym ruchem kopnął go w biodro. Mężczyzna krzyknął boleśnie. Charlie natychmiast odskoczył o dziesięć kroków.

— To podłość — wyjęczał obcy i chwycił się za bolące miejsce.—Skręcę ci kark, ty szczurku!

Przez chwilę mierzyli się złymi spojrzeniami, ale żaden nie ruszył się z miejsca. Chociaż mężczyzna był o dobrych trzydzieści lat starszy od chłopca, było między nimi jakieś podobieństwo. Charlie wyglądał na mniej niż trzynaście lat, a nieznajomy właściwie w ogóle nie wyglądał na dorosłego.

Obserwując w dalszym ciągu Charliego, obcy ukląkł nad otworem. Następnie przetknął tyczkę pfzez kratę, ale głowę miał przy tym ciągle zwróconą ku chłopcu. Charlie stał chwilę niezdecydowany. Potem podbiegł do kupy śniegu. Przez cały ten czas mężczyzna śledził go uważnym spojrzeniem.

— Skręcę ci szyję, tylko podejdź bliżej — powiedział. Lepiej uciekaj, teraz ci już nie dam nawet pięciu centów, rozgniewałeś mnie!

Charlie wygarnął ze śniegu kawałek lodu i rzucił nim w konkurenta, nie trafił go, ale mężczyzna się przeląkł, poderwał się z ziemi i wyciągnął żerdź z kanału. Charlie schował się za kupę śniegu, drżał na całym ciele, a ręka jego znowu kurczowo ugrzęzła w poszukiwaniu grudek lodu.

— Zobaczysz, jeszcze pożałujesz— powiedział mężczyzna rozjątrzony i rozejrzał się po pustej, zapadającej w ciemność ulicy. — Myślisz, że ja to robię dla zabawy? — zapytał nagle. — Myślisz sobie pewnie, że mi to sprawia przyjemność bić się z takim ulicznikiem jak ty? I wszystko dla pięćdziesięciu centów?

W tej chwili uderzyła go w kolano kula śnieżna. Mężczyzna pogroził Charliemu pięścią, a w głosie jego zabrzmiał gniew.

— Widzę, że inaczej nie chcesz. No, poczekaj, dostaniesz — zasapał.

Położył żerdź na bruku i ruszył za Charliem. Ale chłopak uciekł. Po chwili duży kawał lodu trafił mężczyznę w czoło. Złapał się za głowę, wściekły z gniewu i bólu.

— No, dostałeś, psie! — wykrzyknął Charlie.

Nieznajomy pomknął za nim, ale Charlie był zręczniejszy. Przez cały czas udawało mu się chować za kupą śnieżną. Nagle mężczyzna zatrzymał się. Otworzył usta i chwycił się za serce. Nie wyrzekłszy słowa podszedł z powrotem do kraty i znów zaczął wyławiać monetę z kanału. Teraz Charlie zdecydował się na nową taktykę. Przeprowadził manewr okrążający i uderzył mężczyznę z tyłu kawałkiem lodu w kark. Nieznajomy przysiadł pod ciosem, ale się nie odwrócił. Właśnie w tej chwili wyciągnął żerdź, żeby ją przesunąć przez inny otwór w kracie. Charlie podbiegł doń znowu, tym razem zdecydowany na kopnięcie. Ale mężczyzna, głośno przeklinając, podniósł się z ziemi, złapał go za rękę i chociaż Charlie bronił się dzielnie, wykręcił mu obie ręce na plecy. Żerdź leżała między nimi.

— Mógłbym ci kark przetrącić — powiedział nieznajomy, potrząsając chłopcem. — Naprawdę, i raz na zawsze, ty szczurze jeden! Ale nie zrobię tego, rozumiesz — jesteś jeszcze dzieciakiem, ale posłuchaj...

Nagle Charlie silnie targnął ciałem, wyprężył się i kopnął mężczyznę boleśnie w nogę. Po tym manewrze udało mu się uciec na kupę śniegu. Nieznajomy stał teraz i patrzył tępo przed siebie, wykrzywiając boleśnie usta.

— Och, Boże — rzekł. Co to za ordynarna pluskwa! Przecież nawet cię nie tknąłem. Chciałem ci tylko zaproponować uczciwy interes... — nagle trafiła go śnieżna kula w piersi. — Dobra — ciągnął — nie mogę wyciągnąć monety, jeśli nie zostawisz mnie w spokoju. I ty również nie będziesz mógł jej wyciągnąć, jeśli ci nie pozwolę. Więc pieniądz nie będzie ani mój, ani twój. Niedługo zapadnie noc. Jestem gotów się z tobą podzielić. Pół na pół. Dam ci dwadzieścia pięć centów!

— Nie! — krzyczał Charlie. — Ta moneta jest moja.

Drżał ze złości.

— No, ale dlaczego nie chcesz zrozumieć, że bez odpowiedniego przyrządu jej nie wyciągniesz? — W głosie mężczyzny zabrzmiała prośba.—Twoja guma do żucia przy takim mrozie nic nie jest warta.

— To są moje pieniądze!

— Mój Boże! No dobrze, tyś tę monetę znalazł, przyznaję ci to — przekonywał w dalszym ciągu nieznajomy — ale ja mam za to przyrząd. Wyciągnę monetę i podzielimy się.

— Nie!

— Popatrz, przydałoby mi się trochę pieniędzy, zadowolę się drobnostką — powiedział mężczyzna i w jego głosie zabrzmiała nuta zniechęcenia i jakby wstydu. — Przecież to jest moje zajęcie, chłopcze. Tylko z tego żyję, czemu nie chcesz tego zrozumieć? Dziś jeszcze nic nie znalazłem, musisz mi przecież użyczyć choć małego zarobku, musisz!

— Nie!

— Ależ chłopcze, chłopcze — zawołał mężczyzna z rozpaczą — gdybyś był o dziesięć lat starszy, zrozumiałbyś to. Myślisz zapewne, że mi to zajęcie sprawia przyjemność? Gdybyś był o dziesięć lat starszy, mógłbym z tobą mówić i zrozumiałbyś mnie.

Charlie zacisnął mocno usta. Na jego twarzy zbielałej od mrozu malowała się złość.

— Gdybym był o dziesięć lat starszy, rozbiłbym ci głowę — powiedział.

Mężczyzna schylił się z trudem i wyciągnął żerdź. Utykając lekko poszedł powoli swoją drogą. Płakał.

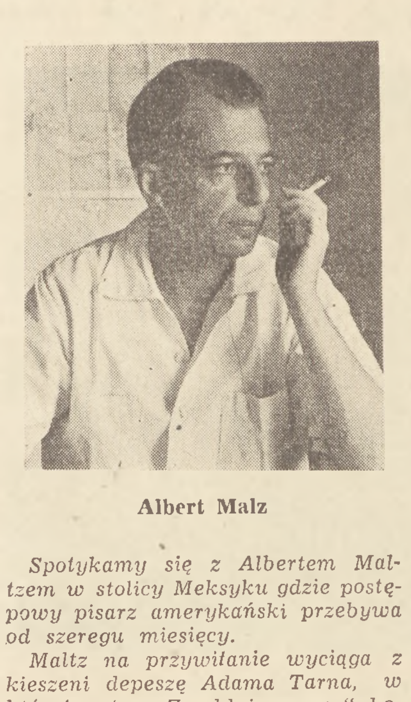
Charlie znieruchomiał w pozie zwycięzcy. Twarz jego była jakby z kamienia.

Teraz ściemniło się już na dobre.

Albert Maltz

Przełożył Zbigniew K. Rogowski

Rozmowa z Albertem Maltzem



Albert Malz

Spotykamy się z Albertem Maltzem w stolicy Meksyku gdzie postępowy pisarz amerykański przebywa od szeregu miesięcy.

Maltz na przywitanie wyciąga z kieszeni depeszę Adama Tarna, w której autor „Zwykłej sprawy" komunikuje mu o powodzeniu jego premiery teatralnej.

Wiadomość o swojej dużej popularności w Polsce Maltz przyjmuje z niesłychaną skromnością, dopytując się o szczegóły, kto go czyta, jakie książki bardziej się podobają i co pisze o nim krytyka. Jest niesłychanie zainteresowany przemianami, jakie zachodzą w Polsce, no i przede wszystkim życiem kulturalnym i teatrem.

Z kolei zapytuję o jego karierę, jako pisarza teatralnego.

— Moją pierwszą sztuką teatralną była „Merry go round" (Karuzela). Napisałem ją razem z pisarzem George Sklar, kiedyśmy obaj byli studentami w Yale University. Było to w roku 1932, i obaj studiowaliśmy na wydziale teatrologii. Moja pierwsza sztuka wiąże się z ciekawą historią. Tematem jej jest morderstwo, które miało na celu zamaskowanie korupcji politycznej w dużym mieście amerykańskim. Rzecz działa się w okresie depresji ekonomicznej, przed wyborami Roosevelta. Premiera odbyła się na Broadway'u, i miała duże powodzenie zarówno wśród publiczności jak i krytyków. Ale skorumpowani politycy zlękli się, że sztuka może być publicznym oskarżeniem ich łączności z kryminalistami i pod ich presją burmistrz Nowego Jorku zakazał wystawiania sztuki pod pretekstem, że teatr nie jest dostatecznie zabezpieczony na wypadek wybuchu pożaru! Sztuka jednak zbyt jasno mówiła o korupcji w administracji Nowego Jorku, by zarówno publiczność jak i dziennikarze mogli nie zorientować się, o co chodzi. Pod wpływem opinii publicznej „straż ogniowa" musiała pozwolić, aby sztuka znów weszła na afisz.

Moja następna sztuka „Peace on the Earth" (Pokój na ziemi), którą także napisałem do spółki z George Sklarem, ma też swoją historię. Tematem tej sztuki, którą pisałem w r. 1934, jest historia apolitycznego profesora uniwersytetu, który bierze czynny udział w ruchu pokojowym. W okresie tym przez Stany przechodziła olbrzymia fala strajków.

Sztuka ta została wystawiona przez „Theatre Union" (Związek Teatralny), którego obaj byliśmy członkami. „Theatre Union" grupowała postępowych pisarzy i artystów i miała na celu wystawianie sztuk postępowych. „Pokój na ziemi" był pierwszą sztuką graną przez ten teatr i spotkał się z bardzo wrogim przyjęciem ze strony krytyki burżuazyjnej. Wszyscy oczekiwali, że sztuka nie będzie miała powodzenia. Ale my szukaliśmy innej publiczności i nie zwracaliśmy uwagi na krytykę burżuazyjną.

Ceny biletów w teatrze wahały się wówczas od 1.10 cent. do 4 dolarów 40 cent. Myśmy zaś ustanowili jako najwyższą cenę biletu 1 dolar, najniższą 25 cent. Dla bezrobotnych wejście było bezpłatne. Cel został osiągnięty. Sztuka była grana z dużym powodzeniem przez szereg tygodni, a naszą najwyższą satysfakcję stanowił fakt, że 50% publiczności po raz pierwszy w życiu przyszło do teatru.

Treścią mojej następnej sztuki „The Black Pit" (Czarna otchłań) była historia o polskich i słowackich górnikach w Pensylwanii i o donosicielu robotniczym. — Ponadto napisałem jeszcze 3 jednoaktówki.

— Co jest Panu bliższe — teatr czy proza?

— W rzeczywistości byłem dramaturgiem tylko przez 4 lata. Teatr nie pociąga mnie tak jak nowela, ale chętnie pisałbym dla teatru, gdybym żył w kraju socjalistycznym.

— Czy chce Pan przez to powiedzieć, że w Stanach sztuki Pana nie mogą być wystawiane?

— Sytuacja teatralna w Stanach jest bardzo zła. Teatry są przedsiębiorstwami prywatnymi i na to, by wystawić jakąś sztukę, trzeba mieć dużo pieniędzy. W sztuce mojej „The Black Pit" chcieliśmy zaangażować do głównej roli znanego aktora. Okazało się to jednak niemożliwe, gdyż nie byliśmy w stanie zapłacić mu odpowiedniej gaży. Bez względu na to, jaką sztukę się wystawia, okres prób jest ograniczony do 4-ch tygodni, gdyż regulamin Związku Zawodowego Artystów nie obowiązuje do płacenia pełnych gaż podczas prób, więc czas ten należy skrócić do minimum. Pracownicy techniczni biorą udział tylko w kilku ostatnich próbach, gdyż nigdy nie ma dość pieniędzy, by ich opłacić. Najczęściej sztuka nie jest gotowa w dniu premiery, co jednak nie wpływa w żadnym wypadku na zmianę terminu. W systemie kapitalistycznym nie ma dość pieniędzy, by przygotować odpowiednio sztukę — wszystko jest obliczone na „business",

— Czy nie ma teatrów państwowych?

— Nie. Państwowy teatr istniał tylko 3 lata za czasów t. zw. New Deal — Roosevelta. Zatrudniono bezrobotnych aktorów, tak samo jak w okresie tym zatrudniało się architektów, inżynierów etc. Mimo że gaże aktorów były minimalne, strumień świeżej energii i artyzmu przypłynął do teatrów, które wystawiły w tym czasie najlepsze sztuki, ale reakcja zwalczyła szybko ten nowy prąd w teatrze i pomoc państwowa została cofnięta. Od tego czasu nie istnieje teatr państwowy.

— Jak się przedstawia sprawa teatru postępowego?

— Istnieją tylko teatry amatorskie, które mogą dotrzeć do bardzo ograniczonej liczby widzów. Kiedy w roku 1932 koszt wystawienia sztuki wynosił 10.000 dolarów, dziś wynosi on 80.000. Lewicowy teatr nie może zdobyć takiej sumy. W chwili obecnej istnieje minimalna możliwość wystawiania w Stanach sztuk postępowych. Miałem zamiar napisać sztukę, której akcja toczy się w więzieniu w Stanach, opartą na własnym doświadczeniu, ale zrezygnowałem, gdyż nie jestem nawet pewien, czy książka, którą piszę pod tym samym tytułem „Więzienie" — znajdzie wydawcę. Mimo że mam gotowy pomysł, nie napiszę sztuki, gdyż wiem, że nie ma ona żadnych szans ukazania się na scenie. Żaden dyrektor teatralny nie ośmieli się wystawić teraz sztuki Fasta. Wydanie książki kosztuje mniej niż wystawienie sztuki i dlatego autor może jeszcze próbować szczęścia. Mimo że Komitet do Badania Działalności Antyamerykańskiej nie zaczął jeszcze „dochodzeń" wśród wydawnictw, wydawcy sami nałożyli na siebie cenzurę i nie chcą wydawać książek autorów postępowych.

— Czy sztuki Pana były grane w innych krajach?

— Tak, w Rumunii był wystawiony „Pokój na ziemi", jednoaktówki grano w Związku Radzieckim.

— Czy wiadomo Panu, że list, który napisał Pan do polskiej publiczności, jest czytany przed każdym przedstawieniem Pana sztuki?

— Tak. Jestem ogromnie wzruszony moją polską premierą. Przede wszystkim dlatego, że żaden teatr amerykański nie zmontowałby przedstawienia, składającego się tylko z jednoaktówek, gdyż nie byłoby to „handlowe". Po drugie bardzo mnie cieszy, że będą one wydane w formie książki i grane w teatrach robotniczych i klubach. Po trzecie — Matka moja była Polką. Dawniej było mi to obojętne, dziś jestem dumny z mego polskiego pochodzenia.

Chciałbym móc zwiedzić Kraj Socjalizmu i Demokracje Ludowe i móc o nich pisać dla publiczności amerykańskiej. Każdy głos w obronie pokoju, głos, który mówi prawdę, jest dzisiaj pożyteczny

Rozmowę przeprowadziła
G. S.

ROBERT MENDE

OSOBLIWA RZECZ

Wysoka
stopa
życiowa
to osobliwa rzecz.
Radio, telewizja, maszyny do prania,
rozliczne automaty:
do prania, prasowania, do wody sodowej,
pochłaniacze wilgoci i schody ruchome,
sztuczny jedwab, mleko homogenizowane,
słodycze w mleku mrożone, sole kąpielowe,
a jednak
jest się nad czym zastanowić....

Kawał czasu temu
w południowo - wschodniej dzielnicy
Nowego Jorku
pobrali się Matka i Ojciec;
trzy wynajęte pokoje
nie grzeszyły ciepłem.
Zimna woda bieżąca,
właściciel domu — szczur,
żyjący z wyzysku.

„Nie będę czekał na komorne
dłużej niż trzy tygodnie.
Miesiąc? — nie ma nawet mowy,
Remont? — raz do roku".

Zajmując mieszkanie
za trzynaście dolarów miesięcznie
spłodzili jedno dziecko, drugie, trzecie.
Ja byłem tym trzecim.

I oto dzisiaj,
podobnie
jak Tato z Mamą kawał czasu temu —
dopiero co zaślubieni, poszukujemy
miejsca, by zawiesić szczotkę.
Ale nie masz wolnych pokoi, wolnego miejsca,
wszystko wynajęte,
wynajęte w 100%-ach.

„Spróbuj w nowym domu".
„Wypełnij to podanie".
„Niestety, przyjmujemy tylko weteranów".
„Jestem weteranem".
„To cóż z tego?"



Robert Mende

Chcąc nasze dusze bezdomne
osłonić dachem,
zaglądaliśmy do każdej dachem
krytej dziury.
Aż do dzielnicy południowo-wsch
Nowego Jorku,
gdzie kiedyś mieszkali moi.

Wolny lokal!
Wolny, w tym samym doi
au.

Tyle, że budynek o lat trzydzieści pięć starszy
i karaluchy o wiele śmielsze.
Ściany sfatygowane,
sufity gotowe się zawalić.
I wciąż ta zimna woda bieżąca,
właściciel domu — szuja żerująca.

„Wygody?"
„O!"
„Malowanie?"
„O!"
„Remont!"
„O co chodzi?"

Jedyne ulepszenie to komorne.
Oślepia prawdziwym blaskiem.
Wynosi dziś trzydzieści dziewięć i mrugnięcie.
Mrugnięcie, to język
z obory właścicieli domów.
Oznacza: ażeby wprowadzić się,
trzeba jeszcze dwieście dolarów „pod stołem".
Przestępstwo! — Rozmyślamy nad tym cały dzień.
Decydujemy się zapłacić,
a następnie zwrócić do Biura Kontroli Cen.
Powracamy.

„Wynajęte".
„Lecz pan nam przyrzekł..."
„Nigdy nie przyrzekałem".
Jesteśmy tu ze ślubnymi darami —
czymś w rodzaju radiowego budzika,
który budzi muzyką,
i z ostatnim modelem maszynki do grzanek,
ale bez miejsca na mieszkanie.

Jest się więc nad czym zastanowić...
Wysoka stopa życiowa
to osobliwa rzecz.

przełożył Stefan Flukowski

*) Robert Mende — współczesny, postępowy poeta amerykański

JAN GITLIN

W ARGENTYNIE

Statek, na którym przepłynąłem Atlantyk, przybił do Darsena-Norte — nadbrzeża portu Buenos Aires. Trzy mostki wskazały drogę na molo pasażerom z różnych pokładów statku.

Emigracja do Argentyny spadła ostatnio znacznie. Mimo to ruch pasażerski wzmógł się — Argentyna generała Perona stała się Mekką hitlerowców, włoskich faszystów i kolaboracjonistów z wielu krajów. Argentyna posiadała bezpośrednio po wojnie całą kolekcję tych typów: Dino Grandi, były minister spraw zagranicznych i były ambasador Mussoliniego w Londynie, który „załatwił" z dyplomacją angielską sprawę Abisynii, książę Spoleto, były „król" Kroacji z nominacji Il Duce, Vittorio Mussolini, syn Benita oraz niezliczeni oficerowie SS, SA, Wehrmachtu i dygnitarze NSDAP. Nic dziwnego, że nadbrzeże Darsena-Norte, do którego przybijają statki dalekomorskie, jest bardzo ożywione...

MÓJ PRZYJACIEL ENRIQUE MUNOZ

Wieczorem pierwszego dnia spacerowałem po reprezentacyjnie wyglądających ulicach Callao, Alvear i Palermo. Znajdują się tu pałace, wille, wspaniałe gmachy, ambasady, hotele i rezydencja prezydenta państwa. Najniższy czynsz za mieszkanie wynosi przeszło dwa tysiące pięćset pesów, co czterokrotnie przewyższa pensję dobrze płatnego urzędnika. Spacerowałem zaledwie pół godziny lub trzy kwadranse, gdy dźwięk gitary i gwar zaprowadziły mnie w którąś z bocznych ulic. Nie spodziewałem się znaleźć tak szybko, tuż obok eleganckich alei, w dzielnicy pół-portowej, pół-robotniczej, która tak dalece różniła się od wytwornych ulic. Tutaj były wąskie jezdnie, brud i niskie domy. Małe, tandetne teatrzyki, bary, i lokale rozrywkowe dla marynarzy i robotników. Stanąłem przed wejściem do baru. Dym przesłaniał wnętrze. Wszedłem i zbliżyłem się do jednego ze stołów. Mężczyźni, przerzuciwszy marynarki przez poręcze krzeseł, z zakasanymi rękawami grali w karty rzucając je na stół silnym ruchem mocnych, żylastych rąk. Inni stali dokoła, obserwując i komentując posunięcia gracza. W barze nie było ani jednej kobiety. Z kelnerem nie mogłem się porozumieć. Mówił w takim tempie, że słowa zlewały się w niezrozumiałe dźwięki. Straciwszy cierpliwość przywołał jednego z gości, który łamaną angielszczyzną pomógł mi zamówić posiłek. Tak zawarłem znajomość z Enrique Munoz, która zamieniła się potem w wielką przyjaźń. Enrique wybrał za mnie dania. Wtłumaczył mi, że „puchero" to narodowa potrawa w rodzaju gotowanego mięsa; mieć „puchero" lub go nie mieć — oznacza w potocznej gwarze: zarobić na utrzymanie lub nie mieć na życie. „Peron rozwadnia nasze puchero" — krótko i rzeczowo powiedział Enrique. Wypiłem szklaneczkę mocnej „cana", od której — ku uciesze Enrique — zabrakło mi na chwilę tchu.

Mój nowy przyjaciel, jako młody „gaucho" — pastuch, opuścił wieś wędrując do Buenos Aires: „Wędrowałem stale o głodzie i w żarze słońca. Ale kiedy przypomniałem sobie psie życie na wsi, mój nędzny szałas — wtedy odzyskiwałem siły, by dalej się wlec do Buenos Aires. Trzeba wiedzieć, „amigo mio", że Buenos Aires uchodziło wtedy, w moich młodzieńczych latach, za miasto chleba i pracy. W Buenos Aires — mówiono u nas na wsi — człowiek jest wolny i nie jest uwiązany do „estancia", do farmy...".

Enrique pracował w pralniach, z których wypędził go upał i żrące chemikalia. Pracował w przędzalniach, z których wygoniła go specjalnie utrzymywana wilgoć sal fabrycznych, dobrze działająca na słabe włókna, ale źle na organizmy robotników. Nauczył się stolarki i z wielkim trudem założył sobie warsztat, ale z braku pieniędzy nie był w stanie go utrzymać. Znów jął się pracy w fabryce.

JAK POWSTAŁA NOWOCZESNA KASTA FEUDAŁÓW

Republika argentyńska oderwała się od Hiszpanii w 1810 roku — co nie odbyło się bez pomocy Anglii, zainteresowanej w prowadzeniu handlu z Argentyną bez kontroli Hiszpanii. Powierzchnia kraju liczy 2,793.000 km kwadratowych, zamieszkałych przez około 16.109 tysięcy mieszkańców, w tym Indian zaledwie 20 — 30 tysięcy oraz hiszpańsko - indyjskich Metysów około 400 tysięcy. Reszta — biali, zarówno potomkowie kolonizatorów hiszpańskich jak i emigrantów z innych krajów europejskich, oraz znaczny procent Murzynów.



Mieszkania robotników rolnych w dzielnicy Tucuman

Klasa wielkich feudałów powstała w okresie dyktatury trzech groźnych „caudillos": Lopez, Quiroga i, najstraszniejszego z nich, Rosas. Ziemia i bydło były jedynymi rzeczywistymi bogactwami, które „caudillos" mogli rozdzielać i na które mogli nadawać tytuły własności pomiędzy „zasłużonych".

Rosas po zwycięskiej rewolucji rozdzielił zrabowane bydło pomiędzy swoje wojska według następującej skali:

dowodzący generałowie 3 tysiące sztuk bydła i 3 tysiące sztuk owiec,
generałowie zastępcy—2500 i 2500,
pułkownicy — 1500 i 1500,
majorowie — 500 sztuk bydła i 600 sztuk owiec,
kapitanowie — 400 i 500, .
porucznicy — 300 i 400,
podporucznicy — 200 i 300,
sierżanci — 100 i 200,
kapralowie — 80 i 180,
szeregowcy — 50 sztuk bydła i 150 sztuk owiec.

Z górnej warstwy feudałów 15 rodzin posiada 6.620.000 hektarów, to jest trzy czwarte ogólnej ilości ziemi użytkowej. W Argentynie jest ponad sto latyfundiów liczących po 75 tysięcy hektarów, a majątki od 10 do 25 tysięcy hektarów obejmują teren liczący ponad milion hektarów. Oficjalna statystyka za rok 1947 stwierdza, że w Argentynie istniały w owym roku 2.072 majątki o średniej powierzchni 65 tysięcy hektarów. W tym samym 1947 roku, 1804 obszarników posiadało ziemię o powierzchni równej połączonym ziemiom całej Italii, Belgii, Holandii i Danii, krajów zamieszkałych przez 60 milionów ludzi.

„PRZECIEŻ TO SĄ INDIANIE..."

Argentyna — to widoczna wszędzie nędza i widoczne wszędzie bogactwo. Oto przepych pałaców i dworów otoczonych wspaniałymi parkanami, basenami do pływania, kortami tenisowymi i golfowymi — wszystko w obramowaniu niezmierzonych pól o żyznych ziemiach, bujnie pokrytych zbożem i sadami. Wśród pól — liczne wsie biedoty — „peones" mieszkających w nędznych „chozas" — chatkach glinianych, krytych liśćmi palmowymi, niejednokrotnie bez okien. Stada bydła i koni, liczące tysiące sztuk, pilnowane są przez „gauchos" na koniach i kontrolowane autem przez „El Patron" — właściciela. „El Patron" ma wielką władzę: może zezwolić i może zabronić ożenku, kojarzyć pary według własnej chęci, może nawet uratować przed ciężką służbą wojskową. A przy tym wszystkim „El Patron" ma wielką pogardę dla nędzarzy: „Przecież to są Indianie, im nie potrzeba wiele..."

W 1949 roku zarządzający „estancią" — wielkim gospodarstwem feudalnym — otrzymywał przeciętnie 750 pesów miesięcznie jako najniższe uposażenie, plus porządne mieszkanie i pełne utrzymanie dla siebie i rodziny. Natomiast „peon" — robotnik rolny — otrzymywał 150 pesów miesięcznie. Drwale w puszczach zarabiali 4 do 5 pesów dziennie za wyrąbanie jednej tony drzewa, ilość, którą można osiągnąć w ciągu 10 godzin pracy *).

SŁYNNE „FRIGORIFICO"

Po powrocie z wędrówek po kraju spotkałem się znów z moim przyjacielem, Enrique Munoz. Wtedy Enrique orzekł, że „edukacja" moja w szkole Argentyny będzie kompletna dopiero wtedy, gdy zobaczę „Frigorifico".

„Frigorifico" zajmuje bardzo poczesne miejsce w słownictwie Argentyny, a geneza tego słowa jest bardzo charakterystyczna.

W 1873 r. kapitaliści francuscy założyli towarzystwo importu mięsa argentyńskiego, które zakupiło w Anglii 1200-tonowy statek, instalując w nim sześć komór lodowych. Statek nazwano „Le Frigorifique" i w dniu 19 września 1876 roku opuścił on port Rouen z ładunkiem zamrożonego mięsa w eksperymentalną podróż do Buenos Aires. Podróż ta stała się historyczna dla kapitalistów angielskich i amerykańskich oraz dla feudałów argentyńskich. Nazwa „Le Frigorifique" przekształciła się szybko w swojskie „frigorifico" i została przyjęta jako określenie przemysłu mięsnego.

Od tej chwili datuje się wielka, bezwzględna walka o mięso argentyńskie między kapitalistami angielskimi i amerykańskimi, którzy szybko wyeliminowali kapitalistów francuskich. Za słowem „frigorifico" poczęły ukrywać się częste zmiany ministrów argentyńskich rządów, strajki i bezrobocie. Z „frigorifico" wiąże się też walka proletariatu o upaństwowienie przemysłu mięsnego.

Wielki ten przemysł słynie z afer; najgłośniejszą z nich odkrył 72-letni senator Lisandro de la Torre w 1938 roku.

Raport odczytany w senacie przez de la Torre wykazał, że za wiedzą ministra finansów Duhau i ministra rolnictwa Pinedo, angielski trust mięsny „Frigorifico Anglo" prowadził podwójną księgowość, a owi dwaj ministrowie otrzymywali od trustu stałe subsydia, drogą płacenia znacznie wyższych cen za sztukę bydła kupioną z ich hodowli. „Kilka dni temu — mówił sędziwy senator z mównicy — Anglicy usiłowali wywieźć potajemnie z kraju 21 ksiąg handlowych z przetwórni mięsa „Frigorifico Anglo", w skrzyniach z napisem „Corned Beef", na brytyjskim statku handlowym „Norman Star"...

W tym momencie padł strzał, wymierzony w senatora de la Torre, który ugodził jednak innego senatora, Bordabehere. Zabójcą okazał się Cora, były komisarz policji, w prywatnej służbie ministra Duhau.

TU TRZEBA MIEĆ MOCNE NERWY

Argentyna posiada obecnie 17 wielkich „frigorifico", z których zaledwie 5 należy do państwa, reszta do kapitalistów amerykańskich i angielskich. Fabryki te przerobiły w 1950 roku: 4,5 miliona sztuk bydła, ponad dwa miliony sztuk świń, oraz 7,5 miliona sztuk owiec. Na ogół Argentyna posiada około 40 milionów sztuk bydła i około 51 milionów sztuk owiec, nie licząc oczywiście koni i innych zwierząt domowych, lub ptactwa. (Na tle tego bogactwa specjalnego charakteru nabiera fakt wprowadzenia w Argentynie przed kilkoma tygodniami „dni bezmięsnych").

„Frigorifico" mieszczą się w największej robotniczej dzielnicy Avellaneda, za stęchłą rzeczułką Riachuelo, odcinającą je od centrum Buenos Aires. Smród wydzielający się z bagnistego strumyka zapowiada z daleka miejsce, gdzie stoją fabryki. Niskie domki robotników, budowane z drzewa, dykty, łatane deskami i deszczułkami, nierzadko paloną gliną, kryte palmowymi liśćmi.

Z wnętrz stłoczonych domków bije nie zapach pieczonego mięsa, ale taniego oleju jadalnego i pranej bielizny. Po pewnym czasie zaduch konkretyzuje się. To woń krwi i odpadków zabitych zwierząt, które ściekają wprost do rzeczułki Riachuelo. To jest Avellaneda, która pracuje na miliardowe zyski amerykańskich, angielskich i rodzimych monopolistów mięsnych, to jest Avellaneda ludzi jedzących odpadki mięsa i wdychających zatrute powietrze, Avellaneda bladych, wycieńczonych, przedcześnie umierających ludzi, Avellaneda skrofulicznych dzieci, Avellaneda chorych z brudu i nędzy, Avellaneda generała Perona. Ale to jest także Avellaneda politycznie uświadomionego, walczącego proletariatu.

Do rzeźni w podziemiach prowadzi pochyły korytarz, którego górny wylot łączy się z rampą kolejową. Pod nią podstawia się wagony załadowane bydłem. Z wagonu zwierzęta wbiegają do korytarza; w jego końcu, w podziemiu, na tabun dziko pędzącego bydła puszcza się silny strumień wody — to jest ich kąpiel, to jest świadectwo higienicznych warunków pracy rzeźników...

Ludzie broczą po kostki we krwi, mięsie i wydzielinach zwierzęcych. Wszystko jest czerwono-czarne i stęchłe. Zgrzyt mielonych kości, chlust krwi ustępującej w bryzgach spod wnętrzności zwierząt, rzucanych na stoły, na podłogę, ciężkie stąpanie nóg jak po zastygłym błocie, twarze, ręce i fartuchy obryzgane krwią, częste i straszne wypadki poranień przy pracy, brak wentylacji w tych starych, wiekowych gmachach, szum krwi płynącej do wielkich kadzi, w których jest gotowana, zagęszczana, chłodzona, suszona i mielona na puder unoszący się w powietrzu, i znów uporczywy zaduch.

— Tu trzeba mieć mocne nerwy — odezwał się do mnie jeden z robotników.

— A wy macie mocne nerwy? — zapytałem w odpowiedzi.

— Już ich w ogóle nie mają! — „capataz", oprowadzający mnie majster-dozorca odpowiedział za robotnika.

— No, senor — sprzeciwił się robotnik — mamy nerwy.

Wracając widziałem krew nawet w higienicznych pomieszczeniach automatycznych pakowni, w biurach. Czułem jej zaduch w gabinetach dyrektorów. W myślach wirowały cyfry niedawno ogłoszonych zysków: „Frigorifico Anglo" za lata 1946—50 zarobiło 17 milionów pesów, amerykańskie „Frigorifico Armour" — 21 milionów; „Frigorifico Swift" — 108 milionów.

I wówczas przypomniałem sobie jedno ze wspaniałych powiedzeń Cervantesa w Don Kiszocie: „Są tacy, którzy idą po wełnę, a wracają ostrzyżeni"...

Jan Gitlin

*) Wprawdzie obecnie płace te są dużo wyższe w cyfrach, ale ich wartość nabywcza pozostała ta sama. (Peron podwyższa płace po każdej inflacji, a każda z kolei podwyżka płac pociąga za sobą podwyżkę cen).



Awenider Alwear - główna aleja dzielnicy pałaców i willi w Buenos Aires



Robotnicy rolni z Prowincji San Juan

BOGDAN BUTRYŃCZUK

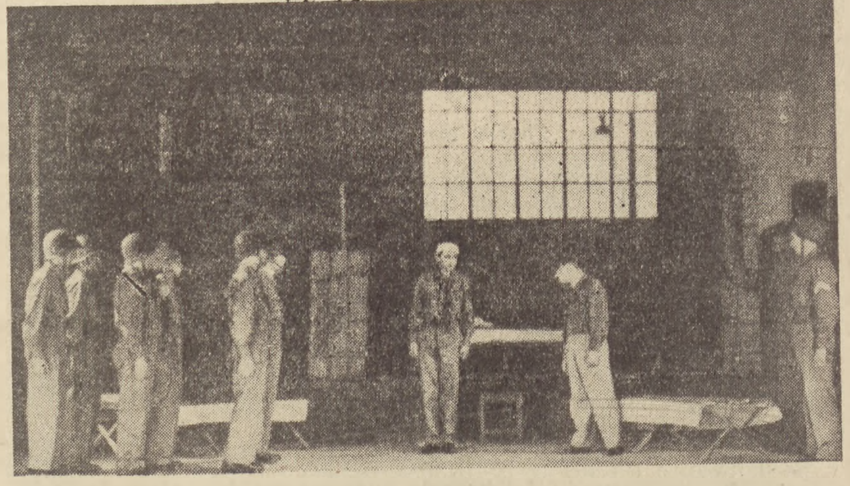
Teatralny wybór z Alberta Maltza

W naszej praktyce teatralnej rozpowszechniła się ostatnio moda na adaptacje. Każe ona przystosowywać dla sceny wszystko, co tylko w koncepcji autorskiej nie było ze sceną kojarzone: powieści, opowiadania, są nawet próby sięgania do sceniariuszy filmowych. W rezultacie otrzymujemy monstrualne „bryki" arcydzieł literatury powieściowej polskiej i obcej, albo niesceniczne obrazki rodzajowe, które nie wzbogacają repertuaru teatralnego, zaś w stosunku do oryginału posiadają dość wątpliwą wartość.

Zagadnienie adaptacji scenicznej jest na tyle aktualne i trudne, że warto mu choćby marginesowo poświęcić kilka słów, zwłaszcza że daje po temu okazję premiera trzech jednoaktówek Alberta Maltza *), z których jedna stanowi sceniczną przeróbkę noweli, w trzeciej zaś opracowanie dramaturgiczne jest również adaptacją. Zagadnienie to jest o tyle ważne, że znamy przykłady znakomitych adaptacji, które odegrały podstawową rolę zarówno w kształtowaniu repertuaru teatralnego w rozmaitych okresach, jak również spełniały doraźną funkcję polityczną. Wprawdzie powoływanie się na Szekspira, jak to czynią niektórzy obrońcy adaptacji, wydaje się grubą przesadą, należy jednak pamiętać o naszej własnej tradycji Bogusławskiego, Dmuszewskiego, Koźmiana i tylu innych, którzy tak wspaniale krzątali się wokół repertuaru dla Teatru Narodowego. Ale właśnie te przykłady wskazują na zupełnie inny sens i charakter adaptacji niż ten, jaki odnajdujemy np. w scenicznej „Lalce", „Eugenii Grandet" czy jednoaktówce Maltza pt. „Najszczęśliwszy człowiek na świecie".

Nie jest sprawą przypadku, że spośród trzech jednoaktówek, zaprezentowanych w Teatrze Domu Wojska Polskiego, najdobitniej przemawia ta, której nie trzeba było adaptować — „Szeregowiec Hicks". W sposób wyraźny, dramatycznie czytelny, uzupełnia naszą wiedzę o Ameryce, ukazując mało znany z artystycznych transpozycji fragment amerykańskiej rzeczywistości, jakim jest środowisko wojskowe. Dzieje szeregowca Hicksa, który odmówił strzelania do strajkujących robotników i nie załamał się pod groźbami najostrzejszych represji, ilustrują w dobrym, artystycznym skrócie walkę narodu amerykańskiego z aparatem ucisku i demaskują mechanizm władzy, która sobie tylko właściwymi środkami zmusza żołnierzy, nie zawsze świadomych roli, jaką spełniają, do mordowania swych braci, walczących o chleb. A wiemy, że jest to ten sam aparat, który służy do ujarzmiania całych narodów walczących o niepodległość, który dziś niszczy miasta i wsie Korei. Ponieważ utwór ten nie tylko demaskuje, lecz także ukazuje walkę, przeto najpełniej wyraża postawę autora, charakteryzując rewolucyjno-postępowy nurt jego twórczości.

W przeciwieństwie do pozostałych jednoaktówek mamy w niej wyraźną konstrukcję dramatyczną o lapidarnej ekspozycji, ostro narastającym konflikcie osnutym wokół jednego, wszechstronnie naświetlonego wątku fabularnego i plastyczne, rozwijające się w działaniu figury. Tym większa szkoda, że Stanisława Perzanowska nie wykorzystała wszystkich możliwości reżyserskich dla wydobycia dramaturgicznych walorów tej jednoaktówki. Cała ukryta tu dynamika gubiła się niekiedy w bezbarwnie prowadzonym dialogu i powierzchownej interpretacji przede wszystkim postaci majora Eccles. Komiczna niezaradność i fajtłapowata bezsilność majora to cechy dominujące w interpretacji Stefana Wronckiego; wpłynęły one na wydatne osłabienie napięcia dramatycznego i umniejszenie ideologicznej wymowy sztuki, która w ten sposób ograniczyła się do słownej deklaracji, spłycając zarazem głębię konfliktu szeregowca Hicksa. Ten zresztą — w ujęciu Jerzego Pietraszkiewicza—zachował jeszcze sporo ze swej demaskatorskiej i mobilizującej zarazem siły.



Scena zbiorowa z jednoaktówki „Szeregowiec Hicks" Maltza w adaptacji scenicznej w Teatrze Domu Wojska Polskiego w Warszawie.

Adaptacja noweli pt. „Najszczęśliwszy człowiek na świecie" jest typowym „obrazkiem scenicznym" o typowo nowelistycznym dialogu, konflikcie i poincie. Po prostu dialog zakończony pointą, który — na scenie, bez nowelistycznego tła — o nędzy bezrobotnych w Stanach Zjednoczonych — mówi, jak sądzę, bez porównania mniej niż można by na ten temat powiedzieć. Józef Kondrat i Janusz Paluszkiewicz starali się ten dialog bezskutecznie ożywić, osiągając raczej efekt radiowy niż teatralny,

Natomiast zupełnym nieporozumieniem jest przeróbka trzeciej jednoaktówki pt. „Próba". W przeróbce tej niesposób doszukać się jakiejś głębokiej, jasnej myśli. Nie bardzo rozumiem, o co tu chodzi, zwłaszcza że nie mogę ustalić stosunku wersji granej do oryginału, którego nie znam. Wiadomo mi jednak, iż wersja sceniczna odbiega od oryginału bardzo daleko. I szwy opracowania są bardzo wyraźne. Oto zastrzeżenia, które budzi pokazany w teatrze obraz sceniczny: skoro aktorka Wiera Savage, córka górnika, pracuje w robotniczym teatrze i jest narzeczoną robotniczego działacza, trudno ją uważać za „wyobcowaną" z klasy robotniczej. Jeśli chce zapomnieć o tragicznym przeżyciu z okresu dzieciństwa, każdy lekarz stwierdzi, że należałoby jej raczej w tym pomóc, jeśli nie może zagrać szczerze roli o dużym ładunku dramatycznego natężenia, po prostu nie trzeba jej w takiej roli obsadzać, albo wręcz zastanowić się nad jej scenicznymi dyspozycjami. Jeśli natomiast reżyser wywołuje w niej wizję owego tragicznego wydarzenia z okresu dzieciństwa po to, aby w analogicznej sytuacji teatralnej wzbudzić właściwe działanie, to postępuje jak niebezpieczny dyletant, który słyszał coś z czwartej ręki o „sztuce przeżywania" i w podziwu godnej naiwności uwierzył na słowo fałszywej relacji. Zbyt dużo tu błędnych i wymyślonych teorii, aby widz mógł wyłowić spośród nich jakąś ideę, aby wyniósł ze sztuki coś dla siebie. Akcent prawdopodobieństwa wśród tych skrzętnie zacieranych śladów ekspresjonizmu daje jedynie informacja, że akcja rozgrywa się w amatorskim teatrze.

Trudno uwierzyć, że w tym wszystkim znajduje się tzw. popisowa rola, grana zupełnie innymi środkami, lecz bardzo interesująco, zarówno przez Jolantę Skowrońską, jak i Władysławę Nawrocką. Jeśli znowu pominiemy „nieingerencję" reżysera, zwłaszcza w ostatniej scenie zbiorowej, gdzie zespół zachowuje się tak niemrawo, jakby nie wiedział co z sobą zrobić, tym chwalebniejsze muszą się wydać wysiłki obu aktorek. Jolanta Skowrońska zaatakowała rolę Wiery z dużym impetem emocjonalnym górującym nawet nad dyscypliną artystyczną. Ale osiągnęła dobry efekt dzięki dużej bezpośredniości i prawdzie wewnętrznego przeżycia. Natomiast w interpretacji Władysławy Nawrockiej widoczna była chęć odczytania roli i przekazania jej treści skupionymi, opanowanymi środkami artystycznego wyrazu. Oczywiście, w obu wypadkach mowa o efekcie formalnym, ponieważ dość trudno byłoby znaleźć dla postaci Wiery konkretne zadanie nadrzędne.

Jeszcze kilka słów o teatrze. Teatr Domu Wojska Polskiego, który powstał w miejsce dawnej, dojeżdżającej z Łodzi „Placówki", przeszedł w ciągu kilku lat swojego istnienia drogę, której kierunek musiał niepokoić, ponieważ była to „droga odwrotu". Brak określonego programu ideowo-artystycznego dał tu o sobie znać w wyraźnej improwizacji repertuarowej. Teatr Domu Wojska nie umiał wymodelować własnego oblicza artystycznego, nie umiał w ciągu kilku lat stworzyć zespołu realizującego w sposób świadomy odpowiedzialne, bojowe zadania, które niewątpliwie stawia przed nim najważniejszy widz tego teatru — żołnierz polski. Nie umiał również wychować własnych młodych kadr aktorskich, które by rosły wraz z teatrem. I nie należy się temu dziwić, ponieważ od początku nie było w nim głównego modelatora i wychowawcy, jakim powinien być twórczy, ściśle związany z zespołem reżyser.

Zmiany, jakie zaszły ostatnio w kierownictwie artystycznym Teatru Domu Wojska, zdają się wskazywać, że jednak spostrzeżono istotę dotychczasowej słabości starając się jej w sposób interesujący, choć eksperymentalny, zaradzić.

Pierwsze przedstawienie opracowane pod nowym kierownictwem — mimo niedociągnięć inscenizacyjnych i chybionej „Próby" — posiada cechy śmiałego i — na tle dotychczasowych przedstawień teatru — nowatorskiego eksperymentu repertuarowego. Wprawdzie jednoaktówki te nie są pozycjami reprezentacyjnymi dla twórczości Alberta Maltza, jednak prezentują, zwłaszcza „Szeregowiec Hicks", odważne, bezkompromisowe i bojowe pióro tego autora.

Bogdan Butryńczyk

*) Teatr Domu Wojska Polskiego: Albert Maltz „Oto Ameryka". Trzy jednoaktówki: 1) „Najszczęśliwszy człowiek na świecie" — przekład i adaptacja sceniczna Adama Tarna; 2) „Szeregowiec Hicks" — przekład Ryszarda Ordyńskiego, 3) „Próba" — przekład i opracowanie sceniczne Adama Tarna. Reżyseria: Stanisława Perzanowska. Dekoracje i kostiumy: Romuald Nowicki.

DANUTA ZABŁOCKA-SKUPIEŃSKA

ARTYKUŁ DYSKUSYJNY

CHULIGAŃSTWO

Kazik I., uczeń zakładów ślusarskich przy jednym z kombinatów bawełnianych, nie ma jeszcze 16-tu lat. Ten wiek właśnie, zdaniem zwierzchników, jest największą przeszkodą w uzdrowieniu stosunków panujących wśród młodzieży tego zakładu.

— Do więzienia nie pójdzie, bo za młody — rozważano na jego temat pewnego dnia, kiedy to czwarty raz w tym miesiącu nie przyszedł do pracy, a pod adresem dyrekcji przesłał przez kolegów soczysty epitet — a na to, żeby mu ojciec skórę złoił i poskutkowało — za stary.

— Te sześć miesięcy jeszcze, psia krew — zaklął ktoś, — A co on, przez ten czas zrobi? Tydzień temu omal nie poszło z dymem pół kombinatu, bo zamiast pracować poszli sobie na dach palić papierosy i zaprószyli ogień. Milicja spisała protokół i nic.

— A jakby go tak oddać do domu poprawczego?

— Siedział i tam! Teraz już trzecią sprawę sądową będzie miał, w końcu i sąd machnie ręką. Jak mu mówię: „Chodź do personalnego!", to wsadza ręce do kieszeni i mówi: „A to chodźmy, co mnie tam pan będziesz personalnym straszył". Nikogo się nie boi, zwrócić uwagę, to polską łaciną tak trzepie, że uszy puchną.

Cała gromada ich, chuliganów, tam pracuje, a on najgorszy, bo inni już się trochę podciągają. To ci, co zapuścili sobie długie włosy, a co wieczór scyzoryki w garść i na zabawę — zwrócił się do mnie.

Kiedy następnego dnia wchodziłam na teren fabryki, stojący przy bramie majster zawołał:

— No co, porozmawiacie z tym chłopakiem? I tak nic nie robi, i tak, a szkoda chłopaka.

Z „chuliganem", którego koledzy z warsztatu odprowadzili gestami zachęcającymi w rodzaju: „a wykończ ją tam" i „tylko nie daj się, frajerze" rozmowa nawiązała się nadspodziewanie szybko. Po jakimś czasie zapytałam go wprost:

— Powiedzcie mi, dlaczego tak źle pracujecie?

Wzruszył niechętnie ramionami:

— W warsztacie zaczęli mi dawać wciąż tę samą robotę. Ja chcę się uczyć ciągle czegoś nowego, a nie nogi stołowe obrabiać... To nieciekawe.

— Ale czy możecie powiedzieć, że w pracy dajecie z siebie wszystko?

— Nie — odpowiedział szczerze.

— A dlaczego?

— No... koledzy wyciągają. Pani wie — kolega z kolegą wszystko zrobi — powtórzył jakiś wyświechtany frazes — Mówią: chodź do ustępu, co będziesz robił jak osioł!

— A czy umielibyście przekonać kolegów, że ich postępowanie jest złe?

— Nie — odparł po chwili namysłu.

Przerwa, która w tym miejscu nastąpiła w rozmowie, wyszła ode mnie. Zapytałam go jeszcze, jaką prasę czyta i jakie książki.

— Dzienników nie czytam, ale książki tak. Najlepiej lubię kowbojskie, o przygodach — oczy rozbłysły mu — To jest życie! Tam jest koleżeństwo!

— A gdyby tu — spytałam go jeszcze — na waszych oczach bili jakiegoś Murzyna za to tylko, że ma czarną skórę, ot, takiego w waszym wieku, którego byście nawet nie znali — poszlibyście mu na pomoc, czy nie?

— No jeszcze jak! — zawołał z przekonaniem.

Dlaczego Kazik I. czyta książki kowbojskie? Dlaczego, będąc pełnym podziwu dla „Brudnego Palucha", który z narażeniem życia uwalnia z więzienia Jamesa Grenfella Kenta i marząc skrycie o takich bohaterskich czynach, manifestuje swoją solidarność z tego rodzaju postawą noszeniem noża, długich włosów i apaszki i nie wie, że on sam, w codziennej, często żmudnej i nieciekawej pracy uczestniczy w największym, jaki zna historia, akcie bohaterstwa i solidarności międzyludzkiej, że wychodzi naprzeciw swojemu rówieśnikowi, wtrąconemu do więzienia w Egipcie przez króla-zdrajcę, że wstrzymuje rękę z bombą atomową, i broni milionów dzieci, kobiet i mężczyzn koreańskich, że na niego właśnie, młodego budowniczego socjalizmu, zwracają się z nadzieją oczy milionów ludzi uciskanych i gnębionych. Dlaczego Kazik I. i jego koledzy nie mają świadomości nowego, pełniejszego bohaterstwa naszych czasów, dlaczego w nim nie uczestniczą?

Propaganda politycznego, porywającego przecież znaczenia Planu 6-letniego nie spełnia swoich zadań. Mało w naszej literaturze przekonywających, sugestywnych obrazów postępowania w duchu moralności socjalistycznej. Nie porusza ona wielu problemów osobistego, codziennego życia młodzieży, rozwiązanie tych spraw pozostawiając jej samej i działaniu ślepych, nierzadko wrogich nam sił.

Nie zapominajmy: w ramach sześciolatki wejdzie przez bramy państwowych fabryk, hut i kopalń i stanie przy naszych warsztatach milion dwieście tysięcy byłych właścicieli drobnych warsztatów, prywatnych sklepików, składów itp. Milion dwieście tysięcy ludzi mniej czy bardziej związanych z obalaną bazą produkcyjną. Wystarczy wniesienie atmosfery lekceważenia pracy, ośmieszania zarządzeń, kpin z wysiłków przodowników, podwójnej moralności, wystarczy czepianie się i wyolbrzymianie każdej rysy i pęknięcia na naszych budowlach. Tą drogą wnoszone bakcyle chuligaństwa, od czasu do czasu wzmacniane przez truciznę pochodzenia BBC czy Głos Ameryki, mają, jak wskazuje sam rodowód, działanie bardziej niszczące niż w wypadku Kazika I. Na terenie jednej z widzewskich przędzalni młodzi nie włączali się do brygad i nie wykonywali planu, nie dbali o maszyny, pili w czasie pracy. Okazało się, że było wśród nich dwu prowodyrów, którym udało się stworzyć taką atmosferę, w jakiej co słabsi moralnie, bierniejsi koledzy nawet zaangażowani politycznie „po stronie socjalizmu" czuli się niejako obowiązani usprawiedliwiać tych, co normy nie wykonywali. Inni powtarzali bezmyślnie ich maksymę: „robić to robić, ale nie za dużo". Prowodyrzy byli to synowie okolicznych kułaków. Oto przykład oddziaływania nowego elementu. A młody, który pod opieką nowych kolegów zwątpi w sens uczciwej pracy i podejmowania dodatkowych wysiłków w produkcji, odwróci się od spraw z nią związanych, nie będzie już z błyskiem w oczach mówić o odbudowie, o fabryce, o walce ludzi uciskanych przez imperializm — pozostaną mu zainteresowania wódką, awanturą, pozostanie droga do chuligaństwa.

Napór sił obcych dążących do ubezideowienia naszej młodzieży nie wyjaśnia jeszcze zjawiska chuligaństwa. Czynną rolę w kształtowaniu tej postawy odgrywa demoralizacja i rozwydrzenie seksualne, zaszczepiane przez okupanta, któremu niedostatecznie jeszcze się przeciwstawiamy.

Niszcząc egzemplarze „Fali", osądzając jej redaktorów, oczyszczając tysiące bibliotek publicznych z książek bezideowych, z pornografii, walcząc o poziom naszych wydawnictw, czy dostatecznie zwracamy uwagę na fakt, że są wśród nas ludzie, którzy — świadomie czy nie — przejmują na siebie rolę roznosicieli tej zarazy?

To nieprawda, że można myśleć ciągle i mówić o człowieku jak o zwierzęciu, a w praktyce traktować go inaczej. Wyznawcy tych poglądów będą drwić z wszelkich poświęceń — bo przecież człowiek to bydlę. Młody człowiek, popisujący się w tramwaju obficie ilustrowanym gestami, pornograficznym „kawałem", którego chamstwa nie da się określić słowami, i starszy pan zaczepiający konduktorkę, i gruba paniusia, ujmująca się żarliwie za pijanym wyrostkiem zaczepiającym ordynarnie dziewczynę, którego jakiś mężczyzna chce zaprowadzić na milicję.

Zmieniając nazwy tysięcy ulic, uliczek i placów „Legionów", „Piłsudskich", na „Zwycięstwa", „Marchlewskiego", Manifestu „Lipcowego", czy pamiętamy zawsze, że za murami opatrzonymi nową tabliczką pozostają ludzie tkwiący w od dziesiątek lat ustalonych i zakorzenionych mocno poglądach, zasadach postępowania, pojęciach moralnych? Że wnieść nowe życie na nasze ulice, to znaczy wedrzeć się w głąb tych domów na Bałutach, Ochocie, Czerwonym Prądniku, na setkach różnych Romanówków, Łąk, Pyr, które w niedzielne popołudnia wypełniają się odorem alkoholu, kiśniejącymi problemami jednego podwórka i poszczególnych par, wyprowadzić na zewnątrz młodzież, pozwolić jej stanąć poza całym systemem powikłanych obciążeń świadomości i z niej właśnie uczynić zasadnicze narzędzie walki z moralnością starego świata?

Zaskorupiały konserwatyzm świadomości, demoralizacja pookupacyjna w swoich najróżnorodniejszych przejawach, wroga działalność zmierzająca do ubezideowienia młodych — to zasadnicze czynniki sprowadzające życie psychiczne i zainteresowania niejednego z nich do takiego poziomu, na którym sam zaczyna tworzyć swoją sylwetkę chuligana.

Nowy etap rozwoju naszego państwa, przemieszczenia społeczne, związane z realizacją sześciolatki, wnoszą ze sobą naglącą problematykę. Dyskusja o młodzieży, która stopniowo ucichła w 47-ym roku, musi odżyć w nowej formie. Jej potrzebę sygnalizują fakty — wystarczy czytać dzienniki — wręcz krzyczące. Nie wolno nam jednak i nie chcemy pruderyjnie zamywać oczu na żaden z nich. Fałszywy, okaleczony obraz, to błędne rozpoznanie i nieskuteczna diagnoza.

Jak spędza niedzielę Kazik I.? Jak spędzają niedzielę setki tysięcy jego kolegów? Dlaczego ostatniej niedzieli maja z knajpy Rosenberga przy przystanku WKD — Okrężna w Grodzisku wyszło, a właściwie wypadło dwu zupełnie pijanych chłopaków, nie przekraczających chyba wieku 17-tu lat? Dlaczego o zmierzchu na terenie tego miasta słychać wrzaski, awantury, bijatyki podchmielonej nierzadko młodzieży? Na opuszczonym z racji jakichś przygotowań a zapewne i z racji chaosu w tegorocznym systemie rozgrywek stadionie sportowym ćwiczy dwu (!) kolarzy i kilku chłopców kopie piłkę do jednej bramki. Mecze, które były atrakcyjną rozrywką, skupiały po kilka tysięcy osób i utrzymywały je w napięciu na czas przekraczający godziny spotkania dwu drużyn — nie odbywają się. Nie ma tu również PTTK, które wyciągnęłoby młodzież na włóczęgę do odległych ciekawych historycznie miejscowości. Setki tysięcy młodzieży w niedzielne popołudnia wylega na rozgrzane, zakurzone bruki miasta, wplątuje się w wątpliwej wartości przygody i awantury i z braku większych atrakcji pije.

Nie powinno być u nas ani jednego młodego, który by nie należał do jakiegoś koła sportowego. Powinniśmy wprowadzać obowiązek zdobywania oznaki SPO. W sprawie utrwalenia wśród naszej młodzieży zdrowych stosunków PTTK również ma szerokie pole do działania.

Młodzież nie może być opuszczona. Musimy sobie wszyscy uświadomić, że w obecnej sytuacji punkt ciężkości oddziaływania wychowawczego musi przenieść się na teren szkoły (tej przede wszystkim!), organizacji młodzieżowych, boiska, ulicy sklepu i setek przypadkowych doraźnych interwencji.

Ile spośród szkół postawiło sobie za naczelne zadanie wychowanie młodzieży w duchu moralności socjalistycznej, wyrobienia świadomej dyscypliny w uczniach? Ile szkół stworzyło regulamin wewnętrzny i przestrzega go? Ich procent nadal jest bardzo niski. Większość szkół nie trzyma ręki na pulsie dokonujących się wokół nich wydarzeń. Miliony młodzieży uczęszcza co dzień na lekcje języka polskiego. Styl, jakim się posługują, jest czasem przerażający. Ostatniej niedzieli maja, na placu przylegającym do Grodziskiego Technikum Mechanicznego, uczyło się trzech uczniów ostatniej klasy tej szkoły. Bez złości, bez zdenerwowania, na codzień, do określania zwykłych rzeczy używali wyrażeń tak ordynarnych, że niejeden dorożkarz czułby się zawstydzony.

Zadanie zwalczenia chuligaństwa możemy spełnić tylko poprzez samą młodzież. To ją trzeba uczynić odpowiedzialną za tę akcję. Ona najgłębiej wniknie do tych „towarzystw" i band, rozsadzi je od wewnątrz, w walce tej znajdzie najlepsze ujście dla własnej energii i wykształci swoje charaktery. Oczywiście, szkoła przodująca w tej akcji nie może być osamotniona. ZMP powinno tę sprawę wysunąć na czoło działalności kół. Nie mniej ważne jest zaangażowanie do akcji całego świadomego odłamu naszego społeczeństwa.

Czy fakt, że na ulicy Warszawy zatrzymano dwunastoletniego, pijanego chłopca obciąża tylko jego rodziców, którzy pracują poza domem? Czy odpowiedzialność za niego nie spada w równej mierze na kelnera czy ekspedienta, który mu ją podał, na kogoś, kto obojętnie przeszedł obok pijącego, a w dalszej instancji i na tych nawet, którzy w obecności chłopca życzliwie albo z uznaniem oceniali wyczyny pijackie, czy nawet mówili o wódce z namiętnym uśmieszkiem?

Jest takie proste, podstawowe prawo, które obserwujemy śledząc zwłaszcza następstwa oddziaływania ujemnego: że żadna wypowiedziana opinia, żaden nasz gest, odruch, słowo nie pozostaje faktem odosobnionym, że w każdej chwili, często nie wiedząc o tym nawet, swoją postawą odpowiadamy jakiemuś młodemu na nurtujące go pytanie, problem, wątpliwość, że kształtujemy jego osobę. Tego prawa nie potrafiliśmy sobie dostatecznie podporządkować. Chuligani, których zatrzymano za bicie, niszczenie dobra społecznego, znieważanie, umieją czytać i pisać. Ktoś z nas uczył ich w szkole. Więcej — ktoś z nas był dla nich autorytetem. Kogoś słuchali z zainteresowaniem. Ktoś z nas milczał obojętnie, przyzwalająco, gdy po raz pierwszy, niepewnie jeszcze, organizowali jakiś wybryk i kiedy umieli się jeszcze wstydzić. Może to był ten kupiec, który mrugnął porozumiewawczo, z uśmiechem, do kupującego wódkę po raz pierwszy dla siebie? Na pewno był nim młody człowiek, o którym pisano w „Życiu Warszawy", że nie pozwolił ukarać dwu uczniów jadących na stopniach i lżących konduktorkę ordynarnymi wyrazami.

Poznany przypadkowo student mówi z wyniosłym uśmiechem: „Ja nie bawię się w żadną ideowość! Byłem kiedyś taki... Najważniejsze, to się w życiu wygodnie urządzić". Całe towarzystwo uśmiecha się na to wyzwanie obojętnie albo z lekkim zażenowaniem. Nikt nie oponuje wprost. Nikt mu nie mówi, że **wszelka** bezideowość, czy ta deklarowana ordynarnymi słowami przez wyrostka po szkole zawodowej, czy w innej formie, nieodwracalnie prowadzi do wewnętrznego chamstwa i chuligaństwa, i nie można mieć co do tego żadnych złudzeń. Zgłoszenie własnego desinteressement w sprawach ideowego życia człowieka prowadzi nieuchronnie do intersowania się nim i przeżywania jego spraw w kategoriach prymitywnie ekonomicznych i biologicznych. I tak na przykład ów student przyjmuje uśmiechem wiadomość, że chuligani zanieczyszczają poczekalnie w kinach. Niech ta nieunikniona ewolucja w wyniku przyjęcia podobnych założeń będzie przestrogą dla tych wszystkich, którzy chcą zostać ludźmi.

Pojęcie chuligaństwa wykracza szeroko poza ramy jednej warstwy, zaraża w różny sposób przedstawicieli całego społeczeństwa, i musimy być przygotowani na zetknięcie z nim i walkę w najmniej oczekiwanych miejscach. Chuligaństwo inteligenckie, bardziej zamaskowane niż to, które wychodzi na ulice, tłucze szyby i bije ludzi, jest nie mniej agresywne i szkodliwe. Oto inżynier, który z obłudnym patosem pyta: „czy w ogóle można być ideowym?"; student, który namawia do podjęcia zobowiązań i popiera swoją propozycję słowami: „ani nam się śni to wszystko wykonywać, ale trzeba, żeby zebranie produkcyjne efektownie wypadło".

To nie do wiary wprost, że mogą istnieć takie wielkie rozpiętości między postawami i stopniem uświadomienia członków naszego społeczeństwa. To nie do wiary wprost, ilu jeszcze ludzi, szczerze oddanych socjalizmowi, jest nieświadomie nosicielami chuligaństwa. Nie wygramy walki z tą plagą społeczną, jeżeli nie będziemy bezkompromisowo walczyć z wszelkimi przeżytkami, jeżeli nie będziemy tępić postaw — jak to kapitalnie określił Nałkowski — „ludzi — byków, ludzi — drewien i ludzi — świń", którzy mają to jeszcze do siebie, że wychowują byko — drewna, świnio — byki i świnio — drewna.

Przez ścianę, przez drzwi, przez sufit pracuje albo mieszka obok ciebie młody, który nie zawsze **wie**, jak ma słusznie postępować. Zachowywać obojętność, milczeć wobec najdrobniejszych nawet, nieuświadomionych często, nawykowych przejawów bezideowości, wzgardy dla człowieka, chamstwa — to znaczy działać na szkodę. Sensem nowej, socjalistycznej moralności, jej sprawdzianem jest znoszenie wyznaczonych, sztywnych granic kompetencji w obliczu każdego wielkiego zadania do spełnienia. W obliczu wzmagającej się walki z chuligaństwem każdy z nas: nauczyciel i majster fabryczny, publicysta i pisarz, milicjant i przygodny obserwator, dziennikarz i kelner włoży w nią maksimum wysiłku i na pewno nie będzie on zbędny. Od każdego z nas zależy, czy Kazik I., który postanowił zerwać z dotychczasowym towarzystwem, przenieść się na inny oddział i uczciwie wziąć się do roboty, nie zniechęci się, zrozumie szeroki, fascynujący sens codziennej, żmudnej pracy, a jeżeli zetknie się z chuliganami, będzie umiał im udowodnić, że ich postawa jest zła.

Danuta Zabłocka-Skupieńska

STEFAN KOZICKI

ZĄBKI

Z jednego krańca — szpital dla wariatów. Z drugiego — niedokończona budowa fabryki. Pośrodku Ząbki.

*

Dziwnie wyglądają te domy krojone na wyrost: na typowym podwarszawskim ugorze, gdzie nawet trawa nie jest bujna, ale zdeptana, sucha, karłowata — samotnie sterczą dwupiętrowe czynszówki według najlepszych wzorów z ulicy Twardej.

Panuje tu architektura więzienna. Z trzech stron gołe ściany, okna tylko z jednej. „Wielkomiejskość" z okresu niekontrolowanego niczym (chyba tylko myślą o jak najszybszej amortyzacji kosztów) rozrostu kapitalistycznej Warszawy w harmonijny sposób łączy się z pozostałościami architektury folwarcznej. Tuż przy wysokich, samotnych kamienicach, które nie doczekały się doklejenia do nich następnych, płasko rozłożyły się przy ziemi czworaki. I wreszcie drobnomieszczańskie zabezpieczenia starości: domki dwu lub jednorodzinne w ogródkach bez kwiatów, liczących się w kategoriach **H i p o t e k i** za place.

„Mydłem Majdego umyjesz każdego!" — pod tym hasłem wyblakłej, dominującej nad wszystkim przedwojennej reklamy otwiera się od dworca szara i zakurzona ulica. Jedynym barwnym elementem — szyldy. Odczytywanie szyldów przypomina odczytywanie tekstów nagrobkowych starego cmentarza: „Wyszynk win i wódek" — „Mydlarnia" — „Towary mieszane". Od stacji do kościoła, na przestrzeni dwustu metrów, co drugi dom ozdobiony jest podobnym szyldem. Paradę sklepów wzdłuż ulicy zamyka kościół stojący na skrzyżowaniu ulic Biskupa Bandurskiego i Marszałka Piłsudskiego, o czym każdemu przechodniowi obwieszczają pięknie emaliowane tablice.

Na ulicy nikt się nie śpieszy. Dostojnie, przewalając z boku na bok grube cielsko, sunie samym środkiem czarna świnia. Bo i po co się spieszyć?

Okres „prosperity" Ząbek należy do przeszłości. Dziś właściciele domów w Ząbkach nie robią już złotych interesów na lokatorach. Ale też w Ząbkach nie buduje się nowych domów.

Tuż za czworakami — jeziorko. Tak nazywa się w nomenklaturze mieszkańców Ząbek płytkie bajoro, glinianka raczej. Nad brzegiem nieruchome posągi rybaków. Nie mają nawet charakterystycznych blaszanek na ryby. I tak nikt nigdy nic tu nie złowił. W płytkiej wodzie chlapią się gromadki małych dzieci, poszukiwaczy skarbów. Skarby to zatopione w wodzie stare garnki, resztki połamanego żelaznego łóżka, szczątki talerzy. Dzieci nie są bez opieki. Trzyletnie pozostają pod opieką czteroletnich.

Nastrój beznadziejności i szarzyzny nie wiadomo czy istniejącego a w każdym razie stojącego jak woda w gliniance czasu zmienia się tylko dwa razy dziennie, rano i wieczór. Wtedy od strony stacji i w stronę stacji idą szybkim, zdecydowanym krokiem liczne postacie: robotnicy, młodzież szkolna, urzędnicy z teczkami, wymalowane dziewczęta — sekretarki i maszynistki.

*

Młoda dziewczyna idąca śpiesznie od stacji zatrzymuje się i patrzy ze zdziwieniem na nieznajomego, **nie tutejszego** młodego człowieka, który zastąpił jej drogę.

— Przepraszam was bardzo... Chciałem się dowiedzieć (tu ręką wskazuje na znaczek ZMP na bluzce), gdzie tu się mieści Koło ZMP?

— Nie wiem. Chyba nie ma takiego.

— Ale wy **k o l e ż a n k o** należycie przecież do ZMP. Ten znaczek...

— Tak, należę. Tylko, widzicie, w miejscu pracy (głos nabiera odcienia dumy), w moim Ministerstwie, w Warszawie.

Idziemy dalej razem.

— Brzydkie te Ząbki. Jabym nie wytrzymał.

— A myślicie, że ja wytrzymuję? Zresztą, cóż mi Ząbki! Ja właściwie żyję w Warszawie. Cały dzień. I praca, i kino...

— I narzeczony?

— Ażebyście wiedzieli. Niedługo wychodzę za mąż. Mamy dostać mieszkanie na Muranowie. **S a m** dyrektor Departamentu mi obiecał.

— Rodzice wasi mieszkają w Ząbkach?

— Tak.

— I przeprowadzają się razem z wami?

— E, rodzice... zostają...

*

Przed jednym z domów — awantura, przedstawienie — zbiegają się sąsiadki, stają wkoło z rękami splecionymi na brzuchach.

— Ty draniu! Ty draniu! — wznosi się regularnym skandowanym krzykiem piskliwy głos kobiecy. Polityki ci się zachciało! Co? Zebrania i zebrania! W Warszawie polityka, a ja w Ząbkach z dzieciakami się męczę. Nogi mi od ogonków puchną! Masz tę swoją politykę!

*

Ząbki liczą niespełna 6 tys. mieszkańców. Z tej liczby większość stanowią robotnicy i urzędnicy pracujący w Warszawie. Reszta: właściciele domów i sklepów.

Jak powstawały Ząbki? Kto nie miał pieniędzy na wysokie odstępne osiedlał się właśnie tam. Domy rosły jak na drożdżach. Właściciele byli zadowoleni. Sute poczucie społecznego zrównania z kamienicznikiem warszawskim opłacali im robotniczy lokatorzy. Ci traktowali mieszkanie w Ząbkach jako coś tymczasowego. Wielka Warszawa nęciła. Póki byli młodzi, marzyli o przeniesieniu się do niej. Po kilku kolejnych redukcjach, po kilku okresach bezrobocia — rezygnowali. Zostawali w Ząbkach na zawsze. I podświadomie nawet zaczynali nienawidzić tego miejsca „przymusowego osiedlenia". Wśród mieszkańców większości miast jest swoisty dzielnicowy patriotyzm. Ci z Ochoty uważają się za lepszych od tych z Czerniakowa. Wśród mieszkańców Ząbek nie ma lokalnego patriotyzmu i być go nie może.

Ząbki spełniają w stosunku do Warszawy rolę kwarantanny. Ząbki — kwarantanna stworzona przez społeczny porządek kapitalizmu. W czasach dzisiejszych, w czasach MDM-u, osiedla robotniczego na Muranowie, Młynowie, Mokotowie — Ząbki można by oddać do muzeum, gdyby nie to, że Ząbki istnieją nadal i nadal mieszkają w nich ludzie na skrzyżowaniu ulic Biskupa Bandurskiego i Marszałka Piłsudskiego. Tak jak dawniej.

Jeśli weźmiemy pod uwagę t.zw. skład społeczny, należy Ząbki nazwać osiedlem robotniczym. Nie, Ząbki nie są jakimś rezerwatem chuliganów. Mieszkańcy Ząbek w większości uczciwie pracują, przejmują się swoją pracą, przejmują się wielkim budownictwem socjalistycznym. Sami w nim uczestniczą.

Ale nie w Ząbkach. W Warszawie.

Młody przodownik pracy, murarz. Bierze udział we współzawodnictwie przedzlotowym. Jest aktywny. Uczestniczy w zebraniach. Uczy się. Chodzi do teatru. Wypożycza książki z biblioteki.

Ale nie w Ząbkach. W Warszawie.

I miejsce pracy, i jego organizacja ZMP-owska, i teatr, i biblioteka. To wszystko jest w Warszawie.

W Ząbkach nie ma nic.

Zakurzona ulica, bajorko, wałęsające się wszędzie brudne, zaniedbane psy, dzieciaki i kozy. Zetempowiec wraca po pracy do Ząbek. Zamyka się w swoim pokoju. Uczy się, czyta od rana, czeka, kiedy znów pójdzie do pracy do Warszawy, tam, gdzie każda ulica, każdy dom, cały nastrój pulsującej bez przerwy pracy pozwala niemal dotknąć nowego, wielkiego, wspaniałego socjalizmu.

Co nowego jest w Ząbkach?

Instytucje kulturalne, społeczne — w Warszawie. Instytucje administracyjne, Rada Narodowa — w Zielonce.

W Ząbkach można tylko mieszkać — nic więcej.

Ząbki są zapomniane. Bo przecież w bliskiej już perspektywie rozwoju Ząbki zanikną zupełnie. W każdym razie takie Ząbki jakie są dzisiaj, t.zn. Ząbki wczorajsze.

Dobrzy ludzie zamykają oczy. Nie chcą widzieć Ząbek, nawet jeśli w nich mieszkają.

*

Przez dwie godziny bez przerwy spacerowało ulicą Ząbek tam i na powrót, tam i na powrót, dwu młodych ludzi. Wysoko podnosili nogi obute w toporne zamszaki. Spod eleganckich, na kant zaprasowanych spodni wyglądały bajecznie kolorowe skarpetki. Dzieciaki bawiące się w kurzu drogi podnosiły za każdym przejściem głowy i długo odprowadzały spacerowiczów spojrzeniem. Psy okrążały ich szerokim łukiem, bojąc się niespodziewanego kopnięcia.

Ci nie zamykają oczu na Ząbki.

Kiedy nad wieczorem pociągi z Warszawy zaczynają wyrzucać tłum pasażerów powracających z pracy, zdążają w kierunku stacji. Pokazują się jak na rewii mód. Patrzcie: my tu jesteśmy! Jesteśmy dzień cały. Lenistwo wystawione na pokaz, chuligaństwo nie zwalczane może łatwo znaleźć naśladowców.

*

Po co ten opis małego podwarszawskiego osiedla?

Przed kilku miesiącami odbył się w Warszawie proces grupy chuliganów z Ząbek, którzy — „ot, tak tylko, z nudów" — strącili z peronu pod pociąg człowieka. Człowiek ten stracił nogi.

Proces chuliganów z Ząbek odbył się już dawno temu. Proces był pokazowy. Miał zaalarmować. Napiętnować. Poruszyć.

Czy od czasu procesu w Ząbkach coś się zmieniło?

Nie. Nadal przesiadują na stacji wiadomego pokroju młodzieńcy. Dalej zaczepiają pasażerów. Dalej czują się tu panami.

Tu nie pomoże nawet mechaniczne zorganizowanie świetlicy czy biblioteki. Wydaje się, że po prostu chodzi o to, aby atmosfera Warszawy udzieliła się Ząbkom. Chodzi o to, aby robotnicy mieszkający w Ząbkach nie mieli życia podzielonego na dwa przeciwstawne elementy: czas przebywania w pracy w Warszawie i czas przebywania w domu w Ząbkach. Chodzi o to, aby w małych, szarych Ząbkach działy się tak jak i w Warszawie wielkie rzeczy, o mocnych barwach. Nie tylko w sensie budownictwa, ale przede wszystkim w sensie walki w kategoriach ideologicznych. Dobrzy ludzie nie powinni zamykać oczu. Ząbki, ten relikt kapitalizmu — to ważny problem społeczny.

Nie ma zagadnienia chuligaństwa samego w sobie. Jest tylko zagadnienie walki z chuligaństwem i walki z jego przyczynami.

Stefan Kozicki

EGON NAGANOWSKI

WAŻNY JEST CZŁOWIEK

„Gorące dni"*) Edmunda Niziurskiego, wydane przeszło pół roku temu, służyły już często jako ilustracja przy omawianiu schematyzmu w naszej współczesnej prozie. Te pośrednie oceny książki, wplecione w tok szerszych rozważań były jednak z natury rzeczy zbyt fragmentaryczne i dlatego uważam, że trzeba sporządzić nieco bardziej kompletny bilans jej aktywów i pasywów, czego młody autor ma niewątpliwie prawo od nas oczekiwać.

Na dobro Niziurskiego należy przede wszystkim zapisać wybór niezwykle ważnego tematu spółdzielczości produkcyjnej, czym — niezależnie od osiągniętego wyniku — autor włączył się w walkę o nowe oblicze polskiej wsi. Zająwszy się trudnościami rozwojowymi już istniejącej spółdzielni Niziurski rozszerzył przy tym niewątpliwie zakres i perspektywy tej tematyki. Również i dobór ukazanych spraw, różnorodnych przyczyn, narażających młodą spółdzielnię w Ochocie na wielkie niebezpieczeństwo, wydaje się słuszny. O wielu z nich — dodajmy — była właśnie mowa na VII Plenum KC PZPR.

Fałszywy „dyktatorski" stosunek przewodniczącego Pałysa do członków spółdzielni, jego lewactwo odstręczające indywidualnych gospodarzy, idące w parze z brakiem dostatecznej czujności wobec knowań wroga klasowego; postępowanie sekretarza Sliwy, który widzi błędy Pałysa, lecz nie umie im się naprawdę skutecznie przeciwstawić, bo działa w pojedynkę, w oderwaniu od prawie nieistniejącej w praktyce Podstawowej Organizacji Partyjnej; brak należytej opieki ze strony Komitetu Powiatowego i wadliwie funkcjonujący POM; chwiejnośc i słabe poczucie odpowiedzialności za wspólne dobro, wspólną własność, cechujące niektórych spółdzielców; wreszcie kułactwo, zręcznie wykorzystujące błędy kierownictwa spółdzielni w celu podkopania jej bytu, posługujące się uzależnionymi od siebie biedniejszymi średniakami dla siania niepokoju i dokonywania sabotaży — wszystko to jest zgodne z tym, co wiemy o przeszkodach piętrzących się na drodze rozwojowej naszej wsi. Tym bardziej, że z drugiej strony Pałys i Śliwa są ofiarnymi, poświęcającymi się bez reszty wspólnej sprawie towarzyszami, że spółdzielcy zdobywają się w krytycznej chwili na bohaterski wysiłek i przy materialnej oraz moralnej pomocy brygady robotniczej odnoszą duży sukces. Wróg nie został jeszcze ostatecznie pognębiony, to, co osiągnięto, stanowi jedynie etap w toczącej się nadal walce.

O ile ogólne ramy tematyczne „Gorących dni" są trafnie wytyczone i dają duże możliwości ukazania typowych i dramatycznych konfliktów, o tyle wypełnienie tych ram żywą, ideologiczną a zarazem ludzką treścią Niziurskiemu zdecydowanie się nie udało. Dlaczego? Autor zapatrzony w dzisiejszą polską wieś „w ogóle", w bogactwo jej problemów, nie zanurzył się dostatecznie wraz ze swą teoretyczną wiedzą w prawdziwym życiu konkretnej wsi, by z kolei „odejść od rzeczywistości do uogólnienia artystycznego, do stworzenia typu" (Lukacs). Z tego wywodzą się wszystkie błędy „Gorących dni" z „wszystkoizmem" na czele.

Najbardziej rażąco przejawił się on w ekspozycji, rozwleczonej na stu przeszło stronach, zajmującej około 40 proc. książki. Jesteśmy tu świadkami próby wyczerpania całokształtu spraw wiejskich przy pomocy rejestracji możliwie wielu ludzi i zagadnień — od dziewczyny-traktorzystki czy awansu społecznego chłopaków, którzy po ukończeniu szkoły przemysłowej pracują w mieście, do księdza-patrioty, eks-więźnia obozów koncentracyjnych i lekarza - społecznika w jednej osobie, zadającego nowożeńcowi pytanie: „A apel sztokholmski, bracie, podpisałeś?". Oczywiście olbrzymia większość tych marginesowych spraw wraz z kilkudziesięcioma (!) „postaciami" bez żadnego oblicza, mającymi je ilustrować — jest w powieści najzupełniej niepotrzebna. Pojawiają się i znikają niczym nie wzbogacając ideologicznej wymowy książki i naszej wiedzy o człowieku.

Logiczną konsekwencją „wszystkoizmu" i oderwania się od konkretu jest w „Gorących dniach" przewaga deklaratywności, relacji nad obrazami zjawisk, nad sytuacją i akcją, która pozornie rozpoczęta w pierwszym, wcale obiecującym rozdziale (scena między młynarzem Sobczykiem a kułakiem Momotem), potem na długo się urywa, w całej zaś książce nie może się jakoś w pełni rozwinąć. Wbrew temu, co pisali Marks i Engels w „Niemieckiej ideologii", że „naszym punktem wyjścia jest nie to, co ludzie mówią..., naszym puktem wyjścia są ludzie naprawdę czynni", Niziurski przegadał i przez to zmarnował wiele dramatycznych momentów powieści, topiąc je albo w relacji, albo — w najlepszym wypadku — w rozmowach i co chwilę zwoływanych zebraniach, na których załatwia się znanym cudotwórczym schematem (wprzód wszyscy „przeciw", potem, po należytej agitacji, wszyscy „za") najistotniejsze sprawy, proszące się o prawdziwą akcję. Zebrania służą też nieufającemu czytelnikom autorowi do stawiania polityczno - publicystycznych kropek nad „i". Najjaskrawszego przykładu takiej zebraniowej łopatologii dostarcza obszerny rozdział ostatni, gdzie po przeglądzie i ocenie ubiegłych spraw i wydarzeń, po kolejnych samokrytykach głównych bohaterów, dokonuje się podsumowania i wyciąga wnioski na przyszłość. Jedynie zaimprowizowane w krytycznym momencie (przerwanie żniw z powodu zepsutego traktoru — sabotaż) zebranie Podstawowej Organizacji Partyjnej, w połączeniu z ogólnym zebraniem żniwiarzy na ściernisku, posuwa akcję naprzód, odgrywa dynamiczną rolę w powieści.

Następny błąd „Gorących dni" to nieporadne konstruowanie konfliktów i systematyczne rozładowywania napięcia na długo przed rozstrzygającym „spięciem". Przykładu dostarcza tu sprawa sabotażysty Wosia, co do którego czytelnik od str. 64 nie ma złudzeń podczas gdy spółdzielcy ani rusz nie mogą wpaść na jego trop i dopiero całe 165 stron dalej przyłapują go na gorącym uczynku. Podejrzewają natomiast o sabotaż Józka Klimka, o którym czytelnik wie z kolei na pewno, że jest „czysty jak łza". Naiwna historia tego fałszywego posądzenia świadczy o braku doświadczenia życiowego u autora, o niedostatecznej znajomości ludzi. I dlatego właśnie w rysunku postaci, kształtowaniu ich losów Niziurski popadł w schematyzm. A co to znaczy uświadomimy sobie najlepiej, jeżeli powtórzymy za Gorkim: „że fabularny konflikt idei musi być rozwiązany w konflikcie ludzkim, o ile chcemy, żeby wzruszał i przemawiał".

Doskonałą okazję do rozwiązania konfliktu idei w konflikcie ludzkim stworzył sobie Niziurski przez wątek miłości Stacha Klimka, syna spółdzielcy, siedzącego jeszcze potrosze na dwóch stołkach średniaka, do Stefki, wychowanicy kułaka Momota. ZMP-owiec, którego uczucie do dziewczyny wystawia na próbę ideologicznego hartu, któremu po zawarciu małżeństwa i zamieszkaniu w zagrodzie kułaka grozi wchłonięcie przez wrogie środowisko — to niewątpliwie ciekawy i obiecujący dla pisarza problem. A co z tego tematu zrobił Niziurski? Stefki „scharakteryzowanej" kilkoma danymi z ankiety personalnej — w powieści nie widzimy, miłości również, a Stach wobec permanentnej nieobecności ukochanej po prostu nie zajmuje się nią. I musimy wierzyć autorowi na słowo honoru, że bohater pod wpływem tak nikłego uczucia był gotów narobić sobie takiego bigosu, oddalić się od swoich ZMP-owskich towarzyszy, przenieść do kułackiego domu. Ale przyjąwszy nawet tę historię za dobrą monetę, trzeba stwierdzić, że Stach — przeżywa swój konflikt zupełnie nieprzekonywająco, faktycznie nie zmienia się pod wpływem doświadczeń, nie rośnie, wreszcie zaś tylko dzięki przypadkowi odnajduje właściwą drogę. Ani w jego wahaniach, ani w jego stosunku do Momota, a potem „nawróceniu", dalekim od rzeczywistego przełomu, nie ma ludzkiej prawdy, jest tylko sztuczna konstrukcja, wykoncypowana dla podtrzymania schematu akcji i ukazania „problemów".

Podobnie ma się sprawa z większością innych bohaterów „Gorących dni". Niezmiennie anonsowani przez urzędowe życiorysy, wiodą anemiczny żywot reprezentantów pewnych społeczno - politycznych, klasowych postaw, a jako prywatni ludzie nie żyjący przecież przez 24 godziny na dobę sprawami spółdzielni — w ogóle nie istnieją. Np. Pałys to uosobienie kilku „typowych" zalet i błędów pozytywnego w gruncie rzeczy przewodniczącego spółdzielni, który zgodnie z tymi cechami swojej „osobowości" działa i przemawia (to najchętniej!), lecz poza tym jest niezapisaną kartą.

Stosunkowo najwięcej żywej, ludzkiej treści, a tym samym prawdziwej, niedeklaratywnej wymowy ideologicznej mają w powieści bodajże Teresa Klimkowa i zahukany chłopina Kękuś, który po dobrze przedstawionych niedolach i niepokojach wyzwala się z kułackiej niewoli i dobija szczęśliwie do spółdzielni. Ogółem zaś wziąwszy lepiej od bohaterów pozytywnych wypadli w powieści bohaterowie negatywni. Wprawdzie i wśród nich nie brak straszliwych schematów (np. Heniek, syn młynarza!) a nieubłagana ankieta personalna piętnuje ich z góry, wykluczając wszelkie niespodzianki, lecz taki np. Momot, mimo sakramentalnych „kułackich" właściwości, jest jednak plastyczny, nie zaciera się od razu w naszej pamięci. Natomiast przedstawiając machinacje i rolę kułaków Niziurski popełnił inny błąd, polegający na wypaczeniu istoty walki klasowej na wsi. Bo nie to jest w rzeczywistości najgroźniejsze, że Momotowie i im podobni dokonują sabotaży, względnie sabotaże inspirują, lecz to, że są kapitalistami i spekulantami, rozporządzającymi jeszcze poważną siłą gospodarczą, dużym inwentarzem, sporymi nadwyżkami towarowymi, z których ciągną znaczne zyski. I wreszcie to, iż wszystkimi sposobami usiłują przeciągnąć na swoją stronę średniaków. Gdyby chodziło przede wszystkim o sabotaże, jak sugeruje Niziurski, walka z kułactwem sprowadzałaby się do stosunkowo prostej akcji milicyjnej przeciwko elementom kryminalnym.

Ten długi i niekompletny rejestr grzechów, które sprawiają, że „Gorące dni" są mimo ciekawej i ważnej tematyki, mimo trafnego na ogół doboru zasadniczych problemów, książką błędną i co najmniej w połowie ciężko strawną, nie powinien nam przesłaniać pewnych osiągnięć autora. I tak niektóre postacie kryją w sobie niewątpliwe zadatki na dobrych realistycznych bohaterów powieściowych, narracja jest partiami bardzo żywa, kilka scen i sytuacji (np. scena w młynie, zebranie na ściernisku, gra w karty u knajpiarza Sędka, przyłapanie podpalacza Wosia) odznacza się plastyką i obiecującym nerwem dramatycznym. W sumie wydaje mi się, że Niziurski będzie dobrym pisarzem, o ile lepiej pozna życie, nauczy się brać rzeczywistość jako punkt wyjściowy dla ideologicznych i artystycznych uogólnień. Jeśli zrozumie, że jedynie żywy, pełny, zmieniający się człowiek powinien być i może być ośrodkiem krystalizacyjnym i osią realistycznego dzieła literackiego.

Egon Naganowski

*) Edmund Niziurski „Gorące dni", P. I. W. 1951, str. 251.

LUDWIK GRZENIEWSKI

NOWA POWIEŚĆ JALU KURKA

„Już bezpowrotnie wygaśli ludzie tej ziemi o rdzawych, drapieżnych twarzach: Quechua, Araukan, Chongo, Tuhuelche, Akaluf, Yagan i Ona. Ich niedobitki dogorywają, zżerane nędzą, alkoholem i syfilisem. Oto, co im przyniosła Europa. Nie wiadomo, czy żyje jeszcze sto tysięcy czystych Indios w republice Chile. Mówię naturalnie o czystych, bo cały prawie naród chilijski pochodzi z metysów. Ale na ich krwi zbudowano właśnie proletariat mieszany, wyborowy, który się wznosi z dołów do wyżyn. Bądźcie pochwaleni, metysi! Czyli biało-czerwoni mieszańcy! Robotnicy, parobcy, górnicy, pastuchy, rybacy! Budowniczowie Chile! Nie byłem nigdy w rzeczypospolitej zimna, ale widzę was. Od czego się jest poetą?" — tak brzmi urywek jednej ze wstawek pisanych językiem zbliżonym do prozy poetyckiej a otwierających poszczególne rozdziały nowej powieści Jalu Kurka pt. „Ocean Nie-Spokojny". *) Specyficzny styl Kurka—znany nam z dawnych jego powieści — nie uległ zmianie; temat za to dosyć niespodziewany. Pisać o kraju zagubionym na krańcu innej półkuli i to o kraju, w którym się nigdy nie było — to wymaga dużej odwagi wspieranej poetycką wyobraźnią. Nie koniec na tym ambitnych zamierzeń. W dalekiej „republice zimna" stara się autor znaleźć punkty styczne z przemianami, jakie nurtują nasz kraj. Czy i na ile sprostał Kurek tym ambitnym planom, postaramy się odpowiedzieć w poniższej recenzji.

Jest marzec, rok 1947. Pospieszny statek „Condor", odbywający regularną służbę pomiędzy portami Volparaiso a Magallanes, niesie na swym pokładzie kapitana Jarwicka—przynależnego do lotnictwa marynarki Stanów Zjednoczonych — który jedzie służbowo na wyspę Desolacion, kluczową pozycję w Cieśninie Magellana. Jarwick przybywa w te zapadłe okolice jako nadzorca budowy lotnisk, które buduje cywilna, amerykańska linia lotnicza „Panagra". Pozornie chodzi tutaj o przedłużenie linii lotniczych „Panagry" z Santiago do Puerto Magallanes, ale — pozornie tylko. W rzeczywistości trzy lotniska powstające na wyspach Mas a Fuera, Desolation i Madre de Dios —to bazy strategiczne, bazy powietrzne południowego Pacyfiku, to tzw. trójkąt Antarktydy (TA), jak nazywa się je w planach wojennych przygotowywanych w departamencie marynarki. Tak — w ogólnym zarysie—przedstawia się polityczny plan powieści. Powieść bowiem — jak to zauważył słusznie jeden z recenzentów — „składa się niejako z kilku planów: politycznego, społecznego i osobistego. Może się wydawać dziwny ów podział, jest on jednak w „Oceanie Nie-Spokojnym" na tyle widoczny, że rezygnując z pełnej ścisłości można go dla ułatwienia wprowadzić."

Zajmijmy się z kolei osobą kapitana Jarwicka, głównego bohatera książki. Kim jest ten człowiek w mundurze oficera USA? Nazwisko jego nie brzmi naprawdę John Jarwick. Jest to Polak, aczkolwiek od 1945 obywatel północno-amerykański. Nazywa się Janusz Jurewicz, pochodzi z Krakowa. Przed wojną był nauczycielem. We wrześniu 1939 r. zmobilizowany do lotnictwa jako podporucznik rezerwy zawędrował do Rumunii, a następnie na zachód. Bierze udział w walkach powietrznych, a po wojnie udaje się do Ameryki. Jako oficer kontraktowy lotnictwa wojskowego Stanów Zjednoczonych stacjonowany jest w bazie marynarki wojennej Miraflores w strefie Kanału Panamskiego. Przez 40 lat życia—mówi o sobie — nie widziałem nic, a w ostatnich siedmiu latach oglądałem tak wiele, że można się tym udławić. Czy człowiek ten zdaje sobie sprawę z charakteru swej pracy? Tak! „Pracuję dla utwierdzenia ekspansji Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej"—mówi. — „Co za straszliwy błąd! Od dwóch lat powinienem być w Polsce". Dlaczego więc nie wrócił do kraju? Otóż w Polsce Jarwick pozostawił żonę, z którą żył wszystkiego cztery miesiące. Krystyna złączyła się po jego wyjeździe z kim

(Dokończenie na str. 10-ej).

*) Jalu Kurek — „Ocean Nie-Spokojny"; powieść; Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza; 1951; str. 400.

WŁADYSŁAW BŁACHUT

Nowa Huta ma swój teatr

W roku 1950 inż. Kurczab, literat krakowski, wybrał się pewnego dnia do Nowej Huty, połaził po różnych Zjednoczeniach, odwiedził namiastki świetlic w Łęgu, Ruszczy, Bieńczycach, porozmawiał z robotnikami i działaczami związkowymi, aby następnie stwierdzić, że z upowszechnianiem kultury jest tu gorzej niż się spodziewał.

Owszem, były dobre chęci, tu i tam montował się jakiś zespół amatorski, odbywały się pierwsze próby, ale...

— Trudno tu coś doprowadzić do końca — skarżyli się kierownicy świetlic. — Ludzie przychodzą i odchodzą jak woda. Każdy jakiś inny. Są młodzi i starzy, z miasta i ze wsi, po szkole podstawowej lub bez niej, uświadomieni politycznie i tacy, którzy — jak mówią — nie znają się na polityce. Nic ich tu jeszcze właściwie nie łączy. Odrobią swoje na budowie i potem chcą mieć święty spokój. Partia, ZMP, Związki Zawodowe robią co mogą, ale jakoś nic z tego nie wychodzi. Przecież siłą ludzi do świetlicy nie zaciągniesz! Zresztą tych świetlic stanowczo mamy za mało i przeważnie daleko od miejsca pracy lub zamieszkania robotników danego zjednoczenia. Brakuje nam dobrych instruktorów. Zarządy robót i Związki Zaw. skąpią funduszów na cele kulturalno - oświatowe...

Inż. Kurczab był jednak innego zdania. Rozumował, że zorganizowanie wzorowego, pracującego kolektywnie zespołu świetlicowego przy jednym z przedsiębiorstw budujących Nową Hutę przyczyni się do przełamania początkowych trudności, zmobilizuje inne zarządy, zapoczątkuje współzawodnictwo międzyświetlicowe. I postanowił zorganizować taki kolektyw. W tym celu coraz częściej zaglądał do Nowej Huty, całymi dniami łaził po budowach, zawierał coraz to nowe znajomości, aż wreszcie — jakoś w lecie 1951 roku — trafił na swojego człowieka.

Spotkali się w malutkiej świetlicy Związku Zaw. Budowlanych (Zarząd Robót Nr 1). Towarzysz Sokołowski, murarz z zawodu, przyszedł do Huty z Żarnowca w powiecie okulskim. Szyko dał się poznać jako dobry fachowiec i zdolny organizator. Choć sam przekroczył już czterdziestkę, dziwnie łatwo umiał dogadać się z młodymi i szybko pozyskał ich zaufanie. Wybrany przewodniczącym Związku Zaw. Budowlanych okazał się prawdziwym fanatykiem teatru amatorskiego. Podobno w latach swojej bezrobotnej młodości miał jakieś sukcesy na tym polu. Teraz tu, w Nowej Hucie, postanowił jak najwięcej swoich pupilów wciągnąć w służbę kultury, wytrącić z ich rąk karty i wódkę, zapalić do wyższych, szlachetniejszych celów...

Spotkanie Sokołowskiego z Kurczabem wyszło sprawie na dobre. Murarz i inżynier szybko dogadali się ze sobą i od razu zaczęli montować zespół. Wśród załogi znalazło się początkowo 28-u chętnych. Byli między nimi tacy zapaleńcy jak Stanisław Basiora, młody pilot szybowcowy, który po wypadku z nogą przyjechał z Bielska do Nowej Huty i został ślusarzem - mechanikiem, jak murarz Józek Pawlica, referent K.O. Zw. Zaw. Budowlanych, czy Zenon Nocoń, pracownik umysłowy, syn górnika z Zagłębia — którzy do dziś dnia nie rozstali się z zespołem. Ale byli też tacy, co w nim długo nie zagrzali miejsca...

Na początek wybrali „Wodewil Warszawski" Gozdawy i Stępnia, przerobiony na „Wodewil Nowohutnicki" przez reżysera zespołu Jana Kurczaba. W okresie prób piosenki z wodewilu towarzyszyły młodzieży w jej pracy na budowach, cieszyły się popularnością wśród cieślów i murarzy, zaczęły budzić powszechne zainteresowanie wokół tej upartej placówki. W listopadzie 1951 roku zespół postanowił przystąpić do Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych. Cementował się i rósł. Zaczął rozglądać się za odpowiedniejszym pomieszczeniem. Właśnie w tym czasie w jednym z nowych budynków na terenie Nowej Huty wykańczano lokal Międzyzwiązkowego Klubu Robotniczego. „Budowlani", nie namyślając się długo, poprosili o gościnę. Wiele długich wieczorów zimowych przepracowali przy adaptacji niewielkiej sceny. Młody amator - scenograf Jerzy Zieliński, były uczeń Liceum Plastycznego w Warszawie, opracował przemyślne dekoracje umowne. W dniu 13 stycznia odbyła się premiera „Wodewilu...". Sukces nadzwyczajny. Robotnicy pchali się drzwiami i oknami. Na następne przedstawienia trzeba było wynosić z sali krzesła, aby na stojąco pomieścić więcej widzów. Zdawało się, że dzięki „Budowlanym" w życiu kulturalnym Nowej Huty nastąpi wreszcie przełom. Niestety, po 24 przedstawieniach musieli opuścić lokal w Międzyzwiązkowym Klubie Robotniczym. Był potrzebny na inne cele. Przed zespołem, który w międzyczasie się zaczął pracować nad „Poematem Pedagogicznym" Makarenki, stanęło widmo rozsypki. Z próbami przenieśli się do stołówki na AO, gdzie wieczorami w najbardziej nieodpowiednich warunkach kontynuowali swoje zmagania ze sztuką.

Ale Sokołowski z Kurczabem nie dali za wygraną. Na terenie tego szkolnego osiedla „odkryli" stary barak, który — ich zdaniem — znakomicie nadawał się na stałą nowohutnicką placówkę teatralną. Poprosili gdzie trzeba o przekazanie im tej niepotrzebnej rudery. Sokołowski upłynnił nieco grosza z kredytów k. o. Związku Zaw. Budowlanych. Kurczab przystąpił do kreślenia planów. Młodzież zakasała rękawy i postanowiła na 60-lecie urodzin Prezydenta Bieruta wybudować pierwszy stały teatr w Nowej Hucie!

Rozpoczął się gorączkowy, podniecający okres zmagań kolektywu z czasem, przestrzenią, trudnościami technicznymi i finansowymi. Młodzi chłopcy i dziewczęta pod kierownictwem Kurczaba i Sokołowskiego oczyszczają ściany baraku, wykładają je walającymi się niepotrzebnie na terenie Huty płytami tekturowymi, dobudowują scenę, 4-ry garderoby, hall, kasy... Pracują przy tym po kilka do kilkunastu godzin na dobę. Nie żałują wolnych niedziel i świąt. Rozwijają cały swój spryt i zdolności byle tylko zdobyć potrzebne materiały i na czas zbudować swój teatr. Tak — teatr! Prawdziwy teatr w baraku! Z widownią na 400 wygodnych miejsc (o nowe krzesła postarał się Sokołowski), z głęboką sceną oddzieloną od widowni — „teatralną" kurtyną, z kotarami i prawdziwymi reflektorami, których użyczył im Teatr Rapsodyczny w Krakowie!

Na 18 kwietnia 1952 roku teatr ochotniczy „Nurt" był gotowy do użytku. I wtedy tępy biurokrata usiłuje zniweczyć owoc entuzjazmu młodych. Na teren budowy przyjeżdża buchalter z Warszawy i każe rozebrać barak. Dopatruje się jakichś nieformalności. Uważa, że teatr może poczekać. Rzeczą pilniejszą jest budowa osiedla. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze. Kurczab pojechał do Warszawy, Sokołowski uzyskał poparcie sekretarza K. W. Partii Wróblewskiego. Rozsądek odniósł zwycięstwo nad paragrafem. Pierwszy stały ochotniczy teatr „Nurt" Związku Zaw. Budowlanych przy Zarządzie Robót Nr 1 w Nowej Hucie rozpoczął swoją działalność.

Tak się złożyło, że na otwarciu teatru i premierze „Poematu Pedagogicznego" w dniu 26 czerwca b. r. nie mogłem być obecny. Do teatru w Nowej Hucie wybrałem się dopiero w połowie lipca. Nie bez trudu odnalazłem przycupnięty na granicy osiedla B1 i kombinatu Nowa Huta drewniany barak. Barwne plakaty i duże białe napisy na niebieskim tle znaczyły mi do niego drogę wśród wznoszonych naprędce bloków mieszkalnych. Była godzina 5-ta po południu. Przed barakiem niezwykła na tym terenie cisza i spokój. Jedynie od czasu do czasu wypełnione materiałem budowlanym wagoniki pomykają w stronę Kombinatu. Na polach niedalekich Krzesławic widać pierwsze kopki skoszonego żyta. Na przylegającym do baraku trawniku jakaś starsza kobieta pasie swoją krowinę. Naciskam uchylone drzwi i wchodzę do wnętrza baraku. Widownia o tej porze świeci jeszcze pustkami. Za to na scenie jakiś młody, przystojny chłopiec zamaszyście wywija miotłą. To Jerzy Brodacki, aktor i świetlicowy w jednej osobie, robi porządki przed zapowiedzianym na godzinę 7-mą przedstawieniem. Za chwilę nadchodzą, przeważnie prosto z budowy, jego towarzysze ze sceny: Basiora, Bzibziak, Antoniewicz, Pilarski. Zjawia się również reżyser Kurczab i niezastąpiony opiekun zespołu tow. Sokołowski. Przewodniczący kolektywu młodzieżowego, Basiora, referuje reżyserowi ważną sprawę: dziś w zarządzie organizacji zetempowskiej postanowiono ostatecznie wykluczyć ze swego grona kolegę Gałka. Ostatnio coraz częściej nawalał, nie przychodził na próby, demoralizował drugich. Rolę Buruna zagra dziś po raz pierwszy kolega Antoniewicz. Młody murarz z Torunia wymawia się jak może. Rolę zna na pamięć. Był na wszystkich próbach i przedstawieniach, ale jeszcze nigdy nie grał na scenie. Więc nie wie czy podoła. Kurczab uśmiecha się życzliwie i słowami zachęty uspokaja chłopca. Potem opowiada mi o życiu kolektywu, o nowych metodach zespołowej pracy, o swoich sukcesach wychowawczych:

— Zdajecie sobie chyba, kolego, sprawę z tego, że wychowanie nowego człowieka w tak wielkim i zróżnicowanym środowisku jak Nowa Huta nie jest rzeczą łatwą. Ale trzeba wierzyć w człowieka i mieć do niego zaufanie. A tego właśnie uczy nas „Poemat Pedagogiczny" Makarenki. Ta powieść to jakby dopełnienie obrazu życia młodzieży w Nowej Hucie. Dlatego na pierwsze przedstawienie w naszym teatrze wybrałem właśnie tę szukę. Pod wpływem tekstu Makarenki zespół nasz stał się kolektywem. Każdy z członków zespołu zapoznał się dokładnie z „Poematem" i w toku analizy swojej roli często podświadomie przyswajał sobie obowiązujące w życiu i pracy zasady moralności socjalistycznej. Słyszeliście już o historii z Gałkiem - Burunem? Kolektyw z żalem zrezygnował ze współpracy z tym zdolnym, lekkomyślnym chłopcem. Usuwając go ze swego grona posłużył się analogią z „Poematu", orzekając: „Możesz w każdej chwili do nas wrócić, ale tylko tak, jak wrócił na kolonię Burun w „Poemacie Pedagogicznym"!

Podobnie postąpiono niedawno z koleżanką, która odtwarzała w „Poemacie" rolę Katarzyny Antonowny. Za zaniedbania w pracy zawodowej musiała pożegnać się z zespołem. Powróci z chwilą, gdy zacznie przodować na budowie...

Rozmawialiśmy jeszcze o wielu innych sprawach. O życzliwym poparciu Partii a przede wszystkim sekretarza K. W. tow. Wróblewskiego, o planach na najbliższą przyszłość, o wiecznie aktualnych trudnościach finansowych, które towarzyszą każdej ambitniejszej placówce amatorskiej, o dziwnej obojętności krakowskiego ośrodka kulturalnego...

— Czy wiecie, kolego, — mówił inż. Kurczab — że ani jeden z krakowskich teatrów dramatycznych nie zainteresował się dotąd nami? Żaden ze znanych aktorów czy reżyserów nie pomyślał o pomocy dla nas. Własnym przemysłem dobijamy się rangi prawdziwego teatru. Raduje nas żywa reakcja widowni i coraz większe zrozumienie dla sztuki w masach robotniczych Nowej Huty. Jedynie część inteligencji trzyma się jeszcze od nas z daleka...

Wychodzimy przed barak. Wąskimi przejściami wśród stosów cegły, żelaza i drzewa śpieszą w stronę teatru grupki młodych chłopców i dziewcząt. Weseli i roześmiani tłoczą się u wejścia. Chłopcy przeważnie w roboczych kombinezonach, dziewczęta w jaskrawych, perkalowych sukienkach, które przyniosły ze sobą na budowę. Punktualnie o godzinie 19-ej rozpoczyna się przedstawienie. Emanujące ze sceny napięcie dramatyczne od razu udziela się robotniczym widzom. W przerwach słychać zawołania nawiązujące do tekstu „Poematu". Postaci i sytuacje na scenie niejednemu odkrywają obrazy z własnego życia. Metody wychowawcze Makarenki zyskują powszechny aplauz. Wykręty podstępnego kułaka — Musij Karpowicza — spotykają się z dorażnym potępieniem. Przydługie wybuchy śmiechu po zapadnięciu kurtyny gasną pod niecierpliwym sykaniem chłonącej treść „Poematu" widowni. Cóż za satysfakcja grywać przed taką publicznością! Tu sztuka nie trafia w próżnię, ale naprawdę uczy i wychowuje, porywa i entuzjazmuje, pobudza do głębokich przemyśleń i dyskusji...

Robotniczy widz nowohutnicki na pewno nie zauważył zrozumiałych w amatorskim przedstawieniu luk i potknięć. Przede wszystkim ich nie szukał. Za to czujnie kontrolował treść sztuki i z napięciem śledził losy krzepnących w socjalizmie jej bohaterów. Ale nawet tak zwany znawca czy krytyk z prawdziwego zdarzenia po obejrzeniu spektaklu nowohutnickiego musiałby przyznać: gry tak prostej i urzekającej nie spotyka się na zawodowej scenie. Sceny zbiorowe opracowane drobiazgowo, wykonanie bardzo naturalne i przekonywające. Dekoracje proste i pomysłowe.

Mówiąc o wykonawcach trzeba stwierdzić, że młody zetempowiec Aleksander Pilarski w roli Makarenki to prawdziwa niespodzianka przedstawienia. Doskonała dykcja, opanowanie słowa i gestu, prostota i naturalność, jakaś wrodzona dojrzałość sceniczna. Tym dziwniejsze, że Pilarski dotychczas nic wspólnego nie miał z teatrem. Makarenko to jego pierwsza rola w życiu. Podobnie objawił się tu w „Wodewilu" Zenon Nocoń, który od jesieni przechodzi na stałe do Państw. Teatru Rapsodycznego. Na przykładzie tych dwóch chłopców widać, jakie możliwości artystyczne tkwią w masach robotniczych i chłopskich. Na przykładzie ochotniczego teatru nowohutnickiego można ponadto stwierdzić, do czego może dojść zespół ożywiony piękną ideą i poddany odpowiedniemu kierownictwu.

Władysław Błachut

(Dokończenie ze str. 9-ej).

innym, Jarwick zaś już trzeci rok z rzędu odmawia zgody na rozwód, bowiem kocha ją dalej. „Żona go porzuciła—ten cios go dobił". Dlatego właśnie nasz bohater — jak można przypuszczać — nie wrócił do kraju, dlatego służy obcym. Tak wygląda „osobisty" plan powieści — będący sentymentalną sztampą, obliczoną na drobnomieszczański gusćik. Dalej bowiem Jarwick na budowie lotniska na wyspie Madre de Dios poznaje Barbarę, Chilijkę pochodzenia polskiego, młodą urzędniczkę. Ona go pokochała, on ją też. Ale ona boi się, że „rycerz przestworzy" musi być niestały (ma przecież samolot do dyspozycji — więc proste!), ukrywano przeto uczucia pod maską ironii. Nie będę dalej snuł streszczenia tego romansu, powiem tylko, że gdy Jarwick utracił nogę, Barbara zgodziła się na małżeństwo i wspólny powrót do kraju. Nic też nie pomoże tej postaci jej sympatia dla robotników ani lewicowe zapędy, w które wyposażył ją autor. Barbara jest zwykłą drobnomieszczańską gęsią, z histerycznymi inklinacjami. Cały zresztą „osobisty" wątek powieści to wyraźne ustępstwo na rzecz drobnomieszczańskiego czytelnika i jego gustów, to przykra skaza, która w dużej mierze niszczy zalety powieści.

Również i „społeczny plan" powieści nie jest wolny od poważnego błędu. Przeciwko amerykańskim planom i ich realizacji występują robotnicy, metysi prowadzeni przez swego przywódcę, Miguela Samaniegosa, świadomego rewolucjonistę i członka zdelegalizowanej przez zdradziecki rząd Gonzaleza Videli — partii komunistycznej. Ciekawie i nieszablonowo pokazuje Kurek tę walkę i rysuje postacie kilku robotników (między innymi szofera-warszawiaka, którego losy zagnały aż do Patagonii). Ale sprawa ta jest jednak potraktowana trochę drugoplanowo. Za to w centrum zainteresowań autora znajdują się mieszkańcy Pillar, starzy bywalcy podrzędnego kasyna. Przedstawia się nam tutaj kilkanaście sylwetek ludzi pozornie różnych, okazów wypreparowanych z prawdziwą pisarską maestrią. Ale wszyscy ci ludzie to jacyś rozbitkowie, to piana, którą główny nurt usuwa zawsze do zatok i odnóg — na margines. Ludzie z drobnomieszczańską przeszłością, pozbawieni jakichkolwiek perspektyw. Kurek zdaje sobie dobrze z tego sprawę: „Pillar. Co to jest Pillar? Kotłowisko plotek, intryg. Ludzie zawieszeni w złudzeniach. Odrealnieni. Żyją na peryferiach. Jaki jest ich udział w sprawach wielkiego świata? Tylko jeden Miguel Samaniegos wydawał się żywy i czujny na całej wyspie(...). Czas bezlitośnie miażdżył i odrzucał na bok tych wszystkich Castellinich, Barraganetów, Aramayów, Mateów. Czas niepowstrzymanie szedł naprzód, walił w siedmiomilowych butach. Dziady, niedołęgi odchodziły w tył, na margines życia. I do walki stawali tylko: Austin, Rivas i Lake, a przeciw nim ciemna masa metysów". Z tych stwierdzeń nie wyciągnął jednak Kurek właściwych wniosków dla swej pracy pisarskiej.

Jakże więc Janusz Jurewicz, obdzielony dwiema miłościami, które „przesłaniają mu świat cały" i wmontowany w atmosferę pillarskiego kasyna, może sprostać zadaniom, jakie przed nim postawił autor? Rzecz jasna — nie może. Toteż jego sympatię dla robotników musi autor tłumaczyć „wrodzoną" sympatią Polaków do wszystkich uciskanych, a jego dojrzewanie światopoglądowe emigranta i decyzję powrotu suflerować własnymi, patetyczno-retorycznymi epistołami. Przeczytajmy fragment jednej: „Czy to nie wstyd, panie kapitanie Jarwick, aby cudzoziemiec przywoływał pana do przytomności, do porządku, uczył obowiązku i honoru? — Dlaczego pan dotychczas nie wrócił do kraju? Po co pan oddaje swoje siły północno-amerykańskiemu państwu? Jaki jest interes Polski w tym, aby pan budował z ramienia USA bazy lotnicze na chilijskich wyspach? W ten sposób pracuje pan przeciw swej ojczyźnie; dla wojny. Pańskim obowiązkiem jest walczyć o pokój". Wątpię, czy te tyrady odautorskie mogą zapełnić światopoglądową pustkę głównego bohatera. „Z tych też względów „Ocean Nie-Spokojny" to książka pozornie tylko nowatorska. Pozostałości dawnych upodobań są zbyt widoczne, by politycznej tendencji powieści mógł być przyznany prymat"—mogę powtórzyć słuszną konkluzję Lama z jego recenzji drukowanej w „Życiu Literackim".

Surowo oceniliśmy błędy powieści Kurka, ale byłoby wielką niesprawiedliwością, gdybyśmy na tym zakończyli recenzję. „Ocean Nie-Spokojny" w stosunku do wydanego przed paru laty „Janosika" stanowi duży krok naprzód. W ukazaniu Chile i jego proletariatu walczącego z okupacją jankesów — okazał się Kurek dobrym poetą i prozaikiem. Widzimy ten „kraj zimna" i jego ludzi, nie odczuwamy „waty", tak zdawałoby się nie do uniknięcia przy pisaniu o odległych sprawach i miejscach, których się nie widziało. Nie można również zapominać o pasji, z jaką pisana jest powieść, dzięki czemu nie brak jej rumieńców życia. Tylko że drobnomieszczańskie ciągoty okazały się silniejsze od ambitnych zamiarów i wielu cennych osiągnięć. One to deformują realistyczną wymowę powieści. Ale można jednak żywić nadzieję, że dalsza praca pisarska Jalu Kurka pójdzie w kierunku wyzwolenia się z tych krępujących jego talent obciążeń, co pozwoli mu stworzyć powieść w pełni realistyczną.

Ludwik Grzeniewski

U PRZYJACIÓŁ

W MIESIĘCZNIKACH:

„Tor wolny" — to tytuł nowej powieści Jurija Łaptiewa, drukowanej w lipcowym numerze „Oktiabria". Autor „Zorzy" opisuje w swym nowym utworze życie kolektywu kolejarzy na węzłowej stacji Korczagino w latach powojennych. Tematyce pokojowej pracy w Kraju Rad poświęcone są również dwie nowe powieści, drukowane w lipcowych numerach centralnych miesięczników literackich. Powieściopisarka, W. Kietlińska (autorka powieści o bohaterskiej obronie Leningradu pt. „W oblężeniu"), opublikowała na łamach miesięcznika „Znamia" początek powieści „Dni naszego życia", poświęcony bohaterskiej pracy mieszkańców Leningradu w okresie powojennym. S. Woronin drukuje w miesięczniku „Zwiezda" drugą część powieści „Na swojej ziemi", której tematem jest praca kołchoźników na przesmyku Karelskim, na ziemi wyzwolonej w r. 1944 z faszystowskiej okupacji.

Wasyl Grossman napisał nową powieść „Za słuszną sprawę" — część pierwszą tego utworu zamieścił w lipcowym numerze miesięcznika „Nowyj Mir". W nowym swoim utworze autor „Narodu nieśmiertelnego" wraca do tematyki wielkiej wojny narodowej: Grossman opisuje losy i czyny wielu bohaterów frontowych i ofiarnych pracowników zaplecza w różnych stronach i zakątkach Związku Radzieckiego. Nici wszystkich wątków powieściowych wiodą do Stalingradu: bitwa pod Stalingradem ma być głównym motywem i szczytowym punktem tej wieloplanowej powieści.

Nowa powieść Grossmana współbrzmi z dwoma przełożonymi na język rosyjski utworami dramatycznymi, drukowanymi w tymże czasie w innych miesięcznikach. Są to: „Opowiadanie o Turcji" Nazima Hikmeta („Zwiezda") i sztuka współczesnego pisarza chińskiego Chu-Ke pt. „Wyrośli w bitwach". Sztuka Hikmeta — grana obecnie w Pradze i przygotowywana do wystawienia w Moskwie, opiewa bohaterstwo tureckich obrońców pokoju i walkę narodu tureckiego przeciwko ujarzmieniu i przekształceniu Turcji w amerykańską kolonię. Tematem sztuki Chu-Ke jest zwycięska walka wyzwoleńcza narodu chińskiego.

W lipcowych numerach centralnych czasopism literackich bogaty jest dział poezji: poeta gruziński G. Leonidze publikuje nowy cykl wierszy „Wiosna w ojczyźnie" („Znamia"). Jego rodak G. Abaszidze — cykl wierszy patriotycznych „Pieśń żniwna" („Nowyj Mir"). Cykl wierszy krymskich, poświęconych pamięci P. Pawlenki, zamieściła poetka M. Aliger w miesięczniku „Znamia". „Oktiabr" publikuje wiersze poetów buriacko-mongolskich.

Sp.

PISARZ O PISARZU

Znany u nas ze swej powieści dokumentarnej „Ludzie o czystym sumieniu" — P. Werszyhora, bohater minionej wojny i laureat Nagrody Stalinowskiej, w numerze 6-tym czasopisma „Nowyj Mir" publikuje szkic literacko-biograficzny, poświęcony W. Wiszniewskiemu, jednemu z najwybitniejszych dramaturgów ZSRR, autorowi „Niezapomnianego roku 1919-go". W r. 1929 uzyskuje Wiszniewski powszechne uznanie za swój utwór dramatyczny „Pierwsza Konna", o której były dowódca tej legendarnej armii, marszałek ZSRR S. Budienny, pisał:

„Chciałbym podkreślić, że tylko cekaemista Wiszniewski, żołnierz Pierwszej Konnej, jeden z potężnego kolektywu jej bohaterów, mógł stworzyć tę rzecz, naszą rzecz, rzecz Armii Konnej. Bez zmyślenia, bez ozdobników, bez kłamliwego patosu żołnierz opowiedział o żołnierzach, bohater — o bohaterach. Wychowany przez Armię Konną Wiszniewski mówi jej słowami, myśli jej myślami. Sięga po materiał do samego życia, szeroko wyzyskuje dokumenty, odtwarza zdarzenia, wprowadza do akcji prawdziwych ludzi".

W krótkich odstępach czasu ukazują się dalsze utwory dramatyczne Wiszniewskiego: „Optymistyczna tragedia" (1933), pierwsza radziecka sztuka antyfaszystowska — „Na Zachodzie walka trwa" (1934), jeden z najcelniejszych scenariuszy radzieckich — „My z Kronsztadtu". „Niezapomniany rok 1919" stanowi ostatni etap twórczości Wiszniewskiego, który zmarł w pełni sił, w okresie bujnego rozkwitu talentu w r. 1951. Poza wymienionymi pozycjami, pisarz jest autorem i współautorem szeregu scenariuszy, licznych artykułów i essayów.

Artykuł Werszyhory ma dla polskiego czytelnika poza informacyjnym jeszcze inny, głębszy sens. Werszyhora w swojej próbie biograficzno-literackiej daje przykład nowej formy biograficznego essayu, utworu, który mimo zwartej zwięzłości i oparcia o materiały ściśle dokumentarne, ani na chwilę nie przestaje być dziełem literackim.

O CENNEJ FORMIE PUBLICYSTYCZNEJ

W jednym z ostatnich numerów radzieckiego czasopisma „Oktiabr" ukazał się pamflet polityczno-literacki Ł. Baranowskiego pt. „W cieniu Pałacu Burbonów". Jak orientuje tytuł — chodzi o mieszczący się w pamiętającym różne czasy budynku — parlament Francji. Od konkretnego wyglądu sal obrad poprzez kuluary autor przechodzi do refleksji natury politycznej i historycznej, posługuje się gęsto dygresją, uwagami marginesowymi. Prozę Baranowskiego cechuje obfitość rzeczowego materiału informacyjnego, znajomość dziejowego przekroju francuskiego aparatu parlamentarnego w skali prawie całego stulecia. Pamflet nowego typu, w którym tak celował Gorki, nie rezygnuje z argumentacji ściśle rzeczowej, posługuje się nią w toku niemal epickiej narracji, stanowiącej podstawowy trzon kompozycyjny utworu. Kontury „działaczy" i aferzystów parlamentarnych różnych ugrupowań, maści i odcieni, dobitne i oparte na rzeczowym materiale faktów i cyfr—to obraz w pełni rzeczywisty, a mimo to przez taki a nie inny dobór i zestaw zjawisk — satyryczny. Typ pamfletu-satyry literackiej, jeden z najbardziej bojowych i mobilizujących, nie należy do najłatwiejszych form publicystycznych, tym większe znaczenie ma ostatnia praca Baranowskiego.

„STARA, ALE GROŹNA BROŃ"

Pod tym tytułem A. Trukin publikuje w ostatnim (lipcowym) zeszycie czasopisma „Nowyj Mir" artykuł o bajce. Bardzo interesujące są wywody autora, wiążące się ze zmianą tzw. „sensu moralnego" bajki, w miarę przemian ekonomiczno-społecznych. Na szczególną uwagę zasługuje oparta na konkretnych przykładach analiza waloru wychowawczego bajki radzieckiej w warunkach socjalistycznych. Autor zastanawia się nad tematyką bajki współczesnej, wskazując między innymi na jej wielką przydatność w zwalczaniu pozostałości dawnego życia, które wciąż jeszcze stara się tu i ówdzie zaśmiecić rzeczywistość socjalistyczną. Posługując się obficie przykładami, Turbow rozważa sprawę dbałości o artyzm bajki, która tylko wtedy, kiedy jest rzeczywistym dziełem sztuki, spełni swoją rolę społeczną.

BIOGRAFIA W. ŁACISA

W obszernym artykule (Nowyj Mir" nr 7), M. Kuźniecow zajmuje się biografią i twórczością jednego z najwybitniejszych przedstawicieli literatury łotewskiej — Wilisa Łacisa. Książki tego pisarza, szeroko spopularyzowane w licznych wydaniach w całym Związku Radzieckim, są znane także i u nas w kilku przekładach („Nawałnica", „Syn rybaka").

Łacis urodził się w r. 1904 jako syn portowego robotnika. Dochodzi do literatury poprzez aktywny protest społeczny i działalność rewolucyjną.

Pierwsze dłuższe opowiadanie publikuje w r. 1930-tym w czasopiśmie „Domas" („Myśl"), redagowanym przez postępowego pisarza łotewskiego, Andrzeja Upita. Łacis pracę pisarza łączy z podziemną działalnością rewolucyjną patriotów łotewskich. Prawdziwy rozkwit twórczości Łacisa datuje się od momentu, kiedy Łotwa przestaje być półkolonialnym, burżuazyjnym państewkiem, a staje się jedną z republik radzieckich. W ślad za dużą, napisaną jeszcze w latach 1932—1934 powieścią „Syn rybaka" ukazuje się rozpoczęta w 1945 a zakończona w roku 1948 i odznaczona Nagrodą Stalinowską „Nawałnica". Ta wielka bogata epopeja Łotwy lat wojennych 1941 — 1945, nawiązując do najlepszych tradycji literatury radzieckiej, stanowi jakby ogniwo w ciągu utworów, tematycznie związanych z wielką wojną narodową, takich pisarzy radzieckich jak Fadiejew, Erenburg, Grossman. Ostatnim wielkim utworem Łacisa jest wyróżniona Nagrodą Stalinowską powieść „Ku nowemu brzegowi". Dyskusja nad tym utworem stała się, jak wiemy, okazją do znanego naszemu czytelnikowi wystąpienia grupy czytelników na łamach „Prawdy", piętnującego schematyczne i nieżyciowe pojmowanie typowości losów kułackich przez niektórych krytyków. Tego schematyzmu ustrzegł się Łacis.

UTWORY POLSKICH PISARZY NA ŁAMACH CZASOPISM REPUBLIK RADZIECKICH

W numerze 5-tym czasopisma społeczno-literackiego Karelo-Fińskiej Republiki Związkowej „Na pograniczu" ukazał się utwór Janiny Dziarnowskiej „My z Nowej Huty". W czasopiśmie ukraińskim „Dnipro" wydrukowano satyryczne opowiadanie Wiesława Brudzińskiego pt. „Bratanek z prowincji". W obydwu wypadkach warto zwrócić uwagę na niezwykłą staranność językowo-stylistycznego opracowania przekładów.

Kl.

WANDA WERTENSTEIN

W IMIĘ PRAWA I BEZPRAWIA

Klasa robotnicza walcząc z burżuazją w obronie swobód obywatelskich przeciw ograniczaniu praw człowieka staje się dziś w krajach kapitalistycznych jedynym obrońcą praworządności.

Dlatego każde wystąpienie w obronie obowiązujących praw demokratycznych jest pomocą w tej walce.

Film Pietro Germi „W imię prawa" — wyświetlany w Polsce pod tytułem „Pod niebem Sycylii"*) — zwrócony jest przeciw specyficznej dla warunków sycylijskich formie bezprawia — przeciw tzw. „mafii". Ale głęboka, klasowa analiza zagadnienia „mafii", jaką przeprowadza Germi, nadaje filmowi znaczenie symbolu demaskującego wilcze stosunki w warunkach ustroju kapitalistycznego w ogóle.

Co to jest „mafia" sycylijska? O zjawisku tym pisał swego czasu szerzej Marian Brandys, w jednym ze szkiców drukowanych w „Kuźnicy" (nr 27, 1949), włączonych następnie do tomu „Spotkania włoskie". „Mafia" jest tajną organizacją terrorystyczno-bandycką, wywodzącą się jeszcze z czasów średniowiecza.

„Dzisiejsza mafia — pisze Brandys — *jest olbrzymią organizacją podziemną, a raczej olbrzymią i skomplikowaną siecią drobnych i pozornie niezależnych od siebie komórek niesłychanego wprost terroru gospodarczego i politycznego, którego ostrze kieruje się głównie przeciw najuboższym. Że tego rodzaju organizacja może jeszcze dziś, w połowie XX wieku, działać swobodnie i niemal półoficjalnie w środku Europy, na to składają się trzy zasadnicze przyczyny:*

1) niezdrowa i zacofana struktura rolna Sycylii, która niewiele zmieniła się od czasów średniowiecza; 2) nędza, ciemnota i niski stopień uświadomienia sycylijskich mas ludowych (ilość analfabetów w niektórych prowincjach sycylijskich przekracza 70 proc.; 3) dziedziczna z wielu pokoleń skłonność pewnych elementów do absolutnego nieróbstwa i pasożytowania na cudzej pracy.

Te trzy zasadnicze przyczyny — w połączeniu z całkowitą obojętnością administracji państwowej i organów bezpieczeństwa — prowadzą w rezultacie do tego, że na Sycylii, obok władzy oficjalnej, państwowej i regionalnej, istnieje druga władza, nielegalna, sprawowana przez tajną organizację terrorystyczną, przy czym zarządzenia tej drugiej władzy — aczkolwiek często sprzeciwiające się prawu ogólnemu — wykonywane są przez ogół terroryzowanych z ślepym posłuszeństwem.

W całej Sycylii zachodniej i w większej części Sycylii wschodniej nie ma dziś wsi ani miasteczka, które nie byłoby podporządkowane absolutnej „opiece" mafii. Podstawowymi jednostkami mafii są „rodziny" i „dziesiątki" składające się z „żołnierzy" i kierowane przez ojców rodzin i dziesiętników. Członkowie mafii na podstawowych szczeblach rekrutują się przeważnie z burżuazji wiejskiej (pośrednicy handlowi, rządcy latyfundiów, ekonomowie, bogatsi dzierżawcy) oraz miejskiego i wiejskiego lumpenproletariatu. W szeregach prostych „żołnierzy" mafii spotyka się również tzw. ludzi przyzwoitych, których zapędził tam strach lub chęć zabezpieczenia swego życia i mienia."

W czasie kiedy Germi tworzył swój film, Giuliano, słynny bandyta a zarazem agent amerykański, był jeszcze niepodzielnym panem sycylijskiej wsi. Ale nie dzieje Giuliana są treścią filmu i nie przeciw unowocześnionej, zamerykanizowanej mafii zwraca się włoski artysta.

„Mafia", z którą walczy młody sędzia Capodarso — Guido Schiavi — jest organzacją bandycką, z pozoru pozbawioną celów politycznych.

Germi nie upraszcza zagadnień — szef „mafii", bogaty chłop Pasalaqua, jest postacią raczej sympatyczną, jednym z członków organizacji jest biedny chłop Vanni, który ginie z rąk „mafii" za kradzież osłów, stanowiących własność obszarnika.

Historia Vanniego i baronowskich osłów służy Germiemu do ukazania „mafii" jako organizacji kułackiej, broniącej interesów bogatych chłopów i obszarników i służącej do utrzymania w zależności od nich, małorolnych i bezrolnych chłopów.

Faktycznym kierownikiem „mafii" jest jednak nie Pasalaqua, ale baron — miejscowy obszarnik i kapitalista. Sędzia Schiavi popada w konflikt z baronem na tle sprawy zapuszczonej kopalni siarki, która dawała utrzymanie wielu rodzinom bezrolnych chłopów i której baron nie chce uruchomić mimo wyroku sądowego, nakazującego jej otwarcie. O ile w sprawie kradzieży osłów można jeszcze podejrzewać, że „mafia" w swoisty sposób broni prawa, o tyle stanowisko wobec sędziego na tle konfliktu o uruchomienie kopalni demaskuje ostatecznie jej klasowe oblicze.

Germi posuwa się dalej — w lekkiej, ale nie mniej przejrzystej aluzji wskazuje na oparcie, jakie „mafia" i baron mają u władz centralnych w Palermo i Rzymie. Nie wychodząc w zasadzie poza obronę burżuazyjnej praworządności, realizator ukazuje tu bezsiłę obowiązującego prawa wobec konfliktów klasowych.

Mimo że film nosi tytuł „W imię prawa" — Germi koncentruje cały swój wysiłek twórczy nie na wątku fabularnym, którego treścią jest walka uczciwego burżuazyjnego sędziego o realizację burżuazyjnej praworządności, ale na zdemaskowaniu istoty „mafii", jej klasowej treści i warunków działania. Dzięki temu film, poruszając wąskie lokalne zagadnienie, przyczynia się do pogłębienia wiedzy widza o mechanizmie ustroju wyzysku.

Zasadniczemu problemowi filmu zostały podporządkowane wszystkie środki artystyczne. Świetne opanowanie rzemiosła realizatorskiego i śmiałe operowanie plastyką obrazu służą Germiemu przede wszystkim do stworzenia pełnokrwistego opowiadania o życiu sycylijskiej wsi, do oddania całego bogactwa typów ludzkich, od starego bandyty Pasalaquy i członków „mafii" — przez sylwetki bezrolnych i małorolnych chłopów i naszkicowane z dużym zacięciem satyrycznym postacie małomiasteczkowych notablów — pisarza sądowego, pokątnego adwokata i policjanta — do pełnych uroku młodych — Paola i Vanimeddy. Blade i zdawkowe są natomiast postacie bohatera filmu, sędziego Schiavi, barona i jego sentymentalnej żony. Podobnie anemiczny jest wątek miłosny Schiavi-baronowa.

W filmie Germiego widzieć możemy wybitne dzieło realizmu krytycznego — autor demaskując stosunki świata kapitalistycznego, nie wysnuwa dalej idących wniosków. Widać to wyraźnie z zakończenia filmu. Sędzia Schiavi ponosi klęski, póki próbuje opierać się o miejscową burżuazję, barona, „mafię". Kiedy „mafia" zabija młodego Paola — niewinna śmierć chłopca pozwala sędziemu znaleźć słuszne rozwiązanie — odwołuje się do ludu i gniew ludu zmusza „mafię" do ustąpienia, do wydania mordercy Paola — Massany w ręce sprawiedliwości... Ale sprawiedliwości burżuazyjnej, policji państwowej, policji, której szefem jest kat włoskich robotników i chłopów — Scelba.

Dla Germiego rozwiązanie leży w wierze, że siła ludu pracującego zapewni obronę liberalnego kapitalizmu przeciw faszyzmowi. Dla widza o wyższej świadomości, Germi mocą swego talentu i artystycznej uczciwości odsłonił dalsze perspektywy — potęgi mas ludowych, które dziś przeciwstawiają się faszyzacji i przygotowaniom do nowej wojny, a jutro pogrzebią ustrój niesprawiedliwości i wyzysku.

Wanda Wertenstein

*) „Pod niebem Sycylii": scenariusz: M. Monicelli, F. Fellini, T. Pinelli, G. Mangione, reżyseria Pietro Germi, muzyka S. Rustichelli, zdjęcia G. Villa, produkcja „Luxfilm".

Encyklopedia amerykańskiego faszyzmu

Albert E. Kahn — „Zdradzony Naród", tłum. z angielskiego A. Liebfeld. „Czytelnik" 1952.

Obserwowany przez nas w ostatnich latach intensywny rozkwit publicystyki politycznej pozostaje w niewątpliwym związku ze specjalnymi zadaniami, jakie spoczywają na tym rodzaju literackim, z zadaniami ukazania w możliwie najbardziej precyzyjny, wyczerpujący sposób dzisiejszych wydarzeń politycznych, ich skomplikowanego przebiegu, powiązań tak, aby nie stracić niczego z ich ruchliwości i tempa. Ostatnio otrzymaliśmy doskonałą relację polityczną „z pierwszej ręki" w postaci najnowszej książki jednego z wybitniejszych publicystów amerykańskich a zarazem czołowego aktywisty ruchu pokoju w USA Alberta E. Kahna. „Zdradzony naród" przedstawia dzieje „amerykanizmu" — jeśli tak można określić współczesny etap rozwoju imperializmu amerykańskiego — w okresie od zakończenia I wojny światowej aż do 1950 roku. Zwięzła dokumentarność tej książki sprawia, że nie będąc monografią dzisiejszych USA z powodzeniem ją zastępuje.

Każde z ważniejszych zjawisk w życiu USA Kahn umiejscawia w konkretnych kategoriach ekonomicznych i pomimo braku wyraźnych reguł chronologicznych i całościowej oceny wypadków — czytelnik wyraźnie dostrzega związek istniejący pomiędzy procesami gospodarczymi w kraju i odpowiadającymi im skutkami prawnymi, politycznymi i ideologicznymi. Szczególnie wyraźnie występuje ten styl jego publicystyki wtedy, kiedy analizuje wpływ światowego kryzysu 1929 r. na wzrost nastrojów rewolucyjnych mas i powstanie New Dealu, kiedy ujawnia na podstawie zmów kartelowych USA z hitlerowskimi Niemcami przyczyny ostatniej wojny.

Omówione przez Kahna ostatnie pięciolecie powojenne jest jakby przypomnieniem tej samej sytuacji, która panowała w USA przed wojną, w okresie rządów Hardinga, Coolidgea i Hoovera. Amerykę zalewa ta sama fala wściekłej reakcji i prześladowań, system imperialistyczny wstrząsany jest podobnymi kataklizmami ekonomicznymi co wówczas.

Dzięki rzetelności historycznej Kahna wiemy, że nie jest to już prosta cykliczność historycznego nawrotu. O ile tożsamość władzy gospodarczej z władzą polityczną w warunkach imperializmu nie występowała tak wyraźnie w okresie bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej, a znacznie się zatarła w okresie rooseveltowskiego New Dealu, to już po drugiej wojnie światowej przybrała ona szczególnie jaskrawą postać. (Większość członków rządu Trumana to — według tego co podaje Kahn — właściciele, akcjonariusze lub przedstawiciele prawni i handlowi wielkich monopoli i trustów oraz b. wojskowi).

Ostatecznym (z punktu widzenia chronologii książki) etapem faszyzacji USA jest „proces dwunastu". W przedwojennej sprawie Sacco i Vanzetti chodziło o zarzut rzekomego morderstwa — dwunastu członków Amerykańskiej Partii Komunistycznej skazanych zostało już tylko za „głoszenie i zalecanie" zasad marksizmu - leninizmu. Autor książki nie stawia kropki nad „i", doprowadzając swą książkę do 1950 roku; postawiła ją w parę miesięcy później Korea jako ostateczny etap prowojennych wysiłków rządu USA.

Kahn nie poprzestał na pokazaniu zdrady i zdrajców — mówi i o zdradzonych, o ich walce przeciwko zdrajcom. Charakterystyczne, że każdy rozdział książki otwiera kilka wzajemnie się zbijających cytatów, naświetlanych z jednego i drugiego punktu widzenia, z punktu widzenia imperialistów z jednej — i narodu amerykańskiego z drugiej strony. Podział ten zachowany w książce unaocznia nam siłę i zwartość amerykańskiego narodu i klasy robotniczej w walce przeciwko rodzimemu faszyzmowi.

Autor nie dobiera, nie selekcjonuje umyślnie faktów: poważniejsze mieszają się z drobnymi, a przecież każdy z nich jest wyselekcjonowanym wyraźnym symptomem systemu imperialistycznego. Zwraca uwagę drobiazgowa sumienność opracowania książki: każdy fakt, wydarzenie — ma swoje „incognito", swojego autora, swoją przyczynę, źródło — służą temu autentyczne cytaty, noty bibliograficzne i odnośniki, obficie rozsiane w tekście i po marginesach książki. Być może było w tej rzetelności coś więcej niż wrodzona uczciwość każdego postępowego publicysty. Zapewne działały tu względy osobistego bezpieczeństwa autora w sfaszyzowanej Ameryce, gdzie nawet najdrobniejsza nieścisłość w książce tak popularnej, że rozeszła się tam w 60 tysiącach egzemplarzy, mogłaby ściągnąć na autora represje. W jednym i drugim wypadku książka zyskała na celności i nawet mimo złego przekładu Alfreda Liebfelda, stanowi pasjonującą lekturę.

Dla kogo? Dla wszystkich. Wielu ludzi, którzy w imperializmie amerykańskim zwykli dostrzegać tylko „niektóre przykre szczegóły", tylko dyskryminację rasową, zdziczenie moralne itp. zjawiska, nie widzą poza tym nic więcej, przekona się z książki Kahna, że „w tym szaleństwie jest metoda".

Książka Kahna pisana jest tak żywo, a nawet sensacyjnie, że ma wszelkie dane, aby trafić nawet do środowisk takich jak np. do naszego, obciążonego jeszcze sentymentami „anglo-amerykańskimi" drobnomieszczaństwa.

Ryszard Hładko

KORESPONDENCJA

LITERATURA I TECHNIKA

Czy wymaga się od krytyka literackiego, aby był technikiem? Niewątpliwie nie. Czy jednak można wymagać, żeby znał na tyle problematykę utworu, aby móc wytknąć oczywiste błędy? Niewątpliwie tak.

Ze zdziwieniem więc przeczytałem w recenzji Stanisława Mędelskiego o książce Czesława Schabowskiego „To sprawa syna" („Nowa Kultura", nr 28) następujące zdania:

„W opowiadaniu pt. „Rower" akcja wygląda mniej więcej tak: Spółdzielnia produkcyjna otrzymała **maszynę do sianokosów. Na chwilę przed włączeniem prądu okazało się, że maszynie brakuje szajby.** Ponieważ czas jest drogi, syn przewodniczącego, Jurek, który dostał właśnie od ojca za dobre postępy w nauce rower, siada nań i jedzie całą parą **do miasta odległego o 24 km**, aby przed zamknięciem sklepów zdążyć kupić szajbę." (podkreślenie moje — M. S.)

Recenzent snuje dalej rozważania na temat charakteru konfliktów w opowiadaniach Schabowskiego, podczas gdy czytelnik zadaje sobie pytanie:

1. Czy „maszyna do sianokosów" to po prostu kosiarka?
2. Jak wygląda kosiarka z napędem elektrycznym i kto ją wynalazł?
3. Czy autor (i recenzent) widzieli kiedyś szajbę? (Pochodzi to oczywiście z niemieckiego die Scheibe i oznacza po prostu krążek metalowy, który w razie potrzeby można najczęściej zastąpić podkładką z innego materiału.)
4. Czy autor (i recenzent) zdają sobie sprawę, że opowiadanie pt. „Rower" ośmiesza gospodarkę zespołową w oczach czytelnika — indywidualnego chłopa, bo: a) każe spółdzielcom używać dziwacznych, nieistniejących maszyn, b) każdy chłop powie: cóż to za gospodarka, gdzie jeżdżą po każdą szajbę, którą zwykle ma się w komórce lub dostać można u kowala — aż 24 km.

Marek Szarski
(Redakcja „Gromada — Rolnik Polski")

„TYGODNIK POWSZECHNY“ O KAPITALIZMIE I BEZROBOCIU

„Tygodnik Powszechny“ zamieścił w numerze 28 artykuł pod wiele obiecującym tytułem „Kapitalizm i bezrobocie“.

Krótka refleksja: czyżby przejrzeli? Fakty mają tę szczególną właściwość, że rozbijają z czasem nawet najbardziej zaskorupiałe teorie. Czyżby więc „Tygodnik Powszechny“ przystąpił do realnej krytyki ustroju skazującego większość ludzkości na nędzę?

„Tygodnik Powszechny“ tylko „omawia“ artykuł Pawła Czartoryskiego z „Przeglądu Powszechnego“, poświęcony analizie poglądów A. C. Pigou i J. M. Keynes'a na bezrobocie. Jest co prawda różnica między „omawianiem“ a „propagowaniem“ jakichś poglądów; ale to, że Tygodnik „omawia“ właśnie teorie wstecznych ekonomistów i dziś, w kraju budującym socjalizm, nic im nie przeciwstawia, ma swoją wymowę. Pigou, epigon burżuazyjnej szkoły klasycznej w ekonomii politycznej, uważa, że powodem bezrobocia są zbyt wysokie płace, wywalczone przez związki zawodowe itp. Przez odpowiednie obniżenie płacy — powiada Pigou — powiększy się popyt na pracę i nadwyżka sił roboczych nie zatrudniona dotychczas znajdzie z powrotem zatrudnienie.

Ta wulgarna apologetyka wolnokonkurencyjnego kapitalizmu i dyskryminacji mas pracujących jest jednak takim nonsensem historycznym, że nawet „Tygodnik Powszechny“ musiał „przeciwstawić“ jej poglądy głównego naprawiacza kapitalizmu w jego monopolistycznym stadium — Keynes'a. Usiłuje on dowodzić, że rozumne kierownictwo życia gospodarczego może przez umiejętną politykę zapobiegać klęsce bezrobocia.

Podstawy i ramy tej polityki są naturalnie kapitalistyczne. „Keynes nigdy... nie posunął się tak daleko — uspokaja swych czytelników „Tygodnik Powszechny“ — żeby proponować jakieś środki zmierzające do socjalizacji narzędzi produkcji“. A zaraz potem: „Jest on (t.zn. Keynes) przekonany, że mimo głęboko sięgających trudności ustrój ten (kapitalizm) da się utrzymać, że mimo wszystko jest on najlepszym ustrojem gospodarczym“.

Na tym „najlepszym ze światów“ panuje jednak klęska bezrobocia. Środki, które tę klęskę mają łagodzić (bo o zwalczeniu całkowitym nawet sam naprawiacz nie marzy), Keynes wydedukował ze swej teorii zatrudnienia:

„Im większe spożycie (!) — tym większe zatrudnienie“. Wszystko jest tu postawione na głowie i może właśnie dlatego — Keynes idzie w ślady nieboszczyka Malthusa radząc całkiem serio kapitalistom, by zwiększyli swą konsumpcję do granic rozrzutności i nonsensu, (budujcie sobie piramidy!), a państwu kapitalistycznemu — by kosztem podatników popierało inwestycje prywatne.

Sens tego wszystkiego jest jasny: Keynes pragnie ratować kapitalizm przez stworzenie optymalnych warunków produkcji i akumulacji, co w efekcie nie może nie powiększyć wyzysku mas. A więc to samo co Pigou, tylko w bardziej zamaskowanej i demagogicznej formie. Ponadto Keynes, uwzględniając coraz to bardziej rewolucyjną postawę mas, do środków nacisku ekonomicznego żąda przyłączenia środków nacisku politycznego ze strony państwa burżuazyjnego.

Wykład zasad keynesowskiej teorii zatrudnienia „Tygodnik Powszechny“ przeprowadził — jak na charakter swego pisma — dość dokumentnie. Nie znalazł jednak miejsca na wykazanie utopijności i reakcyjności tych poglądów, siejąc tym samym zamęt w głowach czytelników, przez sugerowanie im, że jednak w kapitalizmie można skutecznie walczyć z bezrobociem. Tygodnikowemu ekonomiście brakło miejsca, a co najważniejsze — i chęci, by przeciwstawić tym demagogicznym mrzonkom ekonomię polityczną socjalizmu, a więc jedynego ustroju, który definitywnie zniósł bezrobocie.

Brakło mu miejsca i chęci, by „wspomnieć“ o Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, która w art. 58 stwierdza, że obywatele mają prawo do pracy i wskazuje środki, jakie to prawo gwarantują.

Ale nie tylko z tego, czego „Tygodnik Powszechny“ nie powiedział, można i należy sądzić o jego pozytywnym stosunku do referowanych teorii kapitalistycznych. Autor artykułu stwierdza wyraźnie, że „teoria Keynesa jest znacznie bliższa koncepcji chrześcijańskiej“, a główne różnice między tymi teoriami widzi w tym, że Keynes „czynniki społeczne i moralne uwzględnia... w życiu gospodarczym bardzo słabo, a problem bezrobocia stawia niemal wyłącznie na płaszczyźnie gospodarczej“.

Watykan nie jest naturalnie tak ograniczony, jak przyziemny Keynes. Watykan posiada jeszcze w arsenale swej doktryny cały szereg środków „cięższego“ kalibru, które pozwalają mu przedstawiać bezrobocie i nędzę jako karę za grzechy, a rozwiązanie tych plag odsuwać poza granicę doświadczenia. „Przewaga“ tego rodzaju argumentacji nie wymaga komentarzy.

Toteż ekonomista Kurii Xiążęco-Metropolitalnej, nie będąc z tych względów całkowicie zachwycony Keynesem, stwierdza, iż „aczkolwiek już od lat kilkunastu wiele krajów kapitalistycznych stosuje w praktyce zalecenia Keynesa — osiągnięte dzięki nim rezultaty nie dają JESZCZE (podkr. — A.S.) wcale gwarancji, żeby ta nowa polityka miała być rzeczywiście radykalnym środkiem zwalczania bezrobocia“.

Ach, te „gwarancje“! Gdybyż to je można mieć! A może i lepiej, że ich nie ma? Pozwala to na „krytykę“, którą bardzo swoiście można rozumieć... a o to przecież właśnie chodzi!

Stanisław Albinowski

Z TYGODNIA

Z KRAJU

NA PIERWSZE W STOLICY PRZEDSTAWIENIE

klasycznego dzieła dramaturgii radzieckiej, sztuki M. Pogodina „Człowiek z karabinem“ — przybył Prezydent R.P. Bierut. Obecni byli również członkowie Rady Państwa, Biura Politycznego KC PZPR i rządu. Przedstawienie dał w Państwowym Teatrze Polskim specjalnie przybyły na Zlot Młodych Przodowników zespół Państwowych Teatrów Dramatycznych z Wrocławia. Jak wiadomo czytelnikom „Nowej Kultury“ w sztuce tej po raz pierwszy w dziejach naszego teatru polscy aktorzy wystąpili w rolach Lenina i Stalina. Reżyser sztuki J. Rotbaum, odtwórca roli Lenina F. Żukowski i roli Szadrina L. Benoit otrzymali państwowe nagrody artystyczne.

URALSKI ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA

wystąpił 3-krotnie w ramach imprez zlotowych. Po zakończeniu Zlotu plan tournée zespołu przewiduje występy w Białymstoku, Olsztynie, na Wybrzeżu, w Szczecinie, Wrocławiu, Katowicach, Krakowie, Częstocowie, Łodzi i Piotrkowie.

Z 20 KRAJÓW

przybyła do Warszawy na zaproszenie SARP 40-osobowa wycieczka architektów celem zapoznania siz z doświadczeniami polskiego budownictwa miast i osiedli. Wśród uczestników wycieczki znajdują się m. in. architekci koreańscy.

OGÓLNOPOLSKA WYSTAWA SZKÓŁ PLASTYCZNYCH

została otwarta w związku ze Zlotem Młodych Przodowników w gmachu warszawskiej ASP. Wystawiono około 1300 eksponatów z zakresu malarstwa, rzeźby, grafiki, architektury wnętrz, mozaiki, tkactwa, ceramiki, sztuki konserwatorskiej, scenografii. Reprezentowane są nadto prace uczniów Liceum Technik Plastycznych (m. in. tkactwo mechaniczne, desynatorstwo, poligrafia, galanteria artystyczna, metaloplastyka, stolarstwo, introligatorstwo, koronkarstwo, rzeźby w drzewie itp.).

„ANGELO — TYRAN PADWY“

— dramat Wiktora Hugo pod tym tytułem został po raz pierwszy w Polsce wystawiony przez teatr wrocławski. Sztukę reżyserował Wiliam Horzyca.

ZA GRANICĄ

PREMIERA „ZWYKŁEJ SPRAWY“

A. Tarna w Moskiewskim Teatrze Dramatycznym odbędzie się 9 sierpnia.

FRANCISZEK SZRAMĘK

wybitny poeta czechosławacki — zmarł w wieku 75 lat w Pradze. Pozostawił bogatą spuściznę literacką: kilkanaście tomów wierszy, kilka powieści oraz wielu utworów dramatycznych, spośród których „Lato“ i „Księżyc nad rzeką“ zapoczątkowały nowy etap w rozwoju czechosłowackiej twórczości dramatycznej.

NA GOŚCINNYCH WYSTĘPACH W HOLANDII

przebywał ostatnio Zdzisław Górzyński — dyr. Opery Warszawskiej. Dyrygował on w Hadze i Amsterdamie koncertami muzyki polskiej, których program wypełniły utwory Moniuszki, Noskowskiego, Szymanowskiego i Panufnika. Solistka koncertu, śpiewaczka holenderska Zivers, wykonała arię z II aktu opery „Halka“ po polsku.

Osiemdziesięciolecie Benedykta Hertza



Benedykt Hertz

Rys. Jerzy Zaruba

BENEDYKT HERTZ

Sen niedośniony

Rzecz wiadoma, iż nieraz ustępliwa, cicha,
płaszczem skromności okrywa się — pycha.

Był pewien wierszokleta,
co się miał za wieszcza,
bo w przeróżnych gazetach
strofy swe umieszczał.
Lecz wierszówki odbierał, wciąż pełen goryczy,
że fama ciszej o nim niż o innych ryczy.
Chwalą tych, ganią tamtych, nikt nie piśnie o nim...
Powstają głośne firmy...
on — ciągle anonim.

— Ha, trudno — myśli — faktów takich dosyć znamy:
wszak i Norwid talentu nie miał do reklamy.

I już na pozór pogodzony z losem,
jak lis winogronami, pogardził rozgłosem.

Odtąd, gdzie mógł, z uporem twierdził wielokrotnie,
że nie wierzy w poetów sławy dożywotnie.
Aby na twórcę słuszny wyrok padł,
musi w grobie przeleżeć choć pięćdziesiąt lat.

Wreszcie sam w to uwierzył i śnił...
...śnił, że jest już w proszku
i zaczyna róść potroszku.
Rośnie, rośnie... już prawa spodkobierców gasną...
Czas leci... już wierszówki stają się niczyje...
Raptem czuje nad głową aureolę jasną.
Odkrył go smakosz-znawca! Wskrzesił! Dzieło żyje!
Robi się głośno w prasie, moc rozpraw, polemik...
świetne studium drukuje znany akademik...
Czym prędzej więc odkrywca do pracy się bierze:
nieboszczyk na czerpanym wychodzi papierze...
Zaraz drugie wydanie szykuje drukarnia...

A znawca-smakosz forsę zgarnia, zgarnia, zgarnia...
Aż tu zjawia się drugi. Tego także wzrusza
los niedocenionego za życia geniusza.
Znalazł wiersz przeoczony Wydrukować chciałby.
Wnet się obaj odkrywcy żwawo biorą za łby...
Sąd... proces... dwa obozy... Aż kipią gazety.
Kraj cały huczy sławą wielkiego poety...
Tak marzył.
Nagle dzwonek.
— Ja, przy telefonie.
Kto mówi?... Co?... Powiadasz, że w przyjaciół gronie
powzięto myśl... Nie trzeba!... To choć termin przełóż!
Nie można? Hm, koniecznie mam mieć jubileusz...
za życia... Ano, trudno... Dzięki. Do widzenia.
Siadł, odłożył słuchawkę i — prysły marzenia

Do mego prześladowcy

Uwziął się ten z Neuwertów Nowaczyński Adek,
by chociaż raz na tydzień ugryźć mnie w pośladek.
Przy drożyźnie tej, Adku, bawisz się niegodnie:
Sławy swej nie poprawisz, a mnie zniszczysz spodnie.

Z kim iść

Wieści obiegają
straszne ziemię całą:
Lenin sprawia lanie
carskim generałom.
Rozleciał się Kołczak,
a znowu Bermonta
Estończyk czy Łotysz
z ziemi swej uprząta.
Znikł dzielny von Lieven,
Judenicz się cofa,
a i z Denikinem
także katastrofa.
Bo gdzie tylko stanie,
tam się naród burzy:
carosławnych rządów
nie chce znosić dłużej.
I lada dzień wieści
spodziewać się trzeba,
że ktoś generała
wyprawił do nieba.

Więc chodzą stroskane
ende-dyplomaty:
z kim tu wejść w przymierze,
gdy ślad ginie „taty“?...

Przyjaciele moi,
pozbądźcie się troski —
toć wam pozostaje
duch denikinowski.

1920

Faworyci

Buty milion, a tysiąc otworzenie bramy;
setki żebrak nie bierze. Po co więc, pytamy,
rząd wciąż jeszcze drukuje pojedyncze marki?
— Ot, by miały czym płacić podatek folwarki.

1923

Żniwo

Rządź, Hieno, władzy chciwa;
twoje rządy — moje żniwa.
Dla satyry czas przyjazny,
gdy sterują nawą błazny.

1923

Izba wyższa

Pytał głupi mądrego, na co Senat zda się?
Toć on bez zmian przyjmuje sejmowe uchwały,
widząc, że Sejm drwi z jego gadaniny całej.
Na to mądry:
— Znaczenia Senatu, głuptasie,
nie rozumiesz?... On przecież ważną funkcję skupia:
Przed przyjęciem ustawy stwierdza, że jest głupia.

1923

Do senatora

Prawdziwie senatorską błyszczałeś nam cnotą,
pomnąc, że mowa — srebro, a milczenie — złoto,
i rozum twój milczenia osłaniała chusta,
póki nie zbrakło srebra, gdyś otworzył usta.

1923

Podpory i wrogi

Po gazetach szczęk słychać papierowej zbroi:
w Polsce pono od wrogów wewnętrznych się roi.
A z alarmów tych każdy już rozpoznać mógł:
kto podpora ojczyzny, a kto państwa wróg.

Ten, co z carem paktował, buty lizał w Pitrze,
co w rabstwie widział źródło zysków najobfitsze,
wartość wolności mierzył objętością wora —
państwa podpora.

Kto carowi stał hardo, kto targał kajdany,
kto znał drogę na Sybir, Cytadeli ściany,
był mieczem Damoklesa dla najeźdźcy sług —
wewnętrzny wróg.

Kto przed każdą inwazją w strachu gubił spodnie,
w obliczu wroga zmyślał polskich wodzów zbrodnie,
za morzami szkalował, nie szczędząc ozora —
państwa podpora.

Ten, co w chwili krytycznej, nie zważając na nic,
stawał w szeregu, bronić kraju swego granic,
zuchwałego najeźdźcę bez pardonu tłukł —
wewnętrzny wróg.

Ten, co zbożem paskował, co z nędzy miast krew ssie,
trzymał funty, dolary w zagranicznym „sefsie“,
kto państwu nic dać nie chce z zysków plantatora —
podpora.

Kto, za grosze pracując, ma podarte buty,
kto z głodnej pensji państwu haracz płaci suty,
choć załatać nie może budżetowych luk —
wróg.

Kto w walce z „mniejszościami“ laury zbiera tanie,
„podtrzymuje“ na Kresach Polski panowanie,
kto wskrzesza „Czarnej Sotni“ zdechłego potwora —
podpora.

Kto chce, by śród ludności państwa różnolitej
zapanowała miłość Rzeczypospolitej,
by każdy za swe prawa czuł wdzięczności dług —
o, ten to już na pewno wróg.

Warszawa, 1923.

Odezwa przedwyborcza Prawomysła Indykiewicza, obywatela ziemi pacanowskiej

Nie trzeba nam programów, partii, stronnictw, klik.
Po co ta cała wrzawa piekielna, warcholska?
Niechaj obcy nam będzie demagogii krzyk.
Za program i za hasło starczy: wiwat Polska!

Bo kto ma Polskę w sercu, temu obcy łów
zwolenników, myślących o powszednim chlebie.
Więc my obietnicami nie tumańmy łbów.
Obiecujmy nagrodę jedynie tam — w niebie.

Poza tym Polskę polską! — w której będzie ład,
święta zgoda, pobożność, wiara w ideały —
Polskę sielską, anielską, jak za dawnych lat,
które z poczciwym kmiotkiem zatargów nie znały.

My chcemy p o l s k i e j Polski — takiej, w której cham
nie śmiałby rezonować o reformie rolnej,
serwitutami głowy nie zawracał nam,
rad, że w wolnej ojczyźnie jest i dziedzic wolny.

My chcemy p o l s k i e j Polski — takiej, gdzie mój las,
skoro m ó j, to już świętą ma własność stanowi.
O, wtedy wnet by odżył tolerancji czas:
las mój, więc go dać mogę wyrąbać kupcowi.

Polska, co byt zawdzięcza modlitwom i łzom,
nie powinna urągać swych synów niedoli
Więc jeżeli posiada jej syn w mieście dom,
niech ma prawo podwyższać komorne dowoli.

Żadnych strajków! zmów żadnych! Tego nie znał Piast.
Wszystko to są nauki żydowsko-masońskie.
Jeśli się tych narowów nie wypleni z miast,
chińskim murem od świata odgrodzimy Polskę.

Chcesz, bracie, p o l s k i e j Polski, to wybieraj nas.
W sejmie wnet się zajmiemy chętnie jej naprawą.
Na naprawę stosunków już ogromny czas.
A naprawa to znaczy, że trza iść na prawo.

1923

Jest taki kraj...

Jest taki kraj, gdzie na to, by człowieka
uznano za człowieka, babki się wywleka
i bada, niby kobyły lub krowy,
zali je reproduktor pokrywał rasowy?
Choćbyś pisał, jak Heine, miał siły Samsona,
rozum Spinozy, talent Mendelsohna,
zmiażdży cię, sponiewiera przysłowiowa buta,
jeżeliś nie spłodzony przez ojca-folbluta.
Cóż ma czynić nieszczęśnik w tym smutnym wypadku?
Tylko jak o rogaczu mówić o swym tatku.
Ruszył więc korowód cały,
barony, dyrektory, radcy, generały,
by dać słowo honoru, że są z krwi i kości
synami nie swych ojców, lecz maminych gości.
Odtąd jest w Europie rząd, zda się, jedyny,
który nobilituje właśnie t a k i e syny.

1938

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 14, I piętro tel 4-01-80, wewn 95 oraz bezpośredni 7-36-23 Adres administracji: W-wa, ul Wiejska 12 tel 7-52-50 Wydaje RSW „Prasa“.
Prenumerata i kolportaż: P P K. „Ruch“. Oddz. w Warszawie ul Srebrna 12 tel 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.—, półrocznie zł 24.—, rocznie zł 48 — Wpłaty na prenumeratę indywidualną: przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm² Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa“ W-wa, Poznańska 38, konto PKO I-5589/111, tel. 7-38-05.
Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa“, Warszawa, Marszałkowska 3/5. 3-B-17482